

NICOLA CORNICK

**Kapitan i dama
do towarzystwa**

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Listopad 1811 roku

Pokój miał okna na południowy wschód, więc rankiem wypełniało go słoneczne światło, tym mocniejsze, że odbijało się od powierzchni morza. Teraz, w mroku listopadowego wieczoru zasłony były zaciągnięte, a wewnątrz pokoju rozjaśniały zapalona lampa i ogień na kominku. Z dworu dobiegał cichy poszum fal. Lewis Brabant odchylił głowę, wygodniej rozsiadł się w fotelu i zamknął oczy.

- Wcale nie spieszy ci się do domu, hm?

Richard Slater postawił między nimi na stoliku dwie szklaneczki brandy i zajął miejsce naprzeciwko Lewisa. Z jego tonu nie wynikało, by pytanie było ważne, więc przez chwilę zdawało się, że pozostanie bez odpowiedzi. Po chwili jednak Lewis otworzył oczy i mimowolnie się uśmiechnął.

- Nie, Richardzie. Bardzo żałuję, że w ogóle jadę do domu! Gdybym mógł wybierać, wolałbym pływać po morzach. Ale nie miałem wyboru...

- Mógłbym powiedzieć to samo, choć z innego powo-

du - stwierdził przyjaciel z prawie niezauważalną nutą goryczy w głosie i machinalnie zerknął na okaleczoną nogę, przez którą wciąż trochę utykał. Potem uniósł szklaneczkę i wygłosił przesycony ironią toast:

- Za tych co z przymusu na lądzie!

Stuknęli się szklaneczkami.

- Całkiem przytulnie urządziłeś to swoje więzienie - stwierdził Lewis i z aprobatą omiótł gabinet bystrym spojrzeniem niebieskich oczu. Boazeria na ścianach przywodziła na myśl oficerską mesę na statku, na stole przy oknie lśnił mosiężny sekstans, a obok szaf z książkami stała luneta w zniszczonym skórzanym futerale.

- Tutaj przynajmniej wciąż słyszę morze i mogę oddychać jego zapachem - odparł Richard. - Ty nie masz nawet tego! Hrabstwo Northampton to doprawdy dziwne miejsce dla admirała w stanie spoczynku. Dlaczego właściwie twój ojciec je wybrał?

Lewis wzruszył ramionami.

- Moja matka miała krewnych w okolicy, zresztą rzeczywiście oboje wydawali się tam całkiem szczęśliwi. - Upił łyk brandy i przez chwilę zastanawiał się nad jej smakiem. - Znakomity trunek, Richardzie! Francuski, prawda? Czyżby kontrabanda specjalnie na twoje zamówienie?

Richard uśmiechnął się.

- A skądże! To dowód wdzięczności jednego z przyjaciół.

- Rozumiem. - Lewis się przeciągnął. - Nie bój się.

Nie będę siedział u was bez końca, mimo że macie taką wyborną brandy. Jesteście z siostrą bardzo gościnni, ale jutro wyruszam do Londynu, a stamtąd od Hewly dzieli mnie już tylko dzień jazdy. - Skrzywił się. - Chyba muszę się przyzwyczaić nazywać to miejsce domem.

- Fanny zmartwi się, że tak szybko wyjeżdżasz - powiedział cicho Richard. - Ja zresztą też żałuję. Gdybyś kiedykolwiek czuł potrzebę ujżenia morza...

- Będę miał zbyt wiele ciężkiej pracy w majątku, żeby wspominać przeszłość! - Lewis przeczesał dłonią gęste, jasne włosy i przesłał przyjacielowi smutny uśmiech. - Ale może wy złożycie mi wizytę? Miło byłoby zobaczyć wypróbowanych przyjaciół...

- Naturalnie, staruszkule! - Richard badawczo zmierzył go wzrokiem. - Czyżbyś nie myślał z zachwytem o życiu w otoczeniu sfory kobiet?

Lewis odstawił na stolik opróżnioną szklaneczkę.

- Nie schlebiasz im tym sformułowaniem, ale niestety muszę przyznać, że trafnie ująłeś problem. Siostra napisała mi, że jest tam nie tylko kuzynka Julia, lecz również jej dama do towarzystwa, która robi na drutach i podlewa kwiatki. Nie wiem, po co mi przy stole jeszcze Piętaszek w żeńskim wydaniu.

- Ale pani Chessford nie pasuje do tego opisu - przebiegle zauważył Richard. - Na pewno chętnie znów ją zobaczysz.

Richard zgromił przyjaciela spojrzeniem.

- Julia zawsze może liczyć na gościnę w Hewly, oso-

biście sądzę jednak, że z jej punktu widzenia jest to dość nużące miejsce.

Richard skinął głową. W poprzednim sezonie jego siostra była w Londynie i przywiozła stamtąd mnóstwo plotek o ciepłej wdówce, Julii Chessford. Wydawało się jednak wysoce nieprawdopodobne, by teraz Lewis docenił miłosne zachody pani Chessford, choć w swoim czasie był nią więcej niż zauroczony, o czym Richard dobrze wiedział.

- Kiedy ostatnio tam byłeś? - spytał, kierując rozmowę na bezpieczniejszy temat.

Lewis westchnął.

- W piątym, zaraz po Trafalgarze. Ojciec podupadał już na zdrowiu, ale choroba postępowała powoli. Dopiero ostatni atak przykuł go do łóżka i odebrał możliwość kierowania sprawami domu.

- Czy nie ma szans na polepszenie? - Richard podszedł do karafki i ponownie napełnił ich szklaneczki.

Lewis wolno pokręcił głową.

- Lavender pisze, że czasem ojciec czuje się dostatecznie dobrze, by usiąść z nimi w salonie, ale nikogo nie poznaje i nic nie mówi. To musi być okropny stan dla tak aktywnego człowieka.

- Czy Hewly znajduje się w pobliżu opactwa Steepwood? - Richard pochylił się ku kominkowi, by podsyć ogień. - To była kiedyś jaskinia rozpusty, jeśli dobrze pamiętam. Mój wuj Rodney przyjaźnił się z Sywellem i Cleeve'em przed wieloma laty, póki nie przestał pić i uprawiać hazardu. Opowiedział mi o opactwie niejedno!

Lewis wybuchnął śmiechem.

- Nie wierzę, żeby Sywell kiedykolwiek mógł zrezygnować z picia albo kart... no, i z kobiet! Hewly rzeczywiście leży niedaleko opactwa, ale markiza osobiście nie znam. Podobno jednak nadal gorszy otoczenie. Siostra twierdzi, że nie minął jeszcze rok, jak ożenił się z wychowanką swojego rządcy.

Richard wydał się rozbawiony.

- Może strzała Kupida trafi i ciebie, Lewisie. Łatwiej byłoby ci się ustabilizować i wtopić w wiejski krajobraz.

Lewis skrzywił się z niedowierzaniem.

- Serdeczne dzięki, ale nie zamierzam wziąć sobie żony. W każdym razie nie prędzej niż znajdę kobietę, która mogłaby dorównać mojej ostatniej łajbie.

- „Nieustraszonej”? - Richard wybuchnął śmiechem.
- A jakie to zalety miała ta łajba, staruszku? Zdawało mi się, że to ciekna stara kadź, w której nikt inny nie ważyłby się wypłynąć na morze.

- Bzdura! - Lewis kpiąco się uśmiechnął. - „Nieustraszona” była piękna. Elegancka, dzielna i gotowa na każde ryzyko, byle tylko wyjść zwycięsko z próby! - Uśmiech mu zgasł. - Zanim znajdę kobietę, która potrafiłaby jej dorównać, pozostanę kawalerem, Richardzie.

Panna Caroline Whiston z westchnieniem odłożyła na bok oprawny w skórę tomik sonetów Szekspira. Nikt nigdy nie porównał jej do letniego dnia, a gdyby spróbował, to prawdopodobnie dostałby za swoje, oskarżony o niecne

zamiary. Bądź co bądź, niejedna guwernantka popełniła błąd nadmiernej wiary w siłę romantycznej miłości i potem gorzko tego żałowała. Ale miło byłoby spotkać choć raz, tylko raz, mężczyznę, który nie jest ani hulaką, ani dobrodziejem.

Przed dziesięcioma laty Caroline została guwernantką i damą do towarzystwa i przez ten czas w tajemnicy przed wszystkimi dzieliła poznanych mężczyzn właśnie na te dwie kategorie. Hulacy stanowili zdecydowaną większość. Bywali ojcami, braćmi, krewnymi i przyjaciółmi jej młodocianych podopiecznych i zazwyczaj uważali, że nie sposób się oprzeć ich urokowi, a Caroline powinna o tym wiedzieć. Caroline odpierała ich zaloty surowością i wyniosłością, a kilka razy musiała nawet posłużyć się siłą fizyczną. Żaden z zalotników nie wykazał jednak wytrwałości. Caroline nie była dostatecznie ładna, by takie starania wydawały im się warte zachodu, a ona celowo ukrywała te cechy, które mogłyby zwrócić na nią uwagę. Piękne kasztanowe włosy bezlitośnie zaczesywała w koczek z tyłu głowy, a poza tym nosiła bure, bezkształtne stroje. Jej zachowanie budziło respekt zarówno u uczniów, jak i ich rodziców.

- Ech - westchnął kiedyś starszy brat jednej z jej podopiecznych. - Panna Whiston jest zupełnie nieprzystępna! Wolałbym pocałować węża, niż próbować szczęścia u niej.

Dobrodziejów też nie brakowało. Nie byli tak niebezpieczni jak hulacy, ale również ich należało zniechęcić.

Zdarzali się wśród nich prywatni nauczyciele albo duchowni, którzy wyobrażali sobie, że Caroline świetnie nadaje się na pomoc domową. Do nich wszystkich odnosiła się uprzejmie, lecz bardzo stanowczo. Nie miała zamiaru zamieniać ciężkiej pracy wykwalifikowanej służącej na bezpłatną harówkę u pastora nawet za cenę ślubnej obrączki.

Znowu westchnęła. Zaczęła marznąć, bo w listopadowe ranki zdarzały się ostatnio przymrozki, więc nawet gruba, zimowa narzutka nie chroniła jej przed chłodem, który przenikał przez ciekłą skórę trzewików i obejmował całe ciało. Szkarłatna aksamitna suknia, podarunek od jednej z życzliwych matek podopiecznych, była ładna, ale dawała niewiele ciepła. Caroline wiedziała, że chodzenie o świcie do lasu w wieczorowej sukni jest bardzo pretensjonalnym zachowaniem, ale przecież nikt jej nie widział, a tylko o tej porze mogła sobie pozwolić na odrobinę luksusu. Naturalnie jednak należało już wrócić. Przebiegł ją dreszcz. Nie dość, że zmarzła, to jeszcze się spóźni, a wtedy Julia znowu da pokaz opryskliwości.

Schowała książkę do kieszeni, wzięła koszyk i ruszyła ku ścieżce. Pod trzewikami trzaskały jej zmarznięte gałązki. Pajęczyny przyozdobione szronem lśniły w słońcu jak srebrne filigrany. Panował absolutny spokój. Tylko wczesnym rankiem Caroline mogła znaleźć chwilę dla siebie, potem bowiem musiała spełniać niezliczone życzenia Julii Chessford jak dzień długi, a czasem nawet w nocy, jeśli panią Chessford akurat dręczyła bezsenność. Caroline,

która początkowo potraktowała zaproszenie do Hewly jako prośbę przyjaciółki, szybko zorientowała się, że w gruncie rzeczy przeznaczono dla niej rolę zwykłej służącej. Dni szkolnej przyjaźni dawno minęły.

W dodatku admirał Brabant wymagał ciągłej opieki, a jego choroba kładła się cieniem na całym Hewly Manor. Ostatni atak dopadł go przed trzema miesiącami, jeszcze przed przyjazdem Caroline do Hewly, i całkowicie odebrał mu możliwość zarządzania majątkiem. Służba poszeptywała, że pan admirał nie przetrwa zimy, co jeszcze potęgowało ponurą domową atmosferę. W Hewly Manor nie było miejsca na radość.

Zycie Caroline mogło być potoczyć się zupełnie inaczej. Obie z Julią Chessford uczyły się w ekskluzywnej szkole pani Guarding w Steep Abbot. Julia trafiła tam jako córka chrzestna i wychowanica admirała Brabanta, a Caroline jako córka baroneta. Rozrzutnego baroneta, co okazało się nieco później. Caroline mogła być wdzięczna ojcu najwyżej za to, że do całkowitego upadku doprowadził w czasie, gdy już była w stanie zarobić na swoje utrzymanie. Zmarł, gdy miała siedemnaście lat, tytuł odziedziczył po nim daleki krewny, a majątek trzeba było sprzedać na pokrycie długów.

Caroline wyszła spomiędzy drzew na ścieżkę i usłyszała tętent kopyt na zmrożonej ziemi. Jeźdźcowi niewątpliwie się śpieszyło. Prawdopodobnie zbliżał się drogą z zachodu, a nie od strony Northampton, od wschodu. Caroline zawahała się. Nie chciała, by ktokolwiek zastał ją sa-

motną w środku lasu, na szczęście jednak wiedziała o starej chacie drwała, znajdującej się w pobliżu, w pewnym oddaleniu od drogi. Postanowiła poszukać tam schronienia. Nie obawiała się kłusowników ani zbójców, ale nie miało sensu narażać się na niebezpieczeństwo, zdradzając swoją obecność nie wiadomo komu.

Gdy mężczyzna wyjechał zza zakrętu, zwolnił, więc Caroline miała okazję mu się przyjrzeć przez szparę powstałą po wyrwaniu drzwi z zawiasów. Odetchnęła z ulgą. Bez wątplenia nie był to hulaka. Raczej dobrodziej, jego delikatne rysy wskazywały bowiem na szlachetne urodzenie, a ponadto zdawał się roztargniony. Był schludnie, lecz bardzo zwyczajnie ubrany w czarny surdut i brązowe spodnie, a jego buty nosiły ślady długiej i pospiesznej jazdy. Nie był to więc londyński dandys, lecz raczej właściciel dóbr. Średniego wzrostu, niezbyt mocnej budowy ciała, krótko mówiąc, ktoś, na kogo nie zwraca się uwagi. Może poeta, który postanowił nacieszyć się urodą poranka, podobnie jak ona. Caroline w bezruchu czekała, aż przybysz ją minie.

Wyglądało jednak na to, że dżentelmenowi przestało się śpieszyć. Zeskoczył z siodła i poprowadził konia. Zwierzę było piękne, siwe, z wielkimi, rozumnymi oczami. Mężczyzna poklepał je po pysku i czule do niego przemawiając, ruszył drogą w stronę jej kryjówki. Koń najwyraźniej okulał na jedną nogę. Caroline wstrzymała oddech. Miała nadzieję, że jeździec jednak nie zatrzyma się tu na odpoczynek i popas.

Kłęska nadeszła niespodziewanie. Caroline uważała się za osobę nieustraszoną, ale odkąd w czasach szkolnych znalazła w łożku zdechłą mysz, wsadzoną tam dla kawału przez Julię, śmiertelnie bała się małych, kosmatych stworzeń. Wbrew woli wzdrygnęła się więc, gdy nagle mysz przebiegła jej po stopie. Szelest opadłych liści na klepisku spłoszył bażanta, który szukał pożywienia przed chatą. Ptak zerwał się z ziemi z ochryplym krzykiem, a koń, z pewnością rozstrojony wypadkiem, w którym okulał, stanął dęba, omal nie przewracając prowadzącego go mężczyzny.

Caroline natychmiast rzuciła się w najciemniejszy kąt chaty, wiedziała jednak, że na próżno. Gwałtownym poruszeniem odsłoniła swą szkarłatną suknię, nie miało więc sensu udawanie, że jest niewidzialna. Tymczasem mężczyzna odzyskał równowagę i obrócił się ku chacie. Przez długą chwilę patrzył prosto na nią, potem wypuścił z rąk wodze i zbliżył się o krok.

Serce podeszło jej do gardła. Wiedziała, że rozsądek nakazywałby zbliżyć się i przeprosić, lecz jednocześnie przeciskała się przez rozstęp w ścianie, by uciec przez kolczaste zarośla otaczające chatę.

Nagle z przerażeniem stwierdziła, że coś ją zatrzymuje. Próbowwała zachować spokój i uwolnić dół narzutki, który zaczepił się o chropowaty występ muru, ale usłyszała za sobą chrzęst i wpadła w panikę. Ten człowiek chyba jej nie goni?! Przecież wyglądał nieszkodliwie, szacownie jak dobrodziej...

W tej chwili zrozumiała, jak błędne były jej rachuby. Czyjaś ręka chwyciła ją za nadgarstek i obróciła tak gwałtownie, że opadł jej kaptur narzutki, a włosy rozsypały się na ramiona. Instynktownie chwyciła mężczyznę za ramię, aby się nie przewrócić, i poczuła pod palcami twarde mięśnie. Nie było sensu się łudzić, że to poeta, który poświęca czas wyłącznie doskonaleniu intelektu, zaniedbując ćwiczenia ciała. Caroline spojrzała mu w twarz i przekonała się, że oczy, które - jak sądziła - wpatrują się w niedostępną dla innych przestrzeń, by znaleźć obraz wart utrwalenia w wierszu, są metalicznie niebieskie i zimne jak wzburzone morze. Przez dłuższy czas mierzyli się wzrokiem, aż wreszcie Caroline dostrzegła w jego twarzy zalążki uśmiechu. Wtedy jednak, nie wiadomo dlaczego, ugięły się pod nią kolana.

- Ho, ho. - Głos mężczyzny zabrzmiał kpiąco. - Wprawdzie nie znalazłem tu kłusownika, tak jak się spodziewałem, ale nie powiem, żebym tego żałował. Spokojnie, turkaweczko... - Z oburzającą łatwością zniweczył jej próby wyswobodzenia się z uścisku. - Należy mi się coś od ciebie, choćby dlatego, że spłoszyłaś mi konia.

Nie dobrodziej, tylko hulaka, pomyślała Caroline, gdy mężczyzna nieco rozluźnił pałce, by ją objąć. Pierwszy raz tak omyliła się w ocenie i przypuszczalnie nie ona jedna.

- Popełnia pan błąd... - Więcej nie zdążyła powiedzieć, bo uciszył ją długim pocałunkiem. Dotyk szorstkiego policzka podrażnił jej skórę. Mężczyzna pachniał uprzążą, wiatrem i cytrynową wodą kolonską. Zapach był

bardzo przyjemny, ale myśl o tym wprawiła Caroline w prawdziwą konsternację.

- Słucham?

Dżentelmen odsunął ją od siebie na tyle, by dobrze jej się przyjrzeć. Caroline stwierdziła, że z aprobatą obrzucił wzrokiem jej kasztanowe loki i zatrzymał spojrzenie na czerwonej sukni. Nic dziwnego. Suknia miała głęboki dekolt, o czym przypomniał jej chłód, jaki poczuła w tym miejscu. Otuliła się narzutką i przesłała mężczyźnie groźne spojrzenie.

- Zamierzałam powiedzieć, że popełnia pan błąd... - Jej słowa zabrzmiały znacznie mniej autorytatywnie niż zwykle. Odchrząknęła i lekko zmarszczyła czoło. Wciąż przyglądał jej się z miną, która była tak samo kpiąca, jak ton głosu.

- Chcę powiedzieć, że nie powinien pan... nie powinienam...

- Byłoby mi przykro, gdyby nabrała pani przekonania, że to był pocałunek przez pomyłkę - przerwał jej uprzejmie. - Nie powinna pani odchodzić, mając w tej sprawie zupełnie niewłaściwe pojęcie. Proszę pozwolić...

Caroline wydała cichy okrzyk, gdyż znów przyciągnął ją do siebie. Tym razem pocałował ją głębiej, zręcznym manewrem skłoniwszy do rozchylenia warg. Usta miał chłodne. Zadrzała. Nie mogła uwierzyć, że coś takiego ją spotyka, a ona, co gorsza, na to pozwala. Szarpnęła się z całej siły, ale tym razem mężczyzna nie próbował jej przytrzymać.

- Proszę mnie posłuchać. - Wyciągnęła przed siebie ramię, jakby chciała utrzymać go na dystans, mimo że już nie próbował się zbliżyć. - Wciąż próbuję wytłumaczyć, że popełnia pan grubą omyłkę. Nie jestem tym, za kogo mnie pan uważa, a poza tym... - Od dłuższej chwili wpatrywała mu się w twarz i nagle zabrakło jej słów.

Niewątpliwie pomyliła się w ocenie. Wydatne kości policzkowe i wyraziste rysy mogły na pierwszy rzut oka wydać się delikatne, ale twarz mężczyzny zdradzała zbyt wiele władczości i zdecydowania, by można było posądzać go o jakąkolwiek słabość. Przenikliwie niebieskie oczy nieustannie wszystko taksowały, a gęsta jasna czupryna, której Caroline chętnie by dotknęła... Znów musiała odchrząknąć, zmieszana nadal trwającymi oględzinami jej osoby.

- Pan musi być kapitanem Brabantem - powiedziała, siłąc się na spokój. - A ja jestem Caroline Whiston. Obecnie przebywam w Hewly Manor.

Mężczyzna Spochmurniał. Tym razem, gdy na nią spojrział, w jego oczach nie było ani śladu ciepła lub rozbawienia. Caroline spróbowała przybrać nieco godniejszą pozę. Wołała nie myśleć, jak wygląda z potarganymi włosami i wargami nabrzmiałymi od pocałunków.

- Bardzo przepraszam - powiedział wolno - ale czy my się znamy? A może zna pani moje imię dzięki darowi jasnowidzenia?

Caroline już, już miała na końcu języka ciętą ripostę, chciała mu bowiem powiedzieć, że potraktował ją jak do-

brą znajomą, ale w porę zreflektowała się, że nie ma sensu prowokować dalszych kłopotów. Ten człowiek po prostu musiał być Lewisem Brabantem i bardzo ją rozżłościło, że nie zorientowała się od pierwszej chwili. Jego podobieństwo do siostry rzucało się w oczy, powinna była dostrzec je z daleka, a nie dopiero stanąwszy z nim twarzą w twarz. A tak niepotrzebnie znalazła się w tarapatkach, mężczyzna bowiem był dziedzicem Hewly Manor, a co ważniejsze - kiedyś również narzeczonym Julii.

Uświadomiła sobie, że kapitan Lewis Brabant wciąż czeka na odpowiedź, więc z wdziękiem dygnęła.

- Nie, nie znamy się. Jest pan bardzo podobny do siostry, proszę więc się nie dziwić, że pana poznałam. Oczekujemy pańskiego przybycia już od tygodnia.

- Rozumiem. - Caroline odniosła nieprzyjemne wrażenie, że Lewis Brabant zauważył znacznie więcej, niż sobie tego by życzyła. Czuła się prawdopodobnie tak jak majątek podczas inspekcji dokonywanej przez kapitana. Te błękitne oczy zdawały się przenikać najgłębsze zakamarki duszy.

- Proszę mi wybaczyć, panno Whiston, ale gdy wspomniała pani, że jest gościem w Hewly Manor...

Caroline poczuła, że oblewa się rumieńcem.

- Źle mnie pan zrozumiał - odrzekła. - Nie jestem gościem pańskiego ojca, tylko damą do towarzystwa pańskiej kuzynki... pani Julii Chessford.

- Damą do towarzystwa Julii? Pani? - Kapitan Brabant zbliżył się do niej o krok, więc instynktownie się cof-

nęła. Natychmiast zareagował kpiącą miną. - Droga pan-
no Whiston, proszę nie wpadać w popłoch! Z mojej strony
nie musi się pani niczego obawiać. To doprawdy niesto-
sowny pomysł, żeby miała pani być damą do towarzystwa.

- Nie rozumiem, co daje panu prawo wydawania są-
dów w tej kwestii! - burknęła Caroline, z oburzenia zapo-
minając, że rozmawia z synem właściciela majątku. -
Zresztą moim zdaniem ma pan bardzo osobliwe wyobra-
żenie o stosowności. Czy jest coś stosownego w nadaska-
kiwaniu przyzwoitym pannom odbywającym spacer w le-
sie? Chyba musiał pan naprawdę długo pływać po morzu,
żeby tak bardzo się zapomnieć!

Zobaczyła jego szeroki uśmiech. To była całkowicie
niedopuszczalna reakcja na jej złość.

- Może rzeczywiście to wina długiego pobytu na mo-
rzu - rzekł. - Człowiek jest pozbawiony uszlachetniającego
towarzystwa płci pięknej... Zaiste, droga pani, co racja,
to racja.

- Banialuki, miły panie! - odpaliła Caroline, coraz
czerwiejsza na twarzy. - Nie widać, żeby był pan pozba-
wiony towarzystwa kobiet. Taka gorsząca swoboda oby-
czajów sugeruje coś wręcz przeciwnego... - urwała, uz-
mysłowiła sobie bowiem, że ten nieznośny człowiek spro-
wokował ją do wyrażenia poglądu, który powinien pozos-
tać jej tajemnicą. W swoim surowym wcieleniu nigdy nie
pozwalała sobie na taki pokaz złych manier, jak mówienie
bez ogródek. Damie do towarzystwa po prostu nie wypa-
dało tego robić. - Nieważne. To nie ma nic do rzeczy! -

zakończyła ostrym tonem. - Do widzenia panu! Odchodzi, żeby mógł pan w spokoju dokończyć podróż.

- Wydaje mi się to dość bezsensowne, skoro oboje zmierzamy w tym samym kierunku. Proszę pozwolić, że będę pani towarzyszył, panno Whiston. Może tymczasem lepiej się poznamy.

Caroline nie miała na to najmniejszej ochoty, a gdyby Julia zauważyła, że kapitan Brabant dotarł do dworu w jej towarzystwie... O tym nawet wolała nie myśleć.

- Doprawdy nie ma potrzeby...

- Może dowiem się, dlaczego chciała pani przede mną uciec - ciągnął kapitan uprzejmym tonem, jakby nie usłyszał sprzeciwu. - Wszak to właśnie pani zachowanie spowodowało cały incydent.

Caroline bardzo się zawstydziła. Kapitan miał rację, przypomnienie o tym wydało jej się jednak bardzo nieeleganckie.

- Serdecznie pana przepraszam - powiedziała sztywno. - Chyba poniosły mnie nerwy. Musiał pan poczytać mi za dziwactwo...

- A owszem! Spłoszyła mi pani konia, a potem chciała uciec jak przestępca. Co miałem zrobić?

- Z pewnością nie mógł mnie pan wziąć za kłusownika... - Caroline urwała, gdyż uświadomiła sobie, że znowu pozwala się wciągnąć w niedorzeczną rozmowę.

- Naturalnie nie wtedy, gdy już panią złapałem - zgodził się kapitan, poruszając brwiami. - Wtedy pomyślałem, że...

- Dziękuję, nie chcę tego słyszeć.

Kapitan nie pozwolił się zniechęcić.

- A to chyba należy do pani. - Wyciągnął do niej rękę z tomikiem sonetów. - Szekspir? Czy romantyków też pani czytuje?

- Mam mało czasu - odparła kwaśno.

- Na poezję czy na romanse? - Znów szelmowsko się do niej uśmiechnął.

Caroline prawie wyrwała mu książkę z dłoni i ze złością wcisnęła do kieszeni. Dlaczego on koniecznie chce ciągnąć tę rozmowę?

- Prawdopodobnie wolałaby pani spacer w bardziej odpowiednim stroju - odezwał się kapitan za jej plecami.

- Ta wieczorowa suknia, mimo że bardzo piękna, nie jest zbyt praktyczna. Chociaż w zestawieniu z trzewikami - dodał tak, jakby dopiero co wpadł na tę myśl - wygląda szczególnie atrakcyjnie.

Caroline mocno zacisnęła usta i nadal milczała. Trudno jej było uwierzyć w to, jak niefortunnie wszystko się układa. Oto kapitan Brabant, władczy, pewny siebie, całkiem niepodobny do człowieka, którego opisywała jej Julia. Dlaczego nie może być marzycielem z jej wspomnień albo przynajmniej jowialnym wilkiem morskim z przedwcześnie posiwiałymi włosami i niewyczerpanym zapasem nudnych historyjek na podorędziu? Ukradkiem przyjrzała się, jak sprowadza z powrotem konia, który tymczasem oddalił się od nich, skubiąc tu i ówdzie coś zielonego w zaroślach. Musiała wbrew sobie przyznać, że sprężyste

ruchy kapitana Brabanta wydają jej się pociągające, a wrażenie roztargnienia było zwodnicze. Mimo niewątpliwej bystrości był to człowiek czynu. Doświadczenie podpowiadało Caroline, że jest to najbardziej niebezpieczna kombinacja z możliwych.

Co za pech, że są skazani na przebywanie pod tym samym dachem. Pocieszyła się jednak myślą, że nie musi go często widywać. Skoro kapitan wie już, że spotkał nie gościa rodziny, lecz damę do towarzystwa, jego zainteresowanie z pewnością przygaśnie, a ewentualne przejawy niestosownego zachowania należało bezwzględnie tępić. Szkoda, że kapitan nie wykazał dość zrozumienia dla ich delikatnej sytuacji. Słyszała, jak pogwizduje pod nosem, co dowodziło całkowitego braku powagi.

- Pani koszyk, panno Whiston.

Caroline aż podskoczyła. Kapitan Brabant lekko skłonił przed nią głowę i podał jej czerwony koszyk z trzciny, na którego dnie leżało kilka nędznych grzybów. Upuściła koszyk, uciekając do chaty, i dopiero teraz zauważyła, że reszta jej zdobyczy leży porozrzucana na drodze i w poszyciu.

- Możemy je pozbierać - powiedział kapitan - chociaż w takiej sukni jest to trudne zadanie...

- Proszę się nie kłopotać, kapitanie! - Caroline była wściekła, lecz zarazem czuła się bardzo głupio. Czy ten człowiek nie przestanie wypominać jej braku rozsądku, jak niewątpliwie przejawia osoba wychodząca na spacer w wieczorowej sukni? A zresztą dobrze jej tak. Próżność

została ukarana! Ta suknia powinna wisieć w najgłębszym kącie szafy i nigdy więcej nie ujrzeć światła dziennego.

Niechętnie zrobiła kapitanowi miejsce obok siebie na drodze i razem ruszyli w stronę Steep Abbot. Usiłowała zachować milczenie, wspomagając się wyniosłą miną, ale to jeszcze bardziej przypominało o obecności kapitana. W końcu niezręczna sytuacja tak jej dopiekła, że sama się odezwała:

- Czy podróż minęła spokojnie? - Wybrała najbardziej niewinny temat, jaki przyszedł jej do głowy. Lewis Brabant uśmiechnął się. Miał zdecydowanie niepokojący uśmiech.

- Owszem, dziękuję. W drodze z Portsmouth zatrzymałem się na kilka dni w Londynie. Wydaje mi się trochę dziwne, że znowu jestem tutaj.

- I pewnie jest panu zimno - dodała Caroline zadowolona, że wreszcie prowadzi stosowną konwersację. - Ktoś, kto był nad Morzem Śródziemnym, angielska jesień musi się wydawać nieprzyjemna.

W oczach kapitana bez wątpienia zabłyśły figlarne ogniki.

- O, tak, pani. Zimna i mokra.

- Nie padało już od kilku tygodni, chociaż lato było bardzo deszczowe - oświadczyła Caroline, nie zważając na to, że kapitan już szeroko się uśmiecha. Stroił sobie z niej żarty, ale była zdecydowana nie zwracać na to uwagi. Wiedziała, jak należy się zachować, nawet jeśli on здаwał się nie mieć o tym pojęcia.

- Już zapomniałem - podjął kapitan podobnym tonem jak ona - jaką obsesję pogody mają Anglicy. A może...
- nieznacznie się odwrócił, by spojrzeć jej w twarz - .. jest to obrona przed zbyt osobistą rozmową. Umiejętności gawędzenia godzinami o niczym rzeczywiście można Anglikom pozazdrościć.

Caroline wiedziała, co kapitan ma na myśli, i podzielała jego opinię. Wiele godzin w różnych salonach spędziła na wysłuchiwanie beztroskiej paplaniny pań, plotek o majątkach, koligacjach i skandalach. Zirytowała ją jednak myśl, że jest odbierana tak samo jak te kurze mózdzki. Ale jak miała tego uniknąć? Kapitan Brabant zapewne nie lubił tracić czasu na półprawdy i niedomówienia, uznała więc, że najlepiej trzymać go na dystans.

Nakryła głowę kapturem. Ranek był chłodny, mimo że przez gałęzie przenikały już promienie słońca. Z potarganymi włosami musiała przypominać stracha na wróble, a bardzo zależało jej na tym, by wchodząc w progi Hewly Manor, nie wyglądać tak, jakby przeciągnięto ją przez żywopłot.

- Są też inne sposoby obrony, prawda, panno Whiston? Chowanie się za kapturem musi do nich należeć. Przypuszczalnie więc nie powinienem prosić, żeby pani trochę mi o sobie opowiedziała? Z drugiej strony skoro mamy mieszkać w jednym domu...

Caroline nie spodobało się takie postawienie sprawy. „Jeden dom” zabrzmiał zanadto familiarnie i wbrew sobie znów spłonęła rumieńcem. Na szczęście wciąż miała kap-

tur na głowie. Wyszli już z lasu i kapitan przepuścił ją przed sobą przez bramę, a potem przeszedł sam, prowadząc konia. Droga przecinała rzekę Steep i zbliżała się do wsi. Rzeka wiła się tutaj łagodnymi zakolami, a na jej brzegach rosły drzewa, które latem chyliły gałęzie ku jej wolno płynącym, brunatnym wodom. Tego ranka jednakże, gdy słońce mieniło się w drobinach szronu oblepiającego gałęzie i odbijało w wodzie, widok był bardzo malowniczy.

- Nie ma wiele do opowiedzenia - odrzekła chłodno Caroline. - Wiodę bardzo nieciekawą żywot. Od jedenastu lat, odkąd opuściłam szkołę pani Guarding, pracuję jako guwernantka, a ostatnio jestem damą do towarzystwa pani Chessford. Płatną damą do towarzystwa - dodała, żeby nie było niedomówień. Przez pewien czas jedne niebieskie oczy badawczo wpatrywały się w drugie, wreszcie kapitan skinął głową.

- Nikt nie jest taki nieciekawą, jak twierdzi, panno Whiston! Przeciwnie, dama do towarzystwa, która chodzi po lesie w wieczorowej sukni i czyta Szekspira, wydaje mi się postacią dość niezwykłą.

- Mimo wszystko wolałabym, żeby pan nie ciągnął tego tematu - stwierdziła oschle.

- Wedle życzenia. - Znów jej się przyglądał. - Nie wiedziałem, że zna pani Julię ze szkoły - dodał zadumany tonem. - Nie przypominam sobie...

- Nie ma w tym nic zaskakującego - odparła. Nieraz już przekonała się, że krewni jej przyjaciółek ze szkoły.

zwłaszcza mężczyźni, w ogóle jej nie pamiętają. Zresztą, jak mogliby zapamiętać, skoro przy takiej piękności jak Julia trudno ją było zauważyć.

Kapitan Brabant uniósł dłoń na znak kapitulacji.

- Zgoda, panno Whiston, zmienimy temat, skoro ten wydaje się pani niestosowny. Jest pani tutaj płatną damą do towarzystwa, czyli kimś niewiele lepszym od służącej.

- W jego głosie pojawił się sarkazm. - Niech nawet nie przychodzi mi do głowy przekraczać granic społecznego podziału, które niewątpliwie wyznaczają pani miejsce w życiu.

Minęli budynek szkoły pani Guarding i skręcili w brukowaną drogę prowadzącą do dworu. Szli oddaleni od siebie o przynajmniej jard. Caroline zacisnęła pięści w kieszeni. Przecież sama chciała, żeby kapitan Brabant zachowywał się jak najstosowniej, nie powinna więc czuć się oszukana, kiedy właśnie to robił.

W milczeniu dotarli do bramy dworu. Caroline zmartwiła, gdy zobaczyła, jak sposepniał kapitan, gdy potoczył wzrokiem dookoła. Wspaniała brama na dziedziniec była przegniła, wieńczące ją ozdoby podpadały. Część muru już dawno przewróciła się na drogę, a podjazd był zarosnięty trawą i chwastami. Nawet trudno było odróżnić, gdzie kończy się ogród, a zaczyna sad, bo wszystko wyglądało jednakowo dziko.

- Wiele się tu zmieniło, prawda? - powiedział pod nosem Lewis Brabant, a Caroline poczuła na sobie jego wzrok i odniosła wrażenie, że została wkomponowana

w obraz zniszczenia i rozkładu. Nie było to dla niej przyjemne.

Zegar na stajni pokazywał dziesiątą trzydzieści, z wnętrza domu Caroline usłyszała dzwonięcie. Niespokojnie drgnęła. Nie należało wykluczać, że Julia już się zbudziła i czeka na pomoc w porannej toalecie. Odwróciła się do Lewisa Brabanta, który nadal z ponurą miną oglądał swój dom.

- Pójdę i zapowiem pańskie nadejście. Bardzo przepraszam.

Pchnęła furtkę do ogrodu, ale w pośpiechu poślizgnęła się na mokrym mchu. Natychmiast poczuła otaczające ją ramię kapitana.

- Wbrew pani obiekcjom los zdaje się pchać nas ku sobie, panno Whiston - szepnął jej do ucha.

- Stajnie są tam - pokazała z kwaśną miną, próbując się uwolnić. Kapitan nie cofnął jednak ramienia i musiała z całej siły go odepchnąć, żeby osiągnąć zamierzony skutek. Usłyszała jego śmiech.

- Wiem. Przecież tutaj się wychowałem, jeśli pani pamięta... - urwał i nagle się wyprostował, w jednej chwili opuszczając ramiona. Caroline obróciła się. Jedno z okien na piętrze było otwarte, wychylała się z niego kobieta. Wiatr poruszył jej złocistymi włosami. Wyglądała jak księżniczka z bajki.

- Lewisie! - zawołała zjawa. - Jesteś w domu!

- Julio!

Caroline usłyszała, z jaką czułością Lewis Brabant wy-

mawia to imię, i poczuła ukłucie zazdrości. Z niedowierzaniem patrzyła, jak kapitan puszcza wodze, pcha furtkę i wielkimi, sprężystymi krokami rusza do drzwi. Ujęła za uzdę siwka i zaczęła prowadzić zwierzę do stajni.

- A więc to dlatego Julia była zaręczona trzy razy, wyszła za męża i owdowiała w czasie, gdy ja byłam guwernantką albo damą do towarzystwa u trzech rodzin - szepnęła koniowi do ucha. - Mogłabym się uczyć bez końca, a i tak nigdy nie osiągnęłabym tego co ona!

Koń cicho parsknął i potrząsnął łbem, jakby chciał potwierdzić. Caroline oddała wodze stajennemu i poinstruowała chłopca, żeby zajął się zranioną nogą zwierzęcia. A więc to tak. Należało się spodziewać, że Julia bez większych trudności znów rozbudzi uczucia kapitana Brabanta. Może Lewis nigdy do końca jej nie zapomniał, mimo że zdarzyło się tak wiele, odkąd ostatnio się widzieli? Co zaś do jego zachowania w lesie, to dowodziło ono tylko tego, że jest człowiekiem, który igra z uczuciami innych ludzi, a więc nie należy mu ufać. Caroline wsunęła ręce w kieszenie narzutki i obiecała sobie, że kapitan dostanie za swoje, jeśli jeszcze raz spróbuje z nią swoich niecznych sztuczek.

ROZDZIAŁ DRUGI

- Ostrożnie z tym żelazkiem, Caroline - powiedziała z niepokojem Julia Chessford, przekrzywiając głowę na bok, by móc zachwycić się kaskadą złocistych loczków opadających jej na ramiona. - Wiem, że masz dwie lewe ręce, zupełnie jak pomoc kuchenna.

Caroline odparła pokusę, by napiętnować rozgrzanym żelazem ucho Julii.

- Obawiam się, że rzeczywiście nie jest to moja specjalność. Nie miałam dotąd okazji być osobistą służącą damy - odrzekła obojętnym tonem - ale skoro dałaś Letty wolny wieczór...

- Bardzo niefortunnie - przyznała Julia, uśmiechając się do swojego odbicia w lustrze. - Skąd mogłam wiedzieć, że Lewis akurat dzisiaj wróci do domu? Takie niespodziewane zdarzenie może zniweczyć najlepsze plany. Trudno, musimy poradzić sobie, jak umiemy. Pośpiesz się, za dziesięć minut kolacja!

Caroline podeszła do szafy po szal Julii, obserwując kątem oka, jak jej dawna przyjaciółka wstaje i wolno się obraca, aby sprawdzić wszystkie szczegóły wieczorowej toalety. Niezaprzeczalnie wyglądała pięknie. Miała wielkie

niebieskie oczy, które dawały złudne wrażenie słodyczy i niewinności, i gęste złociste włosy, poskręcane w loczki, opadające po bokach okrągłej twarzy. Jej usta tworzyły idealny łuk, nos był mały i prosty. Caroline, której rysom brakowało takiej regularności, wprawdzie za nic nie zamieniłaby swojego umysłu na znacznie mniej lotną inteligencję Julii, ale o jej urodzie czasem wbrew sobie myślała dość zawistnie.

- Może być - zawyrokowała Julia z nikłym uśmiechem, wyrażającym zadowolenie z siebie. - Lewis na pewno mi się nie oprze. Bądź co bądź, długo żeglował po morzach, więc siłą rzeczy stęsknił się za kobiecym towarzystwem.

Caroline znowu poczuła ukłucie zupełnie irracjonalnej zazdrości. Sądząc po zachowaniu Lewisa Brabanta w lesie, Julia miała rację.

- Panna Brabant wspominała mi coś o siostrze Richarda Slatera - powiedziała. - Mniemam więc, że kapitan miał okazję poćwiczyć salonowe maniery w Lyme, zanim tutaj przyjechał.

Julia spojrzała na nią karcąco.

- Znam Fanny Slater, Caroline, i nie sądzę, żebym musiała widzieć w niej rywalkę! - Z pietyzmem wygładziła jedwabne spódnice. - To bardzo pospolita panna i nie umie prowadzić konwersacji. Lewis już pokazał, jak bardzo się cieszy, że znowu mnie widzi.

Caroline odwróciła się, aby Julia nie zobaczyła jej miny, a na wszelki wypadek zaczęła ustawiać słoiczki i fla-

koniki na toaletce. Pokój, ozdobiony różowym aksamitem, wyposażony w białe meble, był sanktuarium poświęconym urodzie Julii.

- Czyżbyś poważnie myślała o odnowieniu romansu z kapitanem Brabantem?

Julia wzruszyła ramionami.

- Czemu nie? Przynajmniej będę miała zabawę w tej dziurze. Poza tym... - spojrzała na Caroline z błyskiem w oczach - Lewis jest całkiem przystojny, czyż nie? Zmienił się, odkąd ostatnio go widziałam. Zdaje się, że może okazać się niemałym wyzwaniem. Co o tym sądzisz?

- Nie mam pojęcia - ucięła, podając Julii szal. - Nie jestem przyzwyczajona do mówienia o dżentelmenach w taki sposób.

- Tego właśnie się spodziewałam. - Julia z pewną dawką złośliwości zmierzyła wzrokiem swoją damę do towarzystwa. - To byłoby wyjątkowo niestosowne dla guwernantki i mogłoby doprowadzić do nieobliczalnych komplikacji. Nie będziesz jadła z nami kolacji dziś wieczorem - dodała, biorąc szal bez słowa podziękowania. - Możesz to zrobić w swoim pokoju. Wystarczy, że muszę dzielić się powrotem Lewisa do domu z tą jego mimozową siostrą, więc nikt więcej przy stole nie jest potrzebny!

Zarzuciła szal na swe mleczne ramiona i westchnęła.

- Boże, jakie nużące jest życie na wsi. Mam nadzieję, że skoro Lewis wrócił, to zaproszenia będą przychodzić częściej! Na pewno zjrzą tu Percevalowie, a może nawet

Cleeve'owie... Czy wspominałam ci, Caroline, że poznałam hrabinę w zeszłym roku w Londynie i była dla mnie niezwykle życzliwa? A skoro teraz jesteśmy sąsiadkami...

Caroline puściła tę tyradę mimo uszu. Po ostatnich kilku tygodniach miała już serdecznie dość towarzyskich aspiracji Julii. Tymczasem rodziny Cleeve'ów i Percevalów nie wykazywały chęci nawiązania bliższych stosunków z sąsiadami w Hewly. Owszem, jedni i drudzy zachowywali się bez zarzutu, gdy Julia i Caroline spotkały ich kilka razy w Abbot Quincey, ale nie wynikło z tego żadne zaproszenie. Gdy Julia postanowiła złożyć wizyty w Jaffrey House i Perceval Hall, nie zastała pań domu. Caroline odebrała to jako jednoznaczny wyraz niechęci, ale Julia zbyła incydent machnięciem ręki i nadal żywiła złudzenia, że z czasem zadzierzgnie więzy przyjaźni z sąsiadami. Caroline w skrytości ducha podejrzewała jednak, że zdaniem wybitnych rodów z sąsiedztwa Julia jest osobą natrętną i zajmuje niskie miejsce w towarzystwie lub, co gorsza, w ogóle do niego nie należy.

- *A propos* miejscowej arystokracji, słyszałam dziś rano pyszną plotkę. - Julia odwróciła się i spojrzała na swoją damę oczami błyszczącymi podnieceniem. - Zgadnij, co się stało.

Caroline przygryzła wargę.

- Jestem pewna, że sama mi to powiesz.

- Och, nie bądź taka nadęta i nie udawaj, że cię to nie interesuje. To jest niesamowita wiadomość! Chłopak z jatkki przyniósł ją ze wsi. Mówią, że markiza Sywell uciekła od męża!

Caroline otworzyła szeroko oczy. Pamiętała złej sławy markiza Sywella z czasów, gdy pobierała nauki w szkole pani Guarding. We wszystkich okolicznych wsiach mówiono wtedy o jego hulawczym trybie życia i niegodziwości. Nie było tygodnia, by nie piętnowano jego niemoralnych postępów z ambony, co zresztą skłaniało młode panny do snucia domysłów na temat istoty zepsucia markiza. Po odejściu ze szkoły do Caroline nie dochodziły już miejscowe plotki, ale gdy znów się tu znalazła, Julia niezwłocznie pomogła jej nadrobić zaległości. Bardzo podnieconym tonem zrelacjonowała jej opowieść o megalomanii markiza, aczkolwiek Caroline, gardząca takim strzępieniem języka, nie zapamiętała z jej paplaniny nawet połowy. Wyglądało jednak na to, że teraz wydarzył się jeszcze większy skandal.

- Markiza? - powtórzyła wolno Caroline. - O ile wiem, mówiłaś mi, że są małżeństwem od niecałego roku...

Julia klasnęła w dłonie.

- Właśnie. Czy to nie pikantne?! Naturalnie przepowiedano, że tak to się skończy, przecież markiz ma nie po kolei i jest trzy razy od niej starszy, a ona też jest dziwna.

Caroline usiadła w nogach łóżka.

- Czy ona była dziwna? Nie słyszałam...

- Och, na pewno słyszałaś, Caro. To stara historia. - Julia sprawiała takie wrażenie, jakby śpieszyło jej się do powtórzenia wszystkiego z najdrobniejszymi szczegółami. Zawsze lubiła stawiać innych w złym świetle. - Już ci

o niej opowiadałam. Markiza była wychowanicą rządcy z opactwa... a ściślej jego adoptowaną córką. Nie pamiętasz? Któregoś dnia John Hanslope wyjechał wozem nie wiadomo dokąd i wrócił z dzieckiem. Powiedział, że to jego wychowanicą. Opiekowała się nią jego żona, guwernantka. Nigdy nie widzieliśmy tej dziewczynki... ani razu nie pokazała się we wsi, nie bywała u sąsiadów... musisz przyznać, że to dziwne!

Julia przerwała na chwilę, by poprawić opaskę, przytrzymując jej loki, zaraz jednak podjęła wątek:

- Przyjazdu tego dziecka pewnie nie pamiętasz, bo to było zaraz po śmierci twojego ojca, kiedy już opuściłaś szkołę pani Guarding. Chyba ci o tym pisałam. Musiałam przekazać taką ważną nowinę!

- Na pewno musiałaś - mruknęła Caroline.

- Rzecz jasna, przez pewien czas sama miałam nadzieję poślubić markiza - powiedziała z ożywieniem Julia i pochyliła się do lustra, żeby lepiej zobaczyć swoje odbicie. - Ale to zawsze był stary pijaczyna, a pani B., żona admirała, bardzo pilnowała, żebym nie znalazła się blisko niego. Zresztą jego upodobania bez wątpienia sięgają niżej, skoro zainteresowała go wychowanicą rządcy.

Wzięła torebkę.

- Za chwilę będzie gong na kolację, ale muszę jeszcze dokończyć ci opowiadanie. Kiedy umarła pani Hanslope, żona rządcy, ten nie bardzo wiedział, co zrobić z dziewczynką i umieścił ją u kupca w Northampton. Widocznie miał nadzieję, że mała nauczy się czegoś użytecznego.

Panna wróciła, kiedy Hanslope był ciężko chory, i wprawiła wszystkich w zdumienie tym skandalicznym małżeństwem z markizem. Skandalicznym!

Caroline, pamiętając złośliwy zachwyt, z jakim Julia przekazała jej tę historię, cicho westchnęła. Wsie otaczające opactwo zawsze szumiały od plotek, nie było w tym nic dziwnego, a życzliwe słowo o markizie zapewne powiedziałyby niewielu.

- Co ludzie mówią? Dokąd ona wyjechała? - spytała Caroline. - Skoro nie miała przyjaciół ani nikogo do pomocy...

Julia wzruszyła ramionami.

- Bóg raczy wiedzieć! Ale należało jej się za głupotę i chciwość, czyż nie? Wymyślić sobie, że takie nic jak ona, w dodatku prawdopodobnie brzydkie jak noc, poślubi markiza!

- A co na to wszystko pan Hanslope? - spytała Caroline.

- Jak to co? Nic! John Hanslope umarł kilka miesięcy temu, niedługo po ślubie markiza! - powiedziała bardzo zadowolona Julia. - Czy to nie pasjonująca historia, Caroline? Ona miała na imię Louise. Ilekroć Sywell robił coś oburzającego, twierdzono, że do niczego bardziej gorszącego już nie jest zdolny, ale jemu zawsze się udawało. A ta panna bez wątpienia prowadziła się jak najgorzej, więc w przyszłości może zarobić na utrzymanie tylko w jeden sposób...

Caroline wstała. Miała dość tego wylewania żółci.

- Ta historia jest bez wątpienia pasjonująca, ale...

Rozległ się gong, wzywający na kolację. Julia ostatni raz przytknęła dłoń do złocistych loczków.

- No, dobrze. Nie będę cię już potrzebować dziś wieczorem. Letty wróci na czas, żeby pomóc mi się rozebrać.

Szybko wyszła z sypialni i znikła na krętych schodach. Caroline bez pośpiechu ruszyła jej śladem. Hewly Manor nie było dużym domem, w części pochodziło jeszcze z czternastego wieku, a choć Julia skarżyła się na niewygodę, przeciagi i brak udogodnień w starych pokojach, to Caroline podziwiała styl i elegancję minionych wieków. Drewniane schody prowadziły z głównego podestu bezpośrednio do sieni z kamienną posadzką, w której wciąż cicho wibrował gong wzywający na posiłki. Admirał zawsze wymagał wojskowej precyzji w swoim domostwie i dopiero ostatnio, gdy jego choroba osiągnęła zaawansowane stadium, dyscyplina uległa pewnemu rozluźnieniu.

Julia narzekała, że posiłki zawsze są spóźnione i często zimne, obsługa niedbała, a służba nie zwraca na nią należytej uwagi. Z jej punktu widzenia był to dowód upadku domu i całego majątku. Caroline doszła do zgoła innych wniosków, widziała bowiem, że służba ma dużo dobrej woli, tylko nikt kompetentnie nią nie kieruje ani o nią nie dba. Zastanawiała się już wcześniej, jak Lewis Brabant zareaguje na te przejawy zaniedbania, i uznała, że nie chciałaby być w skórze jego służących. Zdażyła się przekonać, jaki lęk może wzbudzić kapitan.

Przystanąła na podeście, uważając, by nie wychylić się z cienia. Patrzyła, jak Julia schodzi i na chwilę przystaje przed podłużnym lustrem na półpiętrze, a potem, najwi-
doczniej zadowolona z siebie, rusza do jadalni, by dotrzy-
mać towarzystwa kapitanowi.

Zauważyła jeszcze, że Lewis czeka na Julię u podnóża schodów. Gdy przyglądał się jej, jak nadchodzi, światło padło mu na twarz. Caroline wstrzymała oddech.

Po zmyciu z siebie kurzu i błota z podróży i włożeniu wieczorowego stroju kapitan był wcieleniem elegancji. Niebieskie oczy, które wcześniej bezlitośnie ją przenikały, teraz ciepło patrzyły na Julię. Na wargach pojawił się onie-
śmielający uśmiezek. Lewis wyprostował się i podał Julii ramię. Dziwne, ale przez chwilę Caroline miała wrażenie, że już zaczynał się dusić w czterech ścianach domu. Trwa-
ło to tylko moment, skłoniło ją jednak do zadumy. Czło-
wiek przyzwyczajony do bezkresu oceanu mógł czuć się bardzo skrępowany w wiejskim majątku.

- Dobry wieczór, Julio. - Lewis pocałował ją w rękę.
- Lavender już czeka na dole, ale czy panna Whiston nie zasiądzie z nami do stołu?

Caroline znów wstrzymała oddech. Jak odpowie mu Ju-
lia, skoro sama zabroniła jej zejść na kolację?

- Och, Caro jest wyjątkowo nietowarzyską istotą - od-
rzekła Julia z czarującym uśmiechem, ujmując ramię Le-
wisa. - Próbowałam ją przekonać, żeby się do nas przyłą-
czyła, ale zdecydowanie odmówiła. To prawdziwy ideał
damy do towarzystwa, jest dyskretna i nie lubi się narzu-

cać. A teraz opowiedz mi, Lewisie, o swoich przygodach! Zamieniam się w słuch, mój drogi...

Drzwi jadalni się zamknęły. Caroline poczuła, że ma ochotę tupnąć nogą, co zdarzało jej się bardzo rzadko. Naturalnie nie zależało jej na zjedzeniu kolacji z rodziną, ale łgarstwa Julii bardzo ją zirytowały. Jeszcze w szkole Julia miała niepospolity talent do naginania prawdy w taki sposób, by przedstawić się jak najkorzystniej, a wyglądało na to, że z czasem jeszcze tę umiejętność rozwinęła.

Caroline wyładowała złość na drzwiach swojego pokoju. Trzasnęła nimi tak, że dom się zatrzęsł. Było to dziecinne, lecz przyniosło ulgę. Zazwyczaj bez słowa znosiła afronty, które spotykały ją w pracy. Nawet doszła w tym do dużej wprawy, odkąd opuściła szkołę pani Guarding. Mimo to posada w Hewly Manor wydawała jej się wyjątkowo niewdzięczna. Może dlatego, że kiedyś były z Julią przyjaciółkami, a teraz jedna z nich stała się panią, a druga służącą? A może przez wspomnienia, które budziło w niej Steep Abbot? Uczciwość nakazywała jej jednak przyznać, przynajmniej przed sobą, że powodem wszelkich problemów jest Lewis Brabant. Nie spodobały jej się zakusy Julii, co wydawało się dziwne, pan Hewly Manor sprawiał bowiem wrażenie klasycznego przykładu hulaki.

Pod wpływem nagłego impulsu podeszła do łóżka i wyciągnęła spod niego stary sakwojaż. Trzymała w nim swoje najcenniejsze skarby. Było ich niewiele: złoty medalion i broszka o tym samym wzorze, odziedziczone po

matce, zegarek dziadka z dewizką. Był też pakiet listów, które przez lata dostała od Julii.

Przyjaciółka pisywała nieregularnie. Po swym zamążpójściu i wyprowadzce ze Steep Abbot milczała przez kilka lat, ale owdowiawszy, znów nawiązała korespondencję. Caroline nieraz zastanawiała się, dlaczego zadała sobie trud przechowania tych listów, aż w końcu doszła do wniosku, że są one dla niej przypomnieniem Steep Abbot i dzieciństwa. Poza tym doniesienia Julii, choć dalekie od literackich wyżyn, były tyleż zabawne, co złośliwe.

Zaczęła od przejrzenia wczesnych listów, napisanych w okresie, gdy podjęła pierwszą pracę, w hrabstwie York, a Julia opuściła szkołę pani Guarding i zamieszkała w Hewly pod opieką czcigodnej pani Brabant. Przebiegła wzrokiem po gęsto zapisanych stronach, aż wreszcie znalazła to, czego szukała.

Zycie po twoim odjeździe stało się takie nudne, droga Caro. Pani B., choć bardzo poczciwa, jest wyjątkowo leniwą istotą i prawie nigdzie mnie nie zabiera. Rozpaczliwie tęsknię za sezonem w Londynie. Jak inaczej znajduję sobie męża? W końcu nie pozostanie mi nic innego, jak zagiąć parol na Andrew, chociaż to największy nudziarz ze wszystkich, ciągle tylko łowi ryby i poluje...

Caroline uniosła brwi. Nudziarstwo Andrew Brabanta nie przeszkodziło Julii zaręczyć się z nim nieco później. Ale nie to ją interesowało, w każdym razie nie teraz.

Lewis wrócił z Oksfordu. Chyba uwierzył, że jest poetą, bo pozuje na romantyka: ma piękny lok opadający na czoło i rozmarzoną minę. Nieustannie deklamuje i chodzi napuszony. To byłoby zabawne, gdyby udało mi się go w sobie rozkochać. Miałby przeżycie godne prawdziwego poety, a przy okazji może poprawiłby technikę poetycką! Nie wiem, czy nie spróbuję... Chyba pamiętasz panią Taperley, żonę kowala. Ostatnio wszyscy powtarzają plotkę, że ojcem jej dziecka jest nie kto inny jak markiz Sywell. Chłopiec to podobno wykapany tata. Pani B. bardzo się stara utrzymać mnie poza zasięgiem Sywella, chyba to rozumiesz, co do mnie jednak chętnie złapałabym markiza w sidła. Admirał nie mówi o niczym innym oprócz tej okropnej wojny, więc potrafi zanudzić każdego...

Listów było dużo, a w nich mnóstwo wiadomości i plotek. Caroline przełożyła kilka i wzięła do ręki następny.

Najdroższa Caro, mam wyjątkowo ekscytujące wieści! Lewis poprosił mnie o rękę! Wiedziałam, że uda mi się go zainteresować moją osobą, no i rzeczywiście, zakochał się we mnie po uszy. Ma wypłynąć w rejs i chce wcześniej się ze mną zaręczyć. Zapewnia mnie, że admirał nie będzie stawiał przeszkód, co istotnie jest możliwe, bo czyż nie mam dwudziestu tysięcy funtów? Ze swojej strony obawiam się wyjazdu Lewisa, nie wyobrażam sobie, co wtedy będzie... Przekonałam go, żeby utrzymać zaręczyny

w sekrecie... W zeszłym tygodniu widziałam we wsi Hugona Percevala. Wydał mi się niesłychanie przystojny...

Caroline westchnęła. Wsunęła listy z powrotem do sakwojażu i schowała go pod łóżkiem. Wyglądało na to, że Lewis Brabant był jedynie pierwszą ofiarą podbojów Julii. Wkrótce potem podopieczna admirała przeniosła swe uczucia na starszego brata i doprowadziła do ogłoszenia oficjalnych zaręczyn. W liście zwierzyła się, że admirał i jego żona nie są w najmniejszym stopniu zachwyceni tym związkiem, lecz mimo to była zdecydowana zabłysnąć w okolicy jako żona Andrew Brabanta. Plan się nie powiódł, Andrew i jego matka zmarli bowiem zmożeni gorączką, niedługo potem oświadczył jej się jednak najlepszy przyjaciel Andrew, Jack Chessford... Jack był przystojny i bogaty, a Julia w końcu osiągnęła cel, to znaczy wyjechała do Londynu. W korespondencji nastąpiła przerwa, aż wreszcie przyszedł list z wiadomością, że Jack zginął w katastrofie powozu, pieniądze są na wyczerpaniu, a Julia chce zamieszkać u swego ojca chrzestnego, którego zdrowie w ostatnich latach bardzo podupadło. O Lewisie dalszych wzmianek nie było.

To wszystko stało się, zanim Caroline przyjechała do Hewly jako dama do towarzystwa. Drgnęła niespokojnie, przypomniała sobie bowiem, jak szybko poznała plany Julii. Gdy Julia dowiedziała się o spodziewanym powrocie Lewisa Brabanta, natychmiast oświadczyła, że zastawi na niego sidła jeszcze raz. Nie widziała zresztą nic złego

w uwodzeniu mężczyzny dla własnej przyjemności. Caroline znowu westchnęła. Taki pomysł budził w niej sprzeciw, chociaż powtarzała sobie wielokrotnie, że Brabant prawdopodobnie zasługuje na taki los. Cóż, ostrzec go nie mogła. Zresztą nawet jeśli uczucia Julii były w tej chwili dość płytkie, to czy można było twierdzić, że nie osiągną większej głębi w przyszłości? Ta myśl bardzo gnębiła Caroline.

Rozległo się pukanie do drzwi i w szparze ukazała się głowa piastunki Prior. Ta drobna kobieta z hrabstwa York opiekowała się wszystkimi dziećmi Brabantów, a ostatnio z domku, który dostała w dożywocie, wróciła do dworu, aby zająć się niedomagającym admirałem. Z Caroline szybko się polubiły, gdyż wzajemnie doceniły swoje zalety. Kiedyś, będąc w nastroju do zwierzeń, pani Prior wspomniała, że z Julii jest mniej pożytku niż z czekoladowego pogrzebacza, była więc wdzięczna Caroline za pomoc przy chorym.

- Bardzo przepraszam, panno Whiston, ale czy mogłaby pani posiedzieć z admirałem w czasie, gdy będę jadła? Biedak nie czuje się dzisiaj najlepiej i nie chciałabym go zostawić samego.

Caroline zerwała się na równe nogi. Przez ostatnie tygodnie przywykła do siedzenia z admirałem na zmianę z panią Prior. Julia nigdy nie zbliżała się do ojca chrzestnego, jeśli tylko mogła tego uniknąć, twierdziła bowiem, że jest zbyt delikatnej konstytucji, aby podejmować się tak przykrych zajęć. Natomiast często siadywała przy admirałe Lavender, je-

go córka. Czytała mu wtedy książkę, chociaż trudno powiedzieć, na ile był tego świadom. Nieraz godzinami leżał z otwartymi oczami, nie ruszając się i nie odzywając. Czasem zaczynał z ożywieniem rozprawiać, ale jego słowa nie składały się w sensowne całości, więc trzeba go było uspokajać. Gdy czuł się lepiej, zdarzało mu się odbyć krótki spacer po ogrodzie lub posiedzieć w salonie, choć nigdy nie pokazał po sobie, że wie, co się dookoła niego dzieje. Caroline, która pamiętała sprzed lat silnego, prostego jak kij, aktywnego człowieka, bardzo mu współczuła.

Pokój chorego był pogrążony w półmroku. Tylko jedna świeca płonęła na stoliku przy łóżku. Admirał leżał na plecach, zdeformowane dłonie złożył na kołdrze, oczy miał zamknięte. Caroline usiadła przy nim i wzięła do ręki książkę z morskimi opowieściami, którą zapewne czytała wcześniej Lavender. Jedynymi odgłosami w pokoju były świszczący oddech starszego pana i tykanie zegara na kominku. Zaczęła cicho czytać.

Potem trudno jej było uwierzyć, że zasnęła, ale musiało tak być, bo gdy się ocknęła, usłyszawszy skrzypnięcie drzwi, miała książkę na kolanach, a głowę pochyloną. Świeca tymczasem znacznie się skróciła.

- Nie sądziłem, że panią tu zastanę.

Caroline oczekiwała powrotu pani Prior, ale w kręgu światła stanął Lewis Brabant. Wydawał się bardzo wysoki, jego twarz ginęła w cieniu. Wciąż miał na sobie wieczorowy strój i trzymał w ręce szklaneczkę brandy. Zakłopotana Caroline poderwała się na nogi.

- Och! Pan kapitan! Usiadłam na chwilę przy pańskim ojcu, bo pani Prior poszła na kolację, ale zdaje się... - Zmieszana zerknęła na zegar, nagle uświadomiła sobie bowiem, że jest znacznie później, niż sądziła.

- Pomoc kuchenna rozcięła sobie rękę nożem do warzyw i pani Prior opatruje jej ranę - wyjaśnił Lewis Brabant. - Bardzo przepraszam za tę zwłokę, panno Whiston. Chętnie zmienię panią przy ojcu, a pani może dołączyć do mojej siostry i pani Chessford, które siedzą w salonie

Ta perspektywa wcale nie pociągała Caroline, trudno byłoby bowiem o mniej atrakcyjne zakończenie wieczoru. Lewis spojrział z ponurą miną na twarz śpiącego ojca.

- Jak on się czuje, panno Whiston? Pani Prior twierdzi, że dzisiaj nie ma najlepszego dnia.

- Spał przez cały czas - odparła Caroline z wahaniem.
- Rzeczywiście, niewiele się dziś rusza. Bywa znacznie bardziej ożywiony, czasem nawet chodzi po ogrodzie. No, i często do nas mówi... - urwała, zauważyła bowiem, że Lewis Brabant z uwagą jej się przygląda. Było to bardzo onieśmielające.

- Widzę, że spędza z nim pani wiele czasu - powiedział. - Dziękuję za to. Bardzo jest pani uprzejma.

- Och... - Caroline zakłopotały te wyrazy wdzięczności, nie chciała jednak ich zbagatelizować, żeby nie zostać posądzoną o lekceważenie. Ludzie tak rzadko za coś jej dziękowali. Poza tym opieka nad admirałem naprawdę nie należała do jej obowiązków, podjęła się jej z własnej woli tylko po to, by pomóc pani Prior i Lavender. - Pani

Prior opiekuje się panem admirałem z wielkim oddaniem, ale nawet ona musi czasem odpocząć. Inaczej zapracowałyby się na śmierć.

- Zawsze taka była - stwierdził Lewis, smutno się uśmiechając. - Czy ona powiedziała pani, że piastowała wszystkich w tej rodzinie, a wcześniej w rodzinie mojej matki? Ma niespożyte siły.

Podszedł do kominka i podsycił ogień. Płomienie strzeliły wyżej, cienie zakołysały się na ścianie. Caroline poczuła nagle głód i wielką słabość. Chwyciła za oparcie krzesła, żeby się nie przewrócić. Zapomniała, że godzina posiłku dawno już minęła.

- Podejrzewam, że nie jadła pani kolacji - rzekł Lewis Brabant i podszedł do niej z zatroskaną miną. Ujął ją za ramię. - Jest pani bardzo blada. Proszę tu poczekać, każę przynieść tacę z posiłkiem. Nie możemy dopuścić do tego, żeby doktor Pettifer musiał przychodzić również do pani!

- Ależ ja dobrze się czuję, panie kapitanie. Dziękuję - zaprotestowała, czerwona na twarzy. Podtrzymujące ją męskie ramię wpływało na nią bardzo dziwnie. Kręciło jej się w głowie, trudno powiedzieć, czy z głodu, czy z upokorzenia. W każdym razie Lewis wcisnął jej w dłoń szklaniczkę brandy.

- Proszę to wypić, panno Whiston, zanim pani zemdleje! To znakomicie działa.

Miał rację. Alkohol palił w gardle, więc kilka razy kaszlnęła, ale odzyskała ostrość widzenia. Spojrzała nieco

powątpiewająco na pustą szklaneczkę i przeniosła wzrok na twarz Lewisa.

- Dziękuję... Pańska najlepsza brandy! Tak mi przykro...

- Nie ma się czym przejmować, panno Whiston. Przyniosę pani jeszcze szklaneczkę. - Przyjrzał się jej twarzy, która nie była już kredowobiała, wykwitły bowiem na niej rumieńce. - Chyba powinna pani pójść do swojego pokoju i tam poczekać na tacę z jedzeniem, którą każe podać. Mocny alkohol może mieć zgubne skutki dla osób nieprzyzwyczajonych do jego picia.

- Nie jestem nieprzyzwyczajona... - zaczęła Caroline, pojęła jednak, jak to zabrzmiało, i znów się zmieszała. - Chciałam powiedzieć, że zdarzało mi się pić brandy... Mój dziadek uważał ją za znakomity lek na przeziębienie. - Ależ plotła trzy po trzy. Lewis przypatrywał się jej z rozbawieniem, co jeszcze bardziej ją krępowało.

- Przez chwilę myślałem, że jest pani jedną z tych legendarnych guwernantek uzależnionych od alkoholu, panno Whiston - powiedział. - Niby wydaje się to niedorzeczne, ale zawsze należy się spodziewać nawet tego, co najbardziej niespodziewane.

Doza alkoholu była dla pustego żołądka tyleż błogosławieństwem, co i zgubą. Caroline bardzo powoli uwolniła się z uścisku Lewisa i ruszyła do drzwi.

- Proszę się nie kłopotać przysyłaniem tacy do mojego pokoju. Zaraz zejdę na dół i zjem w kuchni.

Lewis wzruszył ramionami i otworzył przed nią drzwi.

- Proszę bardzo, panno Whiston. Widzę, że postanowiła pani być za wszelką cenę niezależna. Widzę też, że zrezygnowała pani z czerwonego aksamitu na rzecz stateczniejszego odzienia. Tak jak przystoi damie do towarzystwa.

Spojrzała na Lewisa. Mimo półmroku zauważyła kpiący wyraz jego twarzy.

- Podejrzewam jednak, że to jest bardzo powierzchowna transformacja - dodał uprzejmie. - Prawdziwą panną Whiston musi być ta driada, która chodzi po lesie, czytając poezje! I to dziecko leczone brandy...

- Prawdziwa panna Whiston musi zarobić na swoje utrzymanie - odparła kwaśno Caroline - i nie ma czasu na zbytki, sir! Proszę mi wybaczyć, ale już pójdę!

Lewis Brabant ironicznie się skłonił.

- Nie będę pani przeszkadzał w wypełnianiu obowiązków! Dobranoc.

Caroline cicho zamknęła za sobą drzwi i na chwilę oparła się o framugę. Wyglądało na to, że Lewis Brabant mimo urzeczenia Julią nie pogardzi też flirtem z nią. Takie zachowanie nie było nowością dla Caroline, wielu mężczyzn uważało bowiem, że guwernantki i damy do towarzystwa są znakomitym obiektem zalotów. Zwykle nie przejmowała się takimi sytuacjami, tym razem jednak bardzo ją zaniepokoiła jej własna reakcja na Lewisa. Powinna była dać mu ostrą odprawę, a tymczasem kapitan ją pociągał. Było to równie zaskakujące jak niepożądane.

Wolno zeszła po schodach i korytarzem biegnącym

przez pomieszczenia dla służby dotarła do kuchni. Światło i gwar wyrwały ją z zadumy, ale gdy usiadła przy długim stole nad talerzem zupy, znów zaczęła się zastanawiać, co pomyślał o niej Lewis Brabant. Przyszło jej do głowy, że kapitan, urzeczony wdziękami Julii, może nawet wcale o niej nie myśleć. Bardzo ją to zirytowało.

Lewis poczekał, aż Caroline zamknie za sobą drzwi, potem usiadł na krześle przy łóżku, oparł się i zamknął oczy. Miał za sobą ciężki dzień, lecz mimo śmiertelnego zmęczenia odrzucił silną pokusę, by niezwłocznie udać się do władz wojskowych i zażądać dania mu pod komendę pierwszego lepszego statku.

Odpowiedzialność ciążyła mu jak ołów. Dom był w złym stanie, a włości w jeszcze gorszym. Rządca ojca nie ukrywał, ile czasu i wysiłku potrzeba, by coś tu poprawić, a Lewis nawet nie był pewien, czy chce tego spróbować. Nie czuł więzi z miejscem, które przez ostatnie dziesięć lat odwiedził tylko raz. Richard słusznie zauważył, że Hewly Manor nawet nie leży nad morzem. Gdyby nie rodzina. ..

Otworzył oczy. Ojciec oddychał równo, nie wydawał się jednak świadomy. Lewisa ogarnął głęboki smutek. To fakt, że odejście admirała było tylko kwestią czasu, ale przecież obowiązkiem syna było przynajmniej dopilnowanie, by ostatnie dni spędził jak najspokojniej i najwygodniej. Lewis postanowił następnego dnia rano porozmawiać z lekarzem.

Pochylił się nad śpiącym i przyjrzał jego twarzy. Nie byli z ojcem blisko, ale obaj darzyli się szacunkiem. Harley Brabant nigdy nie rozumiał skłonności syna do książek, tolerował ją jednak, choć narzekał na zgubny wpływ rodziny matki. Za to w wielką dumę wbiła go decyzja Lewisa, by śladem ojca wstąpić do marynarki. Teraz Lewis znajdował pokrzepienie w myśli, że ojciec go akceptuje. I dlatego... Lewis westchnął. Dlatego trudno było mu uwolnić się od myśli, że admirał chciałby w nim widzieć swojego następcę w Hewly Manor. Naturalnie mógł sprzedać majątek i przenieść się gdzie indziej, ale wtedy już zawsze ścigałoby go przeświadczenie, że postąpił wbrew woli ojca.

Musiał też pamiętać o Lavender. Gdy opuszczał dom, siostra była zaledwie czternastoletnią dziewczyną. Teraz, jako dorosła kobieta, na pewno miała swoje nadzieje i aspiracje, z czego Lewis naturalnie zdawał sobie sprawę. Prawie jej nie znał, a Lavender wydawała się dość skryta, potrzebował więc czasu, by ją zrozumieć. Tymczasem za-uważał tylko, że nie lubi Julii.

Niespokojnie drgnął. Julia była taka, jak ją zapamiętał, a nawet piękniejsza, jeszcze bardziej urocza i pociągająca. Gdy wyruszał na morze, miała osiemnaście lat, a on był dwudziestodwuletnim młodzieńcem, pewnym swojego rozumu i dzielności. Wargi wykrzywił mu uśmiezek. Jak wiele nauczył się przez pierwsze miesiące żeglugi, dręczony w równej mierze przez morską chorobę i tęsknotę za domem, zalekniony i osamotniony! Najgorszą chwilę

przeżył wtedy, gdy przyszedł list od matki z wiadomością o zaręczynach Julii z jego bratem. Poczł się zdradzony, bo czyż Julia nie wymieniła z nim najświętszych przyrzeczeń? Czy nie obiecała, że będzie zawsze czekać?

Wracając do Hewly, był przekonany, że może zapomnieć o tej cięłej miłości. Bądź co bądź, i Julia, i on byli teraz o dziesięć lat starsi, więc lepiej nie rozgrzebywać przeszłości. Ku jego zaskoczeniu, w Londynie czekał jednak na niego list od Julii, która napisała, że czuła się w obowiązku wrócić do Hewly Manor, by zaopiekować się panem admirałem. Wyrażała też wielką radość, że może powitać go w rodzinnym domu. List skomponowała starannie i z wdziękiem, toteż Lewis mimo woli ucieszył się wizją ponownego spotkania z Julią.

Wstał i podszedł do okna. Ciężkie, aksamitne draperie odgradzały go od listopadowego mroku, a gdy je rozchylił, fala chłodnego powietrza wpadła do przegrzanego pokoju chorego. Księżyc był wysoko i prószyl srebrzystym światłem na opustoszały ogród. Lewis poczuł się więźniem we własnym domu. Z westchnieniem opuścił zasłony i podszedł do kominka. Spodziewał się z początku niezręcznych sytuacji między nim a Julią, okazało się jednak, że jest inaczej. Julia była wymarzoną panią domu, w dodatku roztaczała ciepło, które bardzo oddziaływało na jego wyobraźnię.

Rozmyślania o Julii doprowadziły go do Caroline Whiston. To była wielka zagadka. Z jej strony nie spotkało go ciepłe powitanie. Przez chwilę Lewis przypominał sobie,

jak miło było trzymać ją w ramionach i czuć miękkość rozchylających się warg. Przemiana leśnej driady w surową damę do towarzystwa, ubraną w bury samodział, była zadziwiająca. Zupełnie jakby panna Whiston celowo ukrywała przed światem swoje prawdziwe ja. Przecież nie była pozbawiona urody, a jednak z rozmysłem się szpeciła. Schowała te piękne kasztanowe włosy, dobrała kolor sukni niepasujący do jej mleczej cery, maskowała figurę. W tamtej aksamitnej sukni niczego nie ukrywała... Lewis z trudem zapanował nad szerokim uśmiechem. Nie umiała też odebrać blasku swym bystrym, orzechowym oczom. Była doprawdy niezwykłą damą do towarzystwa.

Wciąż dumając o pannie Whiston, poruszył drewno w palenisku. Co go, u licha, opętało, żeby jej się narzucać? To prawda, że początkowo wziął ją za służącą lub dziewczynę ze wsi, ale przecież raczej nie zdarzało mu się całować służących. Powstała między nimi niewidzialna więź, która natychmiast pchnęła ich ku sobie. Był przekonany, że i panna Whiston ją odczuła, bo później zachowywała się przy nim bardzo niepewnie i z rezerwą. Wiedział, że surowa panna Whiston nigdy nie pozwoli mu podejść bliżej niż na wyciągnięcie ramienia!

Westchnął, ogarnięty wyrzutami sumienia. Nic dziwnego, że panna Whiston tak reagowała po tym, jak zachował się przy pierwszym spotkaniu. Damy do towarzystwa czy też guwernantki zawsze stały na straconej pozycji, a on to wykorzystał. A jednak coś w tej pannie neodparcie go pociągało.

„Rządy spódniczek!” - stwierdził Richard Slater, usłyszawszy o powrocie przyjaciela do domu pełnego kobiet. Lewis skrzywił się. Należało to zmienić. Już po pierwszym dniu był przytłoczony atmosferą Hewly Manor, oznakami choroby w domu i nużącego życia na wsi. Postanowił napisać do Richarda, żeby przyjechał do Hewly i przywiózł jakieś towarzystwo, a potem oddać się sprawom zarządzania włościami i odwiedzinami u sąsiadów. Musiał znaleźć to, czego dotkliwie mu brakowało. Poprzednio rytm życia dyktowała mu służba w marynarce, która wypełniała czas i pochłaniała energię. To była jego największa miłość, ale jeśli miała być jeszcze inna... Przelotnie pomyślał o Julii. Jego pierwsza miłość. Wyobrażanie sobie jej w roli pani wiejskiego majątku wydawało się niedorzeczne, na razie jednak mieszkali pod jednym dachem, a on jeszcze nie zdecydował, czy się z tego cieszyć, czy tego żałować. Uniósł szklaneczkę i zamyślił się. Trzeba poprosić Caroline Whiston, żeby opowiedziała mu więcej o tym dziadku, który uważał brandy za lek na przeziębienie. Z tym postanowieniem ruszył na dół poszukać czegoś, czego można by nalać do szklaneczki.

ROZDZIAŁ TRZECI

Skończyły się poranne spacerunki. Pogoda się popsuła, przyszły deszcze i wiatry, a nawet gdy Caroline chciała wyjść na dwór, Julia znajdowała jej mnóstwo nieistotnych, lecz podobno koniecznych zajęć. Lewisa Brabanta widywało się rzadko, najczęściej bowiem spędzał dni w towarzystwie rządcy lub objeżdżał włości i wracał dopiero na kolację. Caroline nigdy nie jadła przy wspólnym stole i starała się jak ognia unikać kontaktów z panem domu. Mimo to nieustannie pamiętała o obecności Lewisa, miała wrażenie, że posiadłość ożyła dzięki jego energii.

Z nieczęstych spotkań wyniosła przekonanie, że Lewis Brabant jest bardzo opanowanym człowiekiem. Chętnie słuchał innych, odzywał się mało, starannie się wszystkiemu przyglądał, toteż prawie nic nie uchodziło jego uwagi. Dużo wysiłku poświęcał próbom rozmowy z Lavender, a choć jego siostra była z natury nieufna i milkliwa, wkrótce zaczęła się odzywać, widząc, że Lewis naprawdę interesuje się jej sprawami. Caroline pomyślała, że powrót brata jest prawdopodobnie idealnym antidotum na samotność Lavender. Julia nigdy nie próbowała nawiązać z nią przyjaźni, a zresztą wyglądało na to, że nie cieszy się sym-

patią panny Brabant, choć ta naturalnie była zbyt dobrze wychowana, by wyjawić swe uczucia. Do Caroline odnosiła się zawsze uprzejmie, aczkolwiek odzywała się rzadko, lecz ponieważ jednocześnie unikała Julii, Caroline nie miała okazji pogłębić znajomości. Ostatnio jednak wskutek starań Lewisa Lavender powoli nabierała pewności siebie.

Któregoś ranka, gdy Julia zapragnęła dostać nową książkę, Caroline zastała rodzeństwo razem w bibliotece. Dwie jasnowłose głowy pochylały się nad czymś, co wyglądało jak mapa majątku. Caroline przystanąła na progu, uderzona rodzinnym podobieństwem tych dwojga. Nie chciała im przeszkadzać, ale Lewis podniósł głowę, pięknie się do niej uśmiechnął i zwinął mapę.

- O, panna Whiston! Jak się pani miewa? Siostra właśnie pokazywała mi swoje szkice. Rysowała różne rośliny na polanie Steepwood. Czy zna pani tę część majątku ze swoich spacerów?

Pytanie zabrzmiało całkiem niewinnie, ale ponieważ w pobliżu polany Steepwood pierwszy raz się spotkali, Caroline była pewna, że to zaczepka. Najgorsze, że od razu spłonęła rumieńcem. Lewis obserwował ją z wyraźnym rozbawieniem, miał lekko uniesioną jedną brew, a w oczach błyskały mu figlarne ogniki.

- Trochę znam to miejsce - powiedziała oschle. Stwierdziła, że Lavender przygląda jej się nie mniej przenikliwie niż brat. Postanowiła jednak nie poddawać się zakłopotaniu. - Może pokaże mi pani swoje szkice, panno

Brabant - zaproponowała. - Bardzo chciałabym je zobaczyć.

- Naturalnie - bąknęła Lavender, wskazując szerokim gestem ołówkowe rysunki, rozrzucone po całym stole.

Caroline zerknęła na nie i natychmiast zapomniała o skrępowaniu.

- Jakie piękne! - zawołała. - Nie wiedziałam, że ma pani taki talent, panno Brabant. - Pochyliła się niżej. - O ile się nie mylę, to jest konwalijka dwulistna. Nie miałam pojęcia, że one rosną w tutejszych lasach.

Lavender zabłysły oczy.

- *Maianthemum bifolium*, panno Whiston, ma pani rację! Rosną tutaj, choć rzadko. Lubią lekkie, kwaśne gleby, więc występują tylko w części lasu.

- A tu pierwiosnek wyniosły i cebulica... - Caroline z uśmiechem przysunęła do siebie rysunki. - Sporo czasu już minęło, odkąd uczyłam się botaniki, ale...

- Uczyła się pani botaniki? - Twarz Lavender pojaśniała.

Ożywienie dodało pannie Brabant mnóstwo uroku. Caroline przypomniała sobie, jak często Julia nazywa urodę Lavender pospolitą, i pomyślała, że siostra kapitana jest przez wszystkich niedoceniona. Uśmiechnęła się do niej serdecznie.

- Och, uczyłam się tylko dla siebie, po amatorsku. Mam wspaniałą książkę o roślinach odziedziczoną po dziadku. Zawiera opisy wszystkich dziko rosnących kwiatów i mnóstwo szczegółów. Mogę pani pożyczyć... - urwała, świadoma te-

go, że Lewis Brabant ją obserwuje z dyskretnym uśmiechem na twarzy. I nagle wydało jej się, że w pokoju jest nieznośnie gorąco. Szybko odwróciła wzrok. Na szczęście Lavender chyba nie zauważyła, co się dzieje.

- Och, dziękuję, panno Whiston! To by mi sprawiło wielką przyjemność!

Lewis Brabant podszedł do siostry.

- Przyda ci się do rozmów prawdziwy ekspert, a nie brat nudziarz.

Lavender wybuchnęła śmiechem.

- Co ty opowiadasz, Lewisie? Nie bądź śmieszny!

- Zapewniam cię, że nie potrafię odróżnić płotka od sępka, chociaż wiem na pewno, że to są bardzo dobre szkice. A teraz przepraszam, ale muszę zająć się swoimi sprawami. - Nie wychodził jednak z pokoju. - Nie zapomnisz, o co cię prosiłem, Lavender? Może panna Whiston wybrałaby się z tobą do Hammonda, jeśli ma akurat coś do załatwienia w Abbot Quincey?

Caroline chętnie na to przystała.

- Muszę kupić wstążki dla pani Chessford i jeszcze parę innych drobiazgów. Jeśli zechce pani poczekać, aż wybiorę książkę...

Odłożyła dwa przyniesione tomiki na stół i podeszła do dębowych półek, by znaleźć coś dla Julii. Lewis wziął obie książki do ręki i obejrzał grzbiety. Popatrzył na Caroline z rozbawieniem.

- *Rozważna i romantyczna* i *Marmion!* Dziwne zestawienie, panno Whiston!

- Och... - Caroline spłonęła rumieńcem. - *Rozważną i romantyczną* czytała pani Chessford...

Lewis uniósł brwi.

- Zaskakuje mnie pani. Julia czyta powieści obyczajowe, a pani romanse! To zabawne, bo z pozoru wydawałoby się, że jest odwrotnie.

Schował książkę do kieszeni.

- Chętnie przeczytam *Marmion* jeszcze raz... - Uniósł dłoń na pożegnanie. - Musi pani zjeść dzisiaj z nami kolację, panno Whiston. Dość tego chowania się w swoim pokoju! - Zostawił Caroline zmieszaną i rozdrażnioną, a w dodatku zafrasowaną tym, że dostrzegła w oczach Lavender oznaki żywego zainteresowania sceną z książkami.

Spacer do Abbot Quincey był bardzo przyjemny, chociaż po ostatnim deszczu drogi stały się błotniste. Pierwszy raz w tym tygodniu wyszło słońce, co zachęciło Julię, aby wybrać się do znajomych pod Northampton. Wzięła więc powóz i dała swojej damie wolne, stwierdziła bowiem, że nie potrzebuje jej towarzystwa, skoro będzie miała inne, ciekawsze.

Na szczęście Lavender Brabant była znacznie miłszą, a przede wszystkim lepiej wychowaną osobą. Idąc do wsi, dyskutowały o botanice i sztuce, a przy okazji stwierdziły, że mają wiele wspólnych zainteresowań. Droga minęła im więc szybko. Po niekończących się plotkach Julii taka rozmowa podziałała bardzo ożywczo i zdecydowanie podniosła Caroline na duchu.

Abbot Quincey było pełne ludzi, mimo że wcale nie przyszły w dzień targowy. Główną ulicą dotarły do sklepu Hammonda i przystanąły, by obejrzyć nową fasadę. Lavender skwitowała chichotem półkoliste okno nad drzwiami i witryny w wielkich wykuszowych oknach.

- Ho, ho, jak na wiejski sklep wygląda to trochę zbyt wystawnie. Rozumiem, że pan Hammond skopiował swój sklep z Northampton i teraz pęka z dumy. Proszę spojrzeć, panno Whiston, ozdobił drzwi muślinem i kaszmirem! Mam nadzieję, że mu się nie ubłocą te ozdoby.

Już miały wejść do środka, gdy zaczął im dawać znaki chuderlawy dżentelmen, wyraźnie nimi zainteresowany. Lavender przesłała Caroline wymowne spojrzenie i znikła we wnętrzu sklepu. Caroline z westchnieniem odwróciła się, by powitać przybysza. Miała nadzieję, że udało jej się przybrać uprzejmy, lecz nie nazbyt entuzjastyczny wyraz twarzy.

- Dzień dobry, panie Grizel. Jak się pan miewa?

Hubert Grizel był pastorem w pobliskiej parafii, a ostatnio głosił kazania w Abbot Quincey na zaproszenie wielbego Williama Percevala. Gdy tylko Caroline zobaczyła go pierwszy raz w kościele, uznała, że ma przed sobą klasyczny przykład dobrodzieja szukającego żony. Natomiast pan Grizel, zatrzymawszy wzrok na Caroline, nabrał przekonania, że znalazł idealną kandydatkę. Odwiedził ją potem w Hewly, i to nawet kilka razy, a Julia dworowała sobie z jego duszpasterskich wizyt, co bardzo krępowało Caroline. Nie miała zamiaru czynić duchownemu nadziei, ale nie chciała też sprawić mu przykrości.

- Dzień dobry, panno Whiston! - Pan Grizel natychmiast się rozpromienił. Zdjął kapelusz i skłonił się tak głęboko, że omal nie upadł. - Jak zdrowie? Pięknie pani wygląda, jeśli wolno mi pozwolić sobie na taką śmiałość. Od dawna już zamierzałem zajść do Hewly, ale przy takiej pogodzie, jak ostatnio mieliśmy... - Wskazał błotnistą drogę.

Caroline uśmiechnęła się.

- Zdrowie mi dopisuje, dziękuję bardzo. A w Hewly Manor wszystko w porządku. Stan pana admirała niewiele się zmienia. No, i pewnie pan już słyszał, że mamy dobrą nowinę. Wrócił kapitan Brabant.

Pan Grizel istotnie już słyszał o powrocie Lewisa.

- Cieszę się, że kapitan powrócił szczęśliwie z wojen - oświadczył pompatycznie. - A najbardziej z tego, że damy znalazły się wreszcie pod godną opieką. Dom pełen niewiast potrzebuje krzepkiego obrońcy!

Ugryzła się w język i nie powiedziała, że żadne niebezpieczeństwo im nie groziło, zapadło więc krępujące milczenie. Pan Grizel najwyraźniej usiłował wymyślić temat nadający się do rozmowy, Caroline jednak nie zamierzała ułatwić mu zadania.

- Przepraszam - powiedziała po chwili, wskazując ku drzwiom sklepu. - Muszę załatwić sprawunki. Do zobaczenia.

Pan Grizel żarliwie ją zapewnił, że wkrótce z pewnością się spotkają, i zaczął się oddalać, nie przestając mamrotać pod nosem mało odkrywczych komplementów.

Caroline z uśmiechem odsunęła błękitny muślin w kropki, zdobiący wejście do sklepu. Biedny pan Grizeł! Miała nadzieję, że źle odczytała jego intencje, z drugiej strony była jednak prawie pewna, że ta nadzieja jest płonna. Naturalnie nie można było mieć do pastora pretensji o traktowanie guwernantki jak odpowiedniej kandydatki na żonę, liczyła jednak na to, że swoim zachowaniem nie ośmieliła go dostatecznie, by wystąpił z oświadczeniami. Nie chciała urazić jego uczuć.

Po rozświetlonej ulicy wewnątrz sklepu wydało jej się mroczne. Przystanęła na chwilę, żeby przyzwyczaić oczy do ciemności. Połowę sklepu zajmowały żywność i artykuły pierwszej potrzeby, od świec po czajniczki do herbaty. Druga połowa była składem bławatnym. Arthur Hammond bez wątpienia wiedział, jak wykorzystać wszystkie nadarzające się okazje do sprzedania towaru. Doskonale rozumiał, że na wsi jego klientami będą najrozmaitsze kobiety - i żona piekarza, i pani Perceval - a wszyscy potrzebują sklepu, gdzie można kupić jak najwięcej rzeczy, żeby nie trzeba było zbyt często wyprawiać się do Northampton. Jednocześnie udało mu się stworzyć takie wrażenie, jakby wystawione towary były w naprawdę dobrym gatunku. Miejscowi uważali Hammonda za bardzo możnego człowieka, zresztą nie bez powodu. Miał przecież duży skład właśnie w Northampton i sieć sklepów w całym hrabstwie. Poza tym również inni członkowie rodziny Hammonda żyli z handlu. Jego dzieci zdobywały wykształcenie z dala od domu, tylko Barnaba, najstarszy

syn, był szkolony na następcę ojca i miał przejąć po nim sklep.

Caroline stanęła za belą lśniacej tafty, opartą o półkę, i zaczęła rozglądać się za wstążkami. Julia prosiła ją o dobranie ozdób do dwóch nowych sukni. Materiał znalazła sama, ale dodatki już jej nie interesowały, więc zleciła ich zakup swojej damie. Caroline nie miała nic przeciwko temu. Wiedziała, że potrafi zestawiać kolory i ma dobry gust, jeśli tylko dać jej szansę wykazania się. Zresztą jeśli Julii nie spodobałyby się zakup, to przecież jej strata, mogła zrobić go sama.

Caroline przystanęła przed półką z eleganckimi pończochami i koronką. Chciałyby mieć tyle pieniędzy, no, i okazję, żeby tak elegancko się ubrać. Jedyńm jej luksusowym strojem była czerwona suknia wieczorowa, nie pozwoliłaby sobie bowiem na kupno czegoś, co nie będzie jej potrzebne. Naturalnie byłoby zabawnie, gdyby któregoś dnia... Złapała się na naiwnym marzeniu o tym, jak ubrana w zielony jedwab z gracją schodzi po szerokich schodach do sali balowej... Szybko oddaliła od siebie ten obraz.

Przy ladzie dostrzegła Lavender, kupującą akurat złotą plecionkę, prawdopodobnie dla Lewisa. Obsługiwał ją osobiście Barnaba Hammond, co zwróciło uwagę Caroline, zakup bowiem był bagatelny i powinien się nim zajmować jeden z subiektów. Lavender pochyliła się nad torebką, a Caroline dostrzegła w oczach Barnaby bardzo osobliwy wyraz. A więc przystojny syn właściciela sklepu

nie był obojętny na wdzięki córki admirała! W tej chwili Lavender podniosła głowę, skrzyżowała spojrzenia z Barnabą i zaskoczona tym, ślicznie się zarumieniła. Caroline nawet się nie zdziwiła, każda kobieta mogłaby bowiem bez wahania powiedzieć, że Barnaba Hammond jest niezwykle atrakcyjnym mężczyzną. Może zresztą ze strony Lavender zainteresowanie miało jedynie wymiar fizyczny. Przecież nie spotykała wielu młodych mężczyzn, a Barnaba był dobrze zbudowany i miał smutne, bardzo skupione spojrzenie, któremu trudno było się oprzeć. We wsiach mówiono, że dziewczęta szaleją na jego punkcie, ale Barnaba zachowywał rozsądek i z nikim nie utrzymywał bliższych kontaktów, prawie tak samo jak Lavender.

Barnaba zauważył, że jest obserwowany, więc natychmiast się wyprostował, cofnął o krok i przybrał bardziej oficjalną pozę. Caroline podeszła do niego z wybranymi próbkami. Lubiła Barnabę i nie chciała, by posądził ją o wścibstwo, nie mogła jednak opędzić się od myśli, co powiedziała by Lewis, gdyby jego siostra zapałała uczuciem do syna kupca bławatnego. Mimo aspiracji Arthura Hammonda nie można byłoby przecież powiedzieć, że jest to małżeństwo osób równych sobie stanem.

Zakupiwszy wstążki, guziki i plecionkę, Caroline i Lavender wyszły ponownie na główną ulicę Abbot Quincey, żegnane osobiście przez Arthura Hammonda. Lavender wciąż miała delikatne rumieńce na policzkach i lśniące oczy, ale zanim Caroline zdecydowała, czy poruszyć ten temat, wpadły na panią Perceval.

Caroline poczuła się niezręcznie. Ostatnio gdy spotkała panią Perceval z córką, była z Julią, a mimo że wymieniły serdeczne pozdrowienia, odniosła nieodparte wrażenie, że żona pastora nie chce podtrzymywać tej znajomości. Było to dość dziwne, Caroline wiedziała bowiem skądinąd, że pani Perceval jest najżyczliwszą z życzliwych istot, a o jej szczodroblewości szeroko opowiadano w okolicy. Nasuwał się więc przykry wniosek, że chodzi o uniknięcie zbyt bliskich kontaktów z Julią. Potwierdził się on teraz, pani Perceval powitała bowiem Lavender bardzo ciepło.

- Jak miło znów cię widzieć, moja miła! - Uściśnęła rękę Lavender i przyjaźnie uśmiechnęła się do Caroline.
- Bardzo nas ucieszyła wieść o powrocie twojego brata. Musisz być bardzo szczęśliwa, że znów masz go w domu.

Lavender zarumieniła się i uśmiechnęła.

- To prawda. Bardzo tęskniłam za Lewisem.

Pani Perceval poklepała ją po wierzchu dłoni.

- Naturalnie, naturalnie, moja miła. Mam nadzieję, że kapitan osiadzie tu na stałe, tak jak my wszyscy. Przyniosłoby to dużą korzyść majątkowi. - Po twarzy przemknął jej cień. - A jak się miewa twój ojciec?

Lavender nieco spochmurniała.

- Obawiam się, że niezbyt dobrze, proszę pani. To chyba już niedługo potrwa... - urwała. - Dlatego podwójnie się cieszę, że brat wrócił do domu.

Pani Perceval westchnęła.

- To doprawdy fortunne zrządzenie losu, że w trudnej chwili masz się na kim oprzeć. - Zwróciła się do Caroline.

- Miło mi znów panią widzieć, panno Whiston! Proszę zobaczyć, ile się tu zmieniło, odkąd była pani w szkole!

- O, widzę, proszę pani, naturalnie - bąknęła Caroline, zaskoczona tym, że dostrzeżono jej obecność. Nie miała pojęcia, że pani Perceval znają z nazwiska, a tym bardziej wie o jej nauce w szkole pani Guarding.

Pani Perceval nadal się do niej uśmiechała.

- Znałam pani mamę, panno Whiston. Razem debiutowaliśmy, Debora i ja. - Pokręciła głową. - Szkoda, że potem straciłyśmy kontakt, była bardzo dobrą przyjaciółką. W każdym razie gdyby kiedykolwiek potrzebowała pani pomocy - nagle spojrzała na nią znacząco - proszę zwrócić się z kłopotami do mnie.

Znów uśmiechnęła się do Lavender.

- Nie będę cię teraz zatrzymywać, moja miła. Twój brat ma bez wątpienia mnóstwo pracy w majątku, ale sir James i ja z przyjemnością podjęlibyśmy was któregoś wieczoru kolacją. Przyślę wam zaproszenie. Życzę miłego dnia. - Skinęła głową Caroline. - Do zobaczenia, panno Whiston.

- Pani Perceval bardzo ładnie się zachowała - powiedziała Lavender, gdy znalazły się w drodze powrotnej do Steep Abbot. - Wprawdzie nie mam szczególnej ochoty udzielać się towarzysko, ale Percevalowie zawsze byli dla mnie bardzo mili. - Posmutniała. - Obawiam się, że Julia nie będzie zachwycona. Pani Perceval nie wspomniała o niej ani słowem, więc, jak sądzę, zaproszenie chyba jej nie obejmuje.

Caroline zawahała się. Była przekonana, że pani Perceval nie zaprosiła Julii celowo, nie mogła jednak tego powiedzieć głośno. Chlebodawczyni należała się z jej strony przynajmniej lojalność.

Lavender nagle dotknęła jej ramienia z bardzo skruszoną miną.

- Przepraszam, panno Whiston. Musi być pani ciężko nawet bez moich nietaktownych uwag. Nie mówmy więcej o Julii i nie psujmy tego uroczego dnia!

Caroline mimo woli się uśmiechnęła. Wydało jej się dość zabawne, że ktoś współczuje jej z powodu pracy u Julii Chessford. Julia miała w Hewly status kukułki: nie cieszą się z jej obecności w tym gnieździe rodzinnym, ale była zbyt dużym ptakiem, by ją przepędzić. Naturalnie jednak po jej ślubie z Lewisem wszystko by się zmieniło. Żony Lewisa Brabanta nie można by wyłączać z zaproszeń. Caroline poczuła się tak, jakby nagle słońce zaszło za wielką chmurę.

- Pani Perceval zachowała się sympatycznie wobec pani, prawda, panno Whiston? - przypomniała sobie Lavender. - Nie wiedziałam, że znała pani rodzinę. Ale co właściwie miała na myśli, oferując pomoc?

- Pewnie sądzi, że któregoś dnia mogę szukać nowego miejsca pracy - odrzekła spokojnie Caroline, choć nie była pewna, czy właśnie tego dotyczyły słowa żony wielbego. - Bardzo mi miło, że o mnie pomyślała.

- Och, to jest bardzo życzliwa osoba - potwierdziła Lavender. - Zresztą niewykluczone, że okazała się bardzo

przewidująca, przecież Julia może stąd wyjechać albo wyjść za mąż.

Caroline postanowiła zmienić temat. Nie chciała ani chwili dłużej rozważać matrymonialnych planów Julii. Wiedziała o jej zainteresowaniu Lewisem, to jednak stawiało ją w bardzo niezręcznej sytuacji wobec panny Brabant. Lepiej jednak być guwernantką niż damą do towarzystwa. Stała się powierniczką zbyt wielu sekretów.

- To dobrze, że powrót brata tak panią ucieszył, panno Brabant - powiedziała ciepło. - Czy on bardzo się zmienił?

Lavender uśmiechnęła się szeroko.

- Prawdę mówiąc, panno Whiston, nie bardzo pamiętam, jaki był Lewis, zanim zaczął pływać. Różnica wieku, pani rozumie, choć naturalnie nigdy nie był mi aż tak obcy jak Andrew. - Parsknęła śmiechem. - Pamiętam, że gdy skończył uniwersytet, pozował na poetę. Pisał bardzo złe wiersze i przybierał tak tragiczne pozy, że chciało się nim mocno potrząsnąć. Służba w marynarce wyleczyła go chyba z tej śmieszności. W każdym razie stał się pewniejszym siebie i bardziej zdecydowanym człowiekiem, czemu trudno się dziwić. — Zawahała się. - Zastanawiam się tylko, jakie uczucia budzi w nim powrót do domu. Hewly trudno nazwać szczęśliwym miejscem. Ojciec choruje, a majątek podupadł. Nie wiem, czy z czasem Lewis nie sprzeda ziemi i dworu, a sam nie wróci na morze.

Caroline nie spodziewała się tego.

- Przecież Hewly jest majątkiem, który z pewnością

zacznie znowu przynosić zyski, jeśli będzie odpowiednio zarządzany. A pani brat chyba nie chce pływać do końca życia... - urwała, uświadomiła sobie bowiem, że musiało to zabrzmieć dość arogancko.

Lavender nie wydawała się jednak urażona.

- Może się myłę, ale nie sądzę, żeby Lewis miło wspominał Hewly. Poza tym to nie jest taki rodzinny dom, jak na przykład Perceval Hall. Tata kupił ten dwór, ale Brabantowie pochodzą z hrabstwa York, to pani na pewno wie. Jako młodszy syn musiał po prostu sam urządzić sobie życie. Mama była z Fontenoyow, ale mimo arystokratycznych koligacji nie miała pieniędzy, więc... - Lavender wzruszyła ramionami. - Hewly siłą rzeczy stało się naszym rodzinnym domem. A los zdecydował, że nie jest to dom szczęśliwy.

- Ani dla pani, ani dla brata - dokończyła Caroline współczująco. - Nie wspomniała pani o swojej sytuacji, panno Brabant, ale przypuszczam, że nie zawsze była pomyslna.

Lavender lekko się zaczerwieniła.

- Och, daję sobie radę, jak umiem. Miałam nawet sezon w Londynie dzięki ciotce Auguście Carew, która wprowadziła mnie do towarzystwa i była bardzo niezadowolona, że nie wzbudziłam zainteresowania! - W oczach Lavender pojawił się figlarny błysk, który przypomniał Caroline Lewisa. - Nie wypada z tym się zdradzać, ale wolę wieś niż Londyn. Szkoda mi czasu na tych wszystkich fircyków, bawidamków i głupie panny, które nie interesują się niczym innym oprócz znalezienia bogatego męża.

Caroline wybuchnęła śmiechem.

- Za to należy się pani moje uznanie, panno Brabant! Przyjemność rysowania i poznawania przyrody musi być znacznie większa niż wypełnianie czasu balami i przyjęciami.

- Ja też tak myślę! - zgodziła się z nią Lavender. - Chociaż - dodała z zadumą - w teatrze i na niektórych balach całkiem mi się podobało.

- Może pani brat wynajmie dom w Londynie na przyszły sezon - wyraziła przypuszczenie Caroline. - Wszyscy powinni być z tego zadowoleni.

- Na pewno tak zrobi, jeśli kuzynka Julia będzie miała cokolwiek do powiedzenia w tej sprawie. - Ton jej głosu nagle się zmienił. - Mam nadzieję, że Lewis nie... - urwała. - Bardzo przepraszam, panno Whiston. Za dużo mówię, to do mnie zupełnie niepodobne.

- Nie ma powodu do przeproszania - odrzekła z uśmiechem Caroline. - Bardzo miło mi z panią porozmawiać, panno Brabant.

- Czy nie mogłaby pani mówić mi po imieniu? - zaproponowała nieśmiało Lavender. - Chciałabym, żebyśmy się zaprzyjaźniły.

Caroline bardzo wzruszyła ta propozycja.

- Dobrze, ale pod warunkiem, że będziesz mnie nazywać Caroline - zastrzegła się. - Przecież mamy się zaprzyjaźnić, no i mieszkamy w jednym domu, przynajmniej na razie.

- Bardzo chętnie. - Dziewczyna przypieczętowała umowę uśmiechem. - Popatrz, chyba zbliża się Lewis.

Obie odwróciły się, usłyszały bowiem za plecami odgłos pojazdu toczącego się po trakcie. Jechał nim kapitan Brabant, a Caroline nie wiadomo czemu natychmiast zarumieniła się na jego widok, jakby złapano ją na niegodziwym postępku. Zeszła na krawędź drogi i chciała zaproponować Lavender, aby wsiadła do dwukółki i pokonała resztę drogi razem z bratem, ale panna Brabant ją uprzedziła.

- Na pewno ciężki jest ten koszyk, Caroline. Lewis może cię podwieźć, a ja pójdę stąd skrótem przez pola - powiedziała i już jej nie było. Caroline popatrzyła za nią zdumiona. Lavender miała bardzo tajemniczą umiejętność pojawiania się i znikania niczym błędny ogień.

Chwilę później Lewis Brabant zatrzymał dwukółkę przy Caroline.

- Witam, panno Whiston! Szukałem was obu w Abbot Quincey, ale wygląda na to, że się trochę spóźniłem. Czy wszystko jest w porządku? Mojej siostrze podejrzanie się śpieszyło.

Caroline miała bardzo zdziwioną minę, jeszcze bowiem nie zdążyła zorientować się w sytuacji. Ani ich wcześniejsza rozmowa z Lavender, ani nagłe pojawienie się Lewisa nie tłumaczyło takiego pośpiechu.

- Panna Brabant wolała wrócić pieszo przez pola - odzwała beztrzesko. - Może znalazła tam nowy temat do szkicu?

Lewis zeskoczył na drogę.

- Z pewnością tak! A tymczasem została pani sama

z ciężkim koszykiem. Zapraszam do mnie. Zaoszczędzi pani dobrą milę.

Caroline nie od razu zareagowała. Wołała nie myśleć, skąd u niej taka niechęć do podróży powozikiem.

- Czyżby już pan załatwił swoje sprawy? Nie chcę sprawić kłopotu, koszyk jest doprawdy lekki.

Lewis już się nim jednak zajął, a potem podał jej ramię, żeby pomóc we wsiadaniu do dwukółki. Zanim Caroline zdążyła skończyć zdanie, siedziała na ławeczce, otulona pledem.

- Nie jest to tak elegancki pojazd jak faeton - powiedział Lewis, zajmując z uśmiechem miejsce obok niej - ale o wiele praktyczniejszy na tych drogach. Wziąłbym Nelsona, lecz jeszcze nie wykurowałem mu kopyta. Dziękuję, że się nim pani zajęła w dniu mojego przyjazdu, panno Whiston. - Zerknął na nią kątem oka. - Stajenny powiedział mi, że otrzymał od pani szczegółowe wskazówki, co zrobić z uszkodzonym kopytem. Czy umie pani jeździć konno?

- W dzieciństwie trochę jeździłam - przyznała, powściągając uśmiech na wspomnienie konia nazwanego imieniem największego współczesnego admirała. - I nawet bardzo mi się to podobało. W pracy nie miałam z tej umiejętności pożytku.

Lewis zachęcił konie do statecznego kłusu. Na ławeczce było niewiele miejsca i Caroline aż podskoczyła, gdy ich ciała się zetknęły. Było to bardzo dziwne uczucie.

- Czy zawsze mieszkała pani na wsi, czy rodziny, u których, pracowała pani jeździły czasem do Londynu?

Caroline usiłowała się skupić.

- Mieszkałam przede wszystkim na wsi i wolę to, podobnie jak pańska siostra. Dawno temu miałam sezon w Londynie. - Zawahała się, bo nie chciała sprawić wrażenia, że narzeka na swój los. - Jeszcze przed śmiercią ojca.

- Była pani w Londynie podczas sezonu? - Lewis zerknął na nią z ukosa. Nie krył bynajmniej aprobaty, toteż rumieniec na jej policzkach nabrał intensywności. - Dziwię się, że nie doprowadziło to do małżeństwa. Musiała pani mieć mnóstwo kandydatów do ręki.

Powiew wiatru ochłodził rozpaloną twarz Caroline.

- Nie wzbudziłam zainteresowania - powtórzyła niedawne słowa Lavender. - Na szczęście nie zdawałam sobie sprawy z tego, co wkrótce na mnie spadnie.

Zamilkła, zorientowała się bowiem, że te słowa zabrzmiały dwuznacznie. Nie chciała dać mu do zrozumienia, że zawarłaby małżeństwo z rozsądku, bo na to by nie przystała. Zamierzała tylko powiedzieć, że była niefrasobliwą, niedoświadczoną panną, która nagle została zmuszona do samodzielnego zdobywania środków utrzymania. Nie widziała jednak sposobu na wytłumaczenie tego Lewisowi.

- Przypuszczalnie małżeństwo oparte na wspólnocie interesów byłoby jednak korzystniejsze niż konieczność zarabiania na życie. - Lewis urwał, zauważył bowiem zmieszanie Caroline. Na chwilę rozdzieliła ich kłopotliwa cisza, przerywana tylko stukaniem podków o ziemię.

Caroline poczuła się niezręcznie. Lewis wyczytał z jej słów dokładnie to, czego nie zamierzała powiedzieć. Pomyślał, że przyjęłaby każdą propozycję małżeństwa, byle tylko uniknąć ubóstwa. Nie spodobała jej się myśl, że wydała mu się tak płytką osobą. Nie bardzo wiedziała dlaczego, ale zależało jej na tym, by zmienić to jego przekonanie. Dobre maniere powstrzymały ją jednak przed mętnymi wyjaśnieniami. Tymczasem Lewis odezwał się znowu.

- Bardzo przepraszam, panno Whiston. Nie powinienem był tego mówić. Obawiam się, że nie jestem przyzwyczajony do tak starannego dobierania słów, jak wymagają tego reguły w towarzystwie. Nie chciałem pani urazić.

- Podejrzewam, że gdyby na morzu zwlekać i próbować przemilczeń, to niejeden statek szybko osiadłby na mieliźnie - odrzekła. Jednocześnie uświadomiła sobie, że unika jego spojrzenia. Dlaczego zależało jej na aprobacie Lewisa Brabanta, nie umiała odgadnąć, ale zależało jej niewątpliwie.

- A więc Lavender woli wieś niż miasto - stwierdził Lewis po chwili. - Cóż, tak mi się zdawało, ale nie byłem pewien, czy w tajemnicy nie snuje marzeń o następnym sezonie w Londynie. Nawet myślałem o wynajęciu tam domu w przyszłym roku, aczkolwiek tu jest tyle pracy, że nie wiem, czy będzie to możliwe.

- Czy to znaczy, że majątek tak szybko podupadł? - spytała Caroline z nadzieją, że nie zostanie jej to pocz-

tanę za impertynencję. - Pan admirał nie choruje chyba bardzo długo...

- To prawda, że ostatni atak miał zaledwie trzy miesiące temu - przyznał Lewis. - Sądzę jednak, że jego zdrowie pogarszało się stopniowo od chwili, gdy zmarła moja matka. Oni byli bardzo ze sobą życzliwi. Poza tym stracił syna. Zapewne doszedł do wniosku, że nie ma już po co pracować, i od tej pory wszystko stopniowo popadało w ruinę.

- Przykro mi - powiedziała z wahaniem Caroline. - Również dlatego, że musiał pan zrezygnować z pływania.

- No, cóż - Lewis obrócił głowę i blado się do niej uśmiechnął - i tak miałem niedługo wrócić na ląd, chociaż nie z własnej woli. Mój ostatni okręt, „Nieustraszona”, został przeznaczony do rozbiórki, a nie dostałem jeszcze przydziału na następny. Szkoda - dodał, wpatrując się w drogę. - To była wspaniała łajba, dzielna i solidna.

Dotarli do zakrętu, przy którym teren zaczynał obniżać się ku południu, a w jego zagłębieniu ukazały się zabudowania Hewly, otoczone przez wieś Steep Abbot. Rzeka wiała się jak błyszcząca wstążka, a las za polami wyglądał jak patchworkowa kołdra. Caroline nie mogła się nie uśmiechnąć.

- Ale tu jest bardzo pięknie, kapitanie, czyż nie? Jeśli już trzeba zostać na lądzie, można trafić dużo gorzej. Pański dom jest klejnotem, ma mnóstwo oryginalnych cech. Czy wie pan o tym, że takie sztukaterie na ganku są bardzo rzadkie? Czytałam historię ich powstania i... - Nagle zre-

flektowała się, że przecież nie powinna pleść trzy po trzy o historii jego własnego domu. Bez wątpienia znał ją znacznie lepiej niż ona!

- Kiedyś musi mi pani opowiedzieć o dziejach Hewly Manor, panno Whiston - rzekł uśmiechnięty. - Osobiście znam je bardzo słabo, chociaż podejrzewam, że Lavender czytała na ten temat niemało. Wydaje mi się, że ona w ogóle dużo wie.

- Pańska siostra jest bardzo zdolna - przyznała Caroline, bardzo zadowolona w duchu z takiego zwrotu w rozmowie. Miała wrażenie, że w towarzystwie Lewisa zachowuje się jak bardzo niedoświadczona panna. - Szkoła pani Guarding zasłużenie ma renomę.

- Dobre wychowanie nie wystarczy, by wyćwiczyć umysł - stwierdził Lewis. - Trzeba też mieć chęć do nauki i ciekawość świata.

Caroline starała się nie myśleć o Julii, która była najlepszym przykładem jałowego umysłu i zmarnowanej pracy wychowawczej.

- Wydaje mi się, że panna Brabant ma i jedno, i drugie - powiedziała ostrożnie.

- A ja bardzo się cieszę, że znalazła w Hewly Manor rozsądną towarzyszkę - odrzekł Lewis, ciepło się do niej uśmiechając. - Jako dziecko zawsze była bardzo cicha. Z powodu różnic wieku każde z nas właściwie dorastało osobno, a ona w dodatku była dziewczynką. Obawiałem się nawet, że wyrośnie na odludka. Kontakty z panią wyraźnie dobrze jej robią.

Caroline poczuła niekłamana przyjemność z tej pochwały, ale uznała, że nie ma do tego powodu. Miano rozsądnego człowieka nie jest szczególnie nobilitujące. Wiedziała zresztą, że i dla niej znajomość z Lavender jest bardzo korzystna. Uprzejmość panny Brabant stanowiła antidotum na małostkowość i złośliwe uwagi Julii. Tego jednak nie mogła powiedzieć Lewisowi, który zdawał się widzieć w Julii ideał kobiecości.

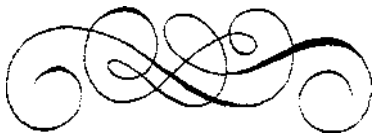
Dwukółka toczyła się w dół po stoku ku wsi. Caroline zaczęła przyglądać się dłoniom Lewisa trzymającym wodze, opalonym i mocnym. Wolałaby jak najszybciej znaleźć się w bezpiecznej odległości od tego człowieka. Było w nim coś takiego, co wytrącało ją z równowagi, a nie nawykła borykać się z burzliwymi uczuciami.

Koła zaturkotały na bruku i wjechali na dziedziniec Hewly Manor. Stajenny wyszedł im naprzeciw, by wziąć wodze, a tymczasem Lewis zeskoczył z kozła i pomógł zsiąść Caroline.

- Wygląda na to - powiedział - że zaczęliśmy rozmowę od pani gustów i upodobań, ale szybko zmieniliśmy temat na zarządzanie majątkiem i bystrość mojej siostry. Czy zawsze tak umiejętnie steruje pani konwersacją?

Caroline spłoneęła rumieńcem i próbowała cofnąć rękę, ale uścisk Lewisa był zbyt mocny. Pomyślała, że dotąd jeszcze nikt nie zauważył jej starań, by stać się w pewnym sensie niewidzialną, co zresztą świadczyło o zręczności, z jaką stosowała tę taktykę. Większość jej znajomych prawdopodobnie powiedziałyby, że panna Whiston jest kom-

petentnym, choć dość surowym pracownikiem, jak to guwernantka. Ale o jej zainteresowaniach i ulubionych sposobach spędzania wolnego czasu prawie nikt niczego nie wiedział. Zawsze chciała, żeby właśnie tak było. Zawsze. .. aż do teraz. Spojrzała w niebieskie oczy Lewisa Brabanta i mimo woli się uśmiechnęła. Przez chwilę wyobrażała sobie, że oto jest człowiek, z którym chciałaby dzielić myśli i zainteresowania. Szybko jednak zajęła umysł czym innym. Naiwne łudzenie się było bolesne, no i stanowczo nie miało przyszłości.



ROZDZIAŁ CZWARTY

Tego wieczoru Caroline pierwszy raz od dnia przyjazdu Lewisa miała zjeść kolację w jadalni, ale kontrast między jej szarym samodziałem a jedwabiami oraz koronkami Julii dobitnie podkreślał różnicę stanów. W pospolitej sukni nie mogła ani na chwilę zapomnieć, że jest damą do towarzystwa, której płaci się za to, by była obecna, lecz niewidoczna, niczym mebel. Nic dziwnego, że Lewis jej nie dostrzegał, gdy obok była Julia. Zakrawałoby na żalospną naiwność wyobrażać sobie, że może być inaczej.

Ogarnięta takimi ponurymi myślami, bardzo dla siebie niezwykłymi, przystanęła w drzwiach salonu. Lewis z Julią siedzieli przy kominku, pochłonięci rozmową o wzbogaceniu wystroju domu. Złociste loki i niebieskie oczy Julii lśniły w świetle lampy. Wydawała się bardzo elegancka i wzruszająco delikatna, a Caroline pomyślała z niechęcią, że Lewis jest całkowicie zauroczony.

- ...czerwony adamaszek i palisandrowe meble - mówiła Julia. - Musisz mi pozwolić przemeblować ten pokój, Lewisie! Mógłby być w bardzo dobrym guście.

- Moja droga Julio - odparł Lewis. - Minie przynajmniej parę lat, zanim będę mógł pomyśleć o odnowieniu

domu. Najpierw trzeba wyreperować płoty i mury, żeby dzierżawcy mojego ojca mogli spokojnie gospodarować.

- E, tam. - Zabrzmiało to prawie jak dąsy podlotka.
- Dlaczego ma to być ważniejsze? Musisz upiększyć dom, Lewisie! Nikt tu nie przyjedzie, jeśli będziesz żył w takim mauzoleum. O! - urwała, zauważyła bowiem Caroline na progu. - Jesteś, Caro. Wreszcie uległaś moim namowom i postanowiłaś zjeść razem z nami.

Caroline z trudem opanowała złość. Nie dość, że Julia wcale nie zaprosiła jej na wspólną kolację, to jeszcze zwróciła się do niej „Caro”, pozorując zażyłość. Mimo wszystko podeszła do stołu z wymuszonym uśmiechem, choć już zdążyła pożałować swojej decyzji, by zjeść na dole. Tymczasem Lewis grzecznie wstał i się uklonił. Na Caroline, która widziała przedtem jego zachwyt Julią, ta chłodna uprzejmość wywarła jak najgorsze wrażenie.

- Kieliszek wina, panno Whiston? - spytał Lewis. - A może odrobinę ratafii? Kolacja będzie podana za kilka minut.

Caroline wzięła od niego kieliszek wina i podeszła do ławy pod oknem, gdzie Lavender czytała książkę, nawet nie próbując udawać, że uczestniczy w rozmowie. Taki podział wydawał się odpowiadać Julii, która już wróciła do wcześniejszego tematu. Pochylona nad Lewisem, lekko dotykała jego dłoni, chcąc dodać siły argumentacji na rzecz upiększenia domu kosztem usprawnień w majątku. Caroline odwróciła się i z wdzięcznością usiadła obok Lavender, która zaprosiła ją skinieniem dłoni.

- Dobry wieczór. Jak to miło, że można znaleźć konkurencyjne towarzystwo - powitała ją wesoło. - Obawiam się, że do uwag kuzynki Julii o urządzeniu domu nie potrafię niczego dodać.

Zaczęły rozmawiać o *Dialogach botanicznych* Mary Elizabeth Jackson, które czytała Lavender, a wkrótce potem gong oznajmił początek kolacji. Lewis podał ramię Julii, a Caroline i Lavender poszły za nimi.

Zdaniem Caroline kucharka przeszła samą siebie, ale Julia nie podzielała jej zachwytu i kwaśnym tonem porównywała jakość dań z tymi, których kosztowała w Londynie.

- Ach, tam to były uczyty! - rozmarzyła się. - Jakie eleganckie! Przypominam sobie, że pewnego razu drogi księżę regent zaordynował na jeden wieczór czterdzieści osiem potraw!

- Aż nadto, żeby dostać niestrawności - skomentowała z niewinną miną Lavender.

Julia przeszła ją niechętnym spojrzeniem. Caroline czekała na miażdżącą ripostę, ale obecność Lewisa niewątpliwie zmitygowała Julię.

- Czy pamiętasz, jakie ohydne posiłki dostawałyśmy w szkole pani Guarding, Caro? - podjęła Julia i ostentacyjnie zadrżała. - Gotowaną baraninę i pasztet z gołębi. Sama się dziwię, że to przeżyłam!

Caroline zdawało się, że usłyszała szept Lavender „A szkoda!”, ale nie była tego pewna.

Na wszelki wypadek zajęła się jedzeniem. Uznała, że

bezpieczniej jest się nie odzywać. Nie mogła doczekać się końca posiłku, nie miała bowiem zamiaru być tylko tłem, na którym Julia może zabłysnąć. Tymczasem Julia tryskała elokwencją i dowcipem.

Również Lavender pochyliła głowę nad talerzem i nie próbowała włączyć się do rozmowy. Spojrzawszy na jej twarz, Caroline zaczęła się nagle zastanawiać, co sądzi panna Brabant o ponownym najeździe Julii na Hewly. Julia nigdy nie ukrywała, że traktuje ją z pobłażliwym współczuciem, nic więc dziwnego, że w zamian otrzymywała niechęć.

Gdy Caroline podniosła głowę, przekonała się, że Lewis Brabant obserwuje siostrę z dość osobliwą miną. Może rozważał, w jaki sposób zaradzić antypatii między Julią a Lavender. Bez wątpienia zdawał sobie sprawę z tego, jak kłopotliwy jest ostry konflikt między przyszłą żoną a rodzoną siostrą. Naturalnie jednak zniechęcanie mężczyzny do raz podjętej decyzji mijałoby się z celem. Caroline trochę już znała kapitana Brabanta, podejrzewała więc, że w dążeniu do celu potrafi być bardzo stanowczy. Ich spojrzenia nagle się spotkały. Odniosła wrażenie, że odgadł jej myśli, zmarszczył bowiem brwi na poły zdziwiony, na poły rozbawiony, a ona dość długo nie mogła uciec przed jego wzrokiem, aż w końcu pochyliła głowę, żeby ukryć rumieniec.

Kolacja zdawała się ciągnąć w nieskończoność. Caroline nie pamiętała, kiedy ostatnio tak cierpiała podczas posiłku. Gdy wreszcie nadszedł czas, by panie mogły wstać

od stołu i zostawić Lewisa z kieliszkiem porto, prawie zerwała się z miejsca. Wszystkie przeszły do salonu, gdzie Julia natychmiast zaczęła autorytatywnym tonem instruować Lavender, jakim błędem jest wybór jasnoniebieskiego materiału na wieczorową suknię. Caroline widziała jednak, że temat jest obojętny, Julia po prostu szukała sposobności do ataku.

- W tym kolorze wyglądasz niewyobrażalnie blado, moja droga Lavender, zupełnie jakbyś niedomagała. Naturalnie dla twojej ziemistej cery żaden kolor nie jest korzystny. No, może wiśniowy... - Julia przekrzywiła głowę w zamyśleniu. - Nie, wiśniowy byłby zbyt intensywny. Może żółty...

- Lubię niebieski - odparła Lavender trochę sztywno. Julia się roześmiała.

- Rozumiem, moja droga, ale co ty wiesz o stylowym ubieraniu się? Wcale mnie nie dziwi, że podczas sezonu w Londynie nie złapałaś męża. Większość dżentelmenów prawdopodobnie nawet nie zauważyła twojej obecności.

Lavender poczerwieniała ze złości.

- Nie wszyscy marzą tylko o złapaniu męża, kuzynko Julio. Osobiście wołałabym złapać katar!

- No, tak, ale chyba nie liczysz na to, że będziesz do końca życia mieszkać w Hewly - zripostowała Julia, a Caroline pomyślała, że właśnie tu jest pies pogrzebany. - Twój brat się ożeni i doprawdy trudno oczekiwać, żeby wtedy był zadowolony z tego, że młodsza siostra kręci się po domu.

Caroline głośno odchrząknęła i już miała powiedzieć coś dla załagodzenia sytuacji, gdy drzwi się otworzyły i pojawił się w nich Lewis. Caroline bardzo się ucieszyła z jego nadejścia, była bowiem pewna, że rozwiąże ono problem. Zdziwiła się wcale nie mniej. Na miejscu Lewisa wykorzystaby okazję schronienia się w gabinecie i przed opuszczeniem tego azylu wypiłaby chyba całą butelkę porto.

- Zagrajmy w wista! - Julia klasnęła w dłonie. - To nam poprawi nastrój. Będiesz moim partnerem, Lewisie? - Uśmiechnęła się do niego obezwładniająco. - Gra stanie się wtedy jeszcze bardziej ekscytująca.

Caroline uważała, żeby nie spojrzeć ani na Lewisa, ani na Lavender. Wist jej nie interesował, chociaż umiała grać całkiem dobrze, wielokrotnie bowiem proszono ją, by zgodziła się zająć miejsce czwartego. Wkrótce okazało się jednak, że Julia wybrała rozrywkę, przy której mogłaby zabłysnąć. Wygrała całkiem sporo, przy czym z upodobaniem stosowała taktykę zagadywania przeciwników. Po skończonym robrze Lavender wymówiła się od dalszej gry i poszła do sypialni.

- Nudne to życie na wsi! - Julia ziewnęła. - Musisz wynająć dom w Londynie, Lewisie! Tutaj zupełnie nic się nie dzieje. Percevalowie i Cleve'owie nie przyjmują, a Sywell... To jest doprawdy oburzające, że pozwala mi się być największym właścicielem ziemskim, skoro wszystkich nas lekceważy!

Caroline dostrzegła uśmiech Lewisa.

- Jestem pewien, że wkrótce pojawią się zaproszenia, Julio! A co do Sywella, to wyznaję, że nie złożyłbym wizyty w opactwie, nawet gdyby mnie zaprosił.

Julia z wdziękiem wzruszyła ramionami.

- Och, markiz rzeczywiście lubi skandale, ale dla innych nie widzę usprawiedliwienia. Musisz ich odwiedzić, Lewisie! Nie podoba mi się, że połowa hrabstwa mnie ignoruje. Umrę z nudów, jeśli nie zaczniemy gdzieś bywać.

- Nie masz obowiązku tutaj tkwić, jeśli brakuje ci towarzystwa. Julio! - powiedział Lewis, podszedł do kredensu i nalał sobie kieliszek wina. Caroline miała wrażenie, że usłyszała w jego głosie nutę rozbawienia. - Gdybyś wolała opuścić nas i oddać się radościom małego sezonu w Londynie...

- Nie, nie, zostanę - skwapliwie zapewniła go Julia.
- Sam wiesz, jak bardzo zależy mi na tym, by widzieć, że wuj Harley ma właściwą opiekę. Zresztą wkrótce nadejdzie Boże Narodzenie i na pewno będzie dużo okazji, żeby się weselić.

Lewis nieco zmarszczył czoło.

- Obawiam się, że z powodu choroby ojca musimy nieco się ograniczyć. Będą to ciche, rodzinne święta.

Caroline dostrzegła na twarzy Julii przelotny grymas.

- Ale za kilka tygodni ma się odbyć bal Pod Aniołem. Chyba nie chcesz do tego stopnia rezygnować z przyjemności, żeby w nim nie uczestniczyć? - Spojrzała na niego z wyrzutem. - Och, Lewisie, ty doprawdy jesteś purytaninem!

Caroline wstała. Przyglądanie się uwodzicielskim popisom Julii wcale jej nie bawiło, a już od dwóch godzin zamierzała iść do swojego pokoju. Miała wrażenie, że bardzo przeszkadza w sam na sam, co raz po raz potwierdzały wściekłe spojrzenia Julii.

- Przepraszam, ale chcę się już położyć.

- Och, możesz iść! - Julia zbyła ją pańskim gestem.

- Tylko nie wylegaj się rano w łóżku, Caroline, bo mam dla ciebie zajęcie!

Caroline zirytowała się jeszcze bardziej sugestią, że jest leniwa, ale tylko zacisnęła usta, żeby nie powiedzieć czegoś nieprzemysłanego. Szybko wyszła do sieni. Ku jej zaskoczeniu chwilę po niej znalazł się tam Lewis, trzymający lichterz w dłoni.

- Dziękuję za towarzystwo dziś wieczorem, panno Whiston - powiedział uprzejmie. - Mam nadzieję, że nie były to dla pani zbyt wyczerpujące godziny.

Caroline spojrzała mu w oczy, w których głębokim błękiecie ponad wszelką wątpliwość żarzyły się dziwne ogniki. Nie była pewna, co mają oznaczać, i uznała, że lepiej nie snuć domysłów. Szczerze mówiąc, wolałaby sobie wyrywać szczypcami włosy, niż znieść jeszcze jedną kolację w towarzystwie Julii, ale z dyplomatycznego punktu widzenia taka odpowiedź była nie do przyjęcia. Nie umiała się oprzeć pokusie i zerknęła przez otwarte drzwi do salonu, gdzie Julia z niezadowoleniem bębniła palcami po miękkiej poręczy fotela. Maską Pięknej znikła, pani Chesford nadała się i ze złością patrzyła w stronę drzwi, bez

wątpienia rozczarowana, że przestała skupiać na sobie uwagę Lewisa.

- Wieczór był całkiem miły, ale nie chciałabym więcej narzucać swojej obecności podczas rodzinnego posiłku - odrzekła i unikając wzroku Lewisa, wyjęła mu z ręki lichtarz. - Dobranoc panu!

Gdy szybkim krokiem wchodziła na schody, zdawało jej się, że słyszy za sobą chichot gospodarza. Z podestu zobaczyła twarz znów rozpromienionej Julii i pochylonego nad nią Lewisa, trzymającego kieliszek. A potem została sama w mroku.

Grudzień 1811 roku

W pierwszych dniach grudnia wróciły silne mrozy, a niebo przybrało chłodny odcień błękitu. Julia nieustannie była niezadowolona, a zły humor wyładowywała na Caroline. Właśnie doręczono obiecane zaproszenie od lady Perceval, ale, tak jak spodziewała się Caroline, wyraźnie podkreślono, że obejmuje ono jedynie Lewisa i Lavender.

- Ta wstrętna kobieta doskonale wie, że i ja tu mieszkam! - piskliwie krzyknęła Julia i cisnęła srebrną szczotką do włosów w drzwi. Rozległ się głośny łoskot. - Ciebie, Caroline, zaproszenie naturalnie nie powinno dotyczyć, ale wytłumacz mi, dlaczego i ja zostałam pominięta? A Lewis... - srebrny grzebień podzielił los szczotki - ...Lewis właśnie wybrał się na polowanie z towarzystwem z Jaffrey House! Co za nielojalność! Oni naturalnie

zawsze zadzierali nosa i udawali, że mnie nie dostrzegają, ale Lavender... - urwała, dławiona złością. - To małe nic.

- Nie przesadzaj, Julio - powiedziała Caroline, podnosząc z podłogi szczotkę. Już dawno nauczyła się, że jedynym sposobem opanowania wybuchów Julii jest traktowanie jej jak niegrzecznego dziecka. - Takie silne emocje mogą ci zaszkodzić! Weź kilka głębokich oddechów i trochę się uspokój.

Julia spiorunowała ją wzrokiem.

- Jak mam się uspokoić?! Czy dlatego, że mój ojciec dorobił się na handlu? Pomyśl, przecież on mógłby kupić dziesięć takich majątków jak ten! A kim są ci Brabantowie? Admirał był zaledwie młodszym synem, a jego żona nie miała nic. A jednak ich wszędzie zapraszają, a ja gniję tutaj!

Caroline poczuła swędzenie ręki, porzuciła jednak, acz niechętnie, myśl o spoliczkowaniu Julii. Słowa prawdy też niewiele pomogłyby w tej sytuacji, przy okazji bowiem wyszedłby na jaw niezaprzeczalny fakt, iż snobizm Julii nie ma sobie równych w okolicy i właśnie z powodu swych manier, a nie pochodzenia, Julia jest tak niechętnie widziana jako gość.

- Może Percevalowie pomyśleli, że przyjechałaś tylko na krótko - próbowała pocieszać. - Poza tym w ostatecznym rezultacie może ci to nawet wyjść na dobre.

Julia zerknęła na nią podejrzliwie.

- Co masz na myśli? Jaka korzyść może wyniknąć z lekceważenia przez jedną z najwybitniejszych rodzin w okolicy?

Caroline nadal składała stroje i chowała je do szuflad w komodzie, wcześniej bowiem Julia porozrzucała je po podłodze w napadzie złości.

- Taka, że jeśli kapitan Brabant z siostrą pojedą na kolację do Perceval Hall, to na pewno zaproszą Percevalów z rewizytą do Hewly i ci wtedy nie będą mogli odmówić!

- Podniosła wzrok i stwierdziła, że Julia przygląda jej się, intensywnie nad czymś myśląc. - A to znaczy, że będziesz miała okazję pełnić honory pani domu.

- Pod warunkiem, że nie nabierze na to ochoty ta głupia, wymizerowana siostra Lewisa. No, naturalnie lepiej powierzyć rolę pani domu byle kuchcie niż Lavender.

Caroline się wzdrygnęła. Im bardziej była zaprzyjaźniona z Lavender, tym trudniej było jej znosić kąśliwe uwagi Julii, zwłaszcza że jedna panna Brabant była warta przynajmniej stu Julii Chessford. Nie pierwszy raz Caroline pomyślała, że powinna poszukać innego zajęcia. Mieszkała w Hewly zaledwie trzy miesiące, ale nieporozumienia z Julią przekonały ją, że długi pobyt nie wchodzi w grę. Naturalnie znalezienie dobrej posady wymagało wysiłku i mogło zająć sporo czasu, był to jednak jeszcze jeden powód, by niezwłocznie przystąpić do poszukiwań. Pani Perceval życzliwie zaoferowała jej pomoc, ale przy okazji wyszłooby na jaw, że sprawy w Hewly Manor nie układają się najlepiej. Do tego Caroline nie chciała dopuścić. W okolicznych wsiach i tak nieustannie plotkowano, wszyscy wiedzieli wszystko o wszystkich, a jeśli nawet nie wiedzieli, to niewiedzę nadrabiali zmyśleniami. Chociaż trudno było podejrzewać lady Perceval o rozsie-

wanie plotek, to wiadomość rozeszłaby się i tak. Jak zawsze.

Lepiej było zwrócić się do lady Covingham, matki jej poprzednich podopiecznych. Może słyszała o kimś, kto potrzebuje guwernantki. Caroline westchnęła. Anne Covingham bardzo się ucieszyła, usłyszawszy, że Caroline zostanie damą do towarzystwa dawnej przyjaciółki, przykro było więc zawiadamiać ją o niepowodzeniu, ale trudno. Żebracy nie mogą wybrzydzać. Caroline postanowiła napisać list jeszcze tego dnia.

- Słyszałam, że Lewis zaprosił tu w odwiedziny przyjaciela - powiedziała tymczasem Julia, dumnie prężąc się przed lustrem, odzyskała już bowiem humor. - Niejakiego kapitana Slatera, u którego mieszkał, gdy pierwszy raz miał przerwę w pływaniu. Kapitan odszedł z marynarki przed kilkanaście laty wskutek odniesionych ran i ma dom w Lyme Regis. W porównaniu z Lewisem to płotka, ale dla ciebie może się nadać.

Caroline nagle zapiekły policzki.

- Dziękuję, Julio, ale nie zamierzam chwytać w małżeńskie sidła przyjaciół kapitana Brabanta.

Julia lekceważąco wzruszyła ramionami.

- Aleś ty dzisiaj wyniosła. Nie martw się, na pewno nie będę cię swatać, skoro nie chcesz sama spróbować szczęścia. - Zmierzyła Caroline przenikliwym spojrzeniem. - Jeśli wolisz duchownego, to zawsze zostaje ci pan Grizel. A teraz przyślij do mnie Letty. Mam zamiar przymierzyć nowe suknie.

Caroline opuściła swoją chlebobawczynię bardzo poirytowana. Najpierw poszła do biblioteki, a potem napisała do lady Covingham list, w którym ostrożnie wypytała o możliwości znalezienia pracy. Ponieważ jednak humor jej się nie poprawił, włożyła ciepłą pelerynkę i solidne trzewiki, po czym wyszła do ogrodu zaczerpnąć świeżego powietrza. Liczyła, że spacer w chłodny dzień ją orzeźwi.

Ogródek kuchenny w Hewly, wciąż zadbany, dostarczał owoców i warzyw, ale ogrodnik admirała nie był w stanie bez pomocy pielęgnować również kwiatów, więc z bólem serca pozostawił rabaty odłogiem. Caroline poczyniła jednak spostrzeżenie, że był to skutek nie tyle braku pieniędzy, co braku sternika majątku w ostatnich latach. Służba żyła nadzieją, że Lewis okaże się sprawnym administratorem, a Caroline była zdania, że nie wolno mu zawieść tylu ludzi. Chyba że Lewis zdecydowałby się jednak sprzedać włości i wrócić na morze. Skrzywiła się. Takie wydarzenie zostałoby źle przyjęte przez służbę, lecz chyba nie aż tak źle, jak objęcie funkcji pani domu przez Julię.

Oddaliwszy tę nielojalną myśl, Caroline dziarsko minęła warzywne grządki i znalazła się w ogrodzie. Teraz chwastów było mniej, więc można było zauważyć zarysy dawnego planu. Ogrodowe mury murszały. Przeszła różaną aleją, wśród krzewów, które wymagały starannego przycięcia, a potem pod murem, gdzie sterczały zdrewniałe łodygi lawendy. Tu w powietrzu wciąż unosił się delikatny aromat, który przypomniał Caroline jej najmłodsze lata. Oczami wyobraźni zobaczyła babkę, zbierającą w Watchbell Hall gałązki la-

wendy do olbrzymiego fartucha. Wkładała je potem do torebek i umieszczała w bielizniarkach z wykrochmaloną na sztywno bielizną. Caroline zasypiała, wdychając właśnie zapach lawendy.

Nagle ogarnęła ją nostalgia. Przez ostatnie lata rzadko pozwalała sobie na chwile słabości i żalu z powodu braku własnego domu, teraz jednak nie umiała oprzeć się niespodziewanemu atakowi tęsknoty. Poczuła się opuszczona jak małe dziecko.

Broniąc się przed łzami, wyszła z rozarium, a po drodze omal nie wpadła na stary zegar słoneczny. Nie miała pojęcia, dokąd zmierza, ale skręciła w alejkę obsadzoną kiedyś pięknie przyszczyżonymi cisami. Płaskie kamienie podłoża znikły już prawie całkowicie w trawie. Za zakrętem wpadła na człowieka, stojącego w cieniu dużego drzewa. Upadłaby, gdyby nie objęły jej mocne ramiona.

- Panno Whiston? - zadźwięczał jej w uchu głos Lewisa. - Czy pani dobrze się czuje?

Pojawienie się kapitana jeszcze bardziej ją rozżaliło i zmieszało. Gwałtownie oswobodziła się z jego objęć.

- Bardzo pana przepraszam, ale... - urwała. Słyszała, że mówi przez łyzy, i bała się, że za chwilę głos całkiem ją zawiedzie. Co gorsza, zorientowała się, że Lewis nie jest sam, przy nim bowiem stał ogrodnik Belton. Widocznie obaj rozmawiali o przycięciu cisów do ich dawnych kształtów. O żywopłot była oparta drabina, a na ścieżce leżały różne ogrodnicze narzędzia. Caroline chciała uciec, ale Lewis przeszkodził jej w tym, przytrzymując ją za ramię.

- Panno Whiston, to bardzo fortunne spotkanie, bo właśnie zastanawiałem się, czy znajdzie pani dla mnie wolną chwilę. - Zwrócił się do ogrodnika: - Bardzo dziękuję, Belton. Niedługo wrócimy do naszej rozmowy.

Ogrodnik uchylił czapki i skłonił głowę przed Caroline, po czym powoli odszedł w stronę szklarni. Gdy tylko znikł, Caroline odwróciła się do kapitana i zdecydowanym ruchem wyszarpnęła ramię z uścisku.

- Co pan sobie wyobraża, zatrzymując mnie w ten sposób? I do tego w obecności służby! Chciałam przejść... - Słowa zabrzmiały ostrzej, niż w jej zamierzeniu, urwała więc, zdała sobie bowiem sprawę z tego, że słabość, która ją niedawno ogarnęła, wciąż jest żywa. Co gorsza, zaniepokoiła ją myśl, że odgadł to również Lewis, baczenie przyglądający się jej twarzy.

- Wiem - odpowiedział spokojnie. - Właśnie dlatego panią zatrzymałem. Pomyślałem, że będę mógł pomóc. Wydaje się pani dość poruszona, panno Whiston.

Caroline uświadomiła sobie z wielkim niezadowoleniem, że łyzy zostawiły wymowne ślady na jej twarzy. Spostrzegawczość kapitana bardzo ją zawstydziła. Spróbowała otrzeć policzki, ale wypadło to niezręcznie.

- Nic się nie stało, sir. Zupełnie nic.

Zajęła się skrupulatnym czyszczeniem pelerynki z suchych liści. Nie patrzyła na kapitana. Oboje milczeli.

- Rozumiem - odezwał się w końcu Lewis. - To naturalnie tłumaczy pani łyzy. No, ale jeśli nie chce mi pani niczego wyjawić, nie będę nalegał.

- Naszła mnie głupia tęsknota - powiedziała Caroline - i chyba dlatego nie uważałam, dokąd idę. Proszę nie odrywać się od pracy z mojego powodu.

- A może przyłączy się pani do mnie - zaproponował. - Planuję pewne usprawnienia w ogrodzie i byłbym wdzięczny za radę. Czy mogę na nią liczyć?

Caroline ze zdziwieniem stwierdziła, że przyjmuje jego ramię i rusza razem z nim trawiastą alejką. Nie bardzo rozumiała, jak do tego doszło, w pierwszym odruchu chciała bowiem uciec, wkrótce jednak kapitan zaczął opowiadać o swoich zamierzeniach i to całkowicie pochłoneło jej uwagę.

- Mam nadzieję, że kiedyś uda mi się odtworzyć cały zespół ogrodowy z czasów, kiedy Hewly było częścią majątku Percevalów - powiedział, odsuwając gałęzie kapryfolium, żeby ułatwić Caroline wejście do pierwszego ogrodu otoczonego murem. - W bibliotece zachowały się plany tego terenu. Dziadek Beltona zajmował się ogrodami jeszcze w początkach panowania Jerzego Trzeciego. Podobno były bardzo piękne. Kilka wygradzono osobnymi murami, dojrzewały w nich owoce i stały szklarnie. W parku rosły wspaniałe drzewa. Teraz jest wiele do zrobienia, a ja mam poczucie, że muszę przynajmniej zacząć.

Caroline zawahała się. Przypomniała sobie słowa Lavender, która nawet nie była pewna, czy brat zechce zostać w Hewly. Jego ogrodnicze zamierzenia napawały otuchą, bo z pewnością nie snułby takich planów, gdyby pragnął sprzedać majątek. Przesunęła wzrokiem po wyszczerbio-

nych murach, po zdziczałych krzakach róż i kapryfolium. Latem pięknie grzało tutaj słońce, na przełomie jesieni i zimy to samo miejsce wydawało się jednak zaniedbane i opuszczone.

- To może potrwać lata - powiedziała niepewnie - chociaż ostateczny wynik będzie głęboko satysfakcjonujący.

- Och, mam nadzieję! - Lewis uśmiechnął się do niej. Okiem znawcy omiół zniszczony mur. - Jeśli mam zamieszkać na stałe w Hewly, to chcę, żeby dwór odzyskała dawną świetność, chociaż jeszcze nie wiem, czy zdecyduję się na zrobienie sztucznego jeziora, żeby mieć namiastkę morza.

Caroline głośno się roześmiała.

- Może jednak zaprojektuje pan jezioro lub przynajmniej sadzawkę! W głębi sadu widziałam strumień, który dalej wpada do rzeki. Na pewno mógłby pan przegrodzić go tamą, gdyby chciał rywalizować z ogrodnikami minionych epok. - Przesunęła dłonią po starych ceglach. - Mur wydaje się jeszcze całkiem solidny, poza tym zauważyłam w tych ogrodach rzeźby. - Dłonią odzianą w rękawiczkę odsunęła kępę pokrzyw. - O, właśnie. Tu jest jedna z nich! Po wypieleniu chwastów ślady dawnych ogrodów na pewno staną się widoczne.

Lewis podszedł do posagu kamiennego cherubina z kręconymi włosami i figlarnie przechyloną głową. Przyglądał mu się, a Caroline nagle zaczęła myśleć o tym, jak blisko niej znajduje się kapitan. Odgarnął z czoła włosy, gdy wiatr zmierzwił mu gęstą, jasną czuprynę. Z trudem

opanovała pokusę muśnięcia palcami jego męskiej, wyrazistej twarzy. Tymczasem Lewis lekko dotknął głowy cherubina, a Caroline ze zdumieniem przekonała się, że jej ciało reaguje tak, jakby to jej dotykano. Raptownie się odwróciła, żeby tego po sobie nie pokazać.

Chłodny dzień wydał jej się nagle gorący i słoneczny jak w lecie. Lewis ukradkiem ją obserwował i bez wątpienia wiedział, co się z nią dzieje. Chwyciła za gałązkę kapryfolium, rozpaczliwie szukając jakiegoś tematu do rozmowy, aby zmniejszyć napięcie.

- Krzewy zdziczały, ale Belton na pewno może się nimi zająć.

Lewis ujął jej dłoń, trzymającą gałązkę. Mimo rękawiczek poczuła ciepło jego ciała i natychmiast zamilkła. Po chwili Lewis ostrożnie odgarnął jej kosmyk włosów z twarzy.

- Proszę się nie ruszać. Gałązka róży zaplątała się pani we włosy. - Zręcznie poradził sobie z różą, a od jego palców po całym ciele Caroline rozszedł się dreszcz. Energicznie cofnęła się o krok i omal nie upadła, zawadziła bowiem o niski murek.

- Muszę już iść - powiedziała niemal bez tchu. Serce biło jej jak szalone, a na Lewisa bała się spojrzeć. - Pani Chesford... przymierza suknie... Może mnie potrzebować.

Wzmianka o Julii podziałała otrzeźwiająco. Lewis odsunął się o krok, wciąż z nieprzeniknioną miną, a Caroline skoczyła do furtki w ogrodowym murze, jakby goniła ją sfora wściekłych psów. Pobiegła w stronę domu z na-

dzieją, że Lewis nie będzie jej ścigał. Potrzebowała czasu na uspokojenie.

- Wolniej, bo inaczej znowu straci pani równowagę. - Kapitan dogonił ją w cisowej alejce. Jego ton był jednak obojętny, a gdy Caroline zerknęła z ukosa na jego twarz, przekonała się, że jest jak wykuta z kamienia. Tylko nieznaczne drżenie jej rąk wskazywało jeszcze na to, że przed chwilą za murami ogrodu przeżyli coś niezwykłego.

- Wspomniała pani o swojej tęsknocie, panno Whiston - odezwał się Lewis. - Proszę mi powiedzieć, skąd pani pochodzi.

- Ja? - Caroline bardzo się starała, by jej głos zabrzmiał normalnie. Zwolniła kroku, bo znów zabrakło jej tchu. - Moja rodzina mieszkała w Cumbrii.

- Whistonowie z Watchbell Hall? Nie miałem pojęcia, że jest pani z nimi spokrewniona. Czy pani dziadek nie był przypadkiem wybitnym kolekcjonerem starych zegarów i zegarków? Słyszałem, że miał w zbiorach nawet oryginalne mechanizmy Johna Harrisona.

Caroline uśmiechnęła się.

- To prawda. Dostałam jeden z nich na pamiątkę. Jest nieduży, ale ma dla mnie olbrzymią wartość.

- Proszę mi wybaczyć, jeśli popełniam nietakt, panno Whiston, ale czy krewni nie mogli pani pomóc po śmierci ojca? Wydaje mi się bardzo niezwykłe, że musi pani sama szukać źródła utrzymania.

- Tytuł odziedziczył daleki kuzyn ojca. - Caroline spojrzała mu w oczy nieco wyzywająco. - Nie chcę być

ciężarem dla rodziny, której prawie nie znam, radzę więc sobie, jak umiem.

- Domyślam się. Sprawia pani wrażenie bardzo przedsiębiorczej osoby, panno Whiston, ale... - Lewis urwał.
- Proszę mi wybaczyć - zakończył. - To naprawdę nie jest moja sprawa.

Milczenie, które zapadło, było dość przykre. Caroline dziękowała losowi, że są już niedaleko domu. Pod stopami czuła śliskie, omszałe kamienie, a ponieważ pamiętała, w jakich okolicznościach spotkała Lewisa pierwszy raz, bardzo uważała, żeby się nie poślizgnąć.

- Może w wolnych chwilach pomogłaby mi pani w planowaniu ogrodu - zaproponował Lewis. - Wiem, że Belton bardzo szanuje pani zdanie. Podobno poradziła mu pani, jak postąpić z chorymi różami.

Caroline uśmiechnęła się.

- Z przyjemnością, jeśli tylko pani Chessford uzna, że nie jestem jej w tym czasie potrzebna. Chciałabym się do czegoś przydać, póki mieszkam tu, w Hewly.

- Zabrzmiało to tak, jakby nie zamierzała pani z nami przebywać dłużej, panno Whiston. Czy zastanawia się pani nad zmianą?

Caroline odwróciła głowę. Powinna być ostrożniejsza, przecież już nieraz przekonała się o spostrzegawczości Lewisa.

- Tymczasem nie mam innych planów - odparła zgodnie z prawdą. - Do widzenia panu.

Weszła do domu i zamknęła za sobą drzwi. Na szczę-

ście opanowała pokusę, by przyjrzeć się Lewisowi, oddalającemu się w kierunku szklarni. Wyglądało na to, że unikanie spotkań z kapitanem nie jest wcale takie łatwe, jak sobie wyobraziła. Nie ulegało jednak wątpliwości, że innej możliwości nie ma. Po jedenastu latach, które spędziła jako guwernantka w różnych angielskich domach, nagle musiała stawić czoło uczuciom, jakich nie żywiła jeszcze do żadnego mężczyzny. Było to niebezpieczne, niewłaściwe i zupełnie nie pasowało do panny Caroline Whiston. Najlepszym wyjściem dla niej było opuścić Hewly, zanim spotka ją pełna kompromitacja. Należało zostawić własnemu losowi ogród, zapomniany przez czas, a w nim również swoje zamrożone uczucia.

Następnego dnia stan admirała znacznie się pogorszył, więc pani Prior chętnie przyjęła pomoc Caroline, która zobowiązała się posiedzieć przy chorym kilka godzin, żeby piastunka mogła odpocząć. Doktor, wezwany wcześniej, powiedział, że koniec się zbliża i admirałowi pozostało w najlepszym razie kilka tygodni życia. Wiadomość, która natychmiast rozeszła się po domu, wywołała powszechny smutek. Służba chodziła na palcach i porozumiewała się szeptem, Lavender siedziała apatyczna w bibliotece, nie wypuszczając z dłoni chusteczki do nosa, a Julia była jeszcze bardziej drażliwa niż zwykle.

- Nie rozumiem, dlaczego Lewis uważa, że wszyscy mają przemykać się korytarzami jak duchy - zwróciła się do Caroline z kwaśną miną. - Jeszcze trochę to potrwa

i wszyscy przeniesiemy się na tamten świat... z nudy! - Kolejny raz nerwowo przemierzyła długość sypialni. - Nie spodziewałam się, że dojdzie do tego tak szybko. Jeśli wuj Harley umrze, skończą się przyjęcia i bale, i co? Nie będziemy nawet mogli jechać na bożonarodzeniowy bal Pod Aniołem.

- Jestem pewna, że admirał weźmie to pod uwagę, planując swoje zejście z tego świata - odparła Caroline. Niebieskie oczy Julii otworzyły się bardzo szeroko.

- Aleś ty dzisiaj złośliwa! Co cię to obchodzi, że admirał Brabant umrze? Ty przecież nie masz udziału w naszym nieszczęściu.

Caroline z najwyższym trudem powstrzymała gniew.

- Takie wydarzenie, rzecz jasna, bardzo mnie porusza - odrzekła beznamyślnie. - To prawda, że nie znam admirała dobrze, ale i tak jest mi przykro z powodu jego choroby. Popatrz, cała służba się martwi, panna Brabant jest załamana...

- Ach, Lavender- parsknęła Julia. - No, temu nie ma się co dziwić. Zrobię co w mojej mocy, żeby ją pocieszyć, ale bardziej martwię się o Lewisa. Że też musiał wrócić do domu akurat w takiej sytuacji. Czuję się w obowiązku dołożyć wszelkich starań, aby zapewnić mu szczęśliwą przyszłość.

- Na pewno będzie ci wyjątkowo wdzięczny! - odburknęła Caroline. - Przepraszam, ale nie wydaje mi się, żebym była tu potrzebna. Idę na dół.

Julia uniosła brwi.

- Proszę bardzo! Ja też zejdem na dół i trochę pogram

na fortepianie. Może muzyka pomoże mi się otrząsnąć ze złego nastroju!

Gdy Julia zasiadła w pokoju muzycznym, Caroline poszła poszukać Lavender.

W grudniowe popołudnie panował mrok, jakby dzień dostroił się do atmosfery panującej w domu. Lavender nie było ani w bibliotece, ani w salonie. Caroline już miała spytać służące, czy nie wiedzą, gdzie szukać panienki, gdy otworzyły się drzwi gabinetu i wyszedł z nich Lewis Brabant. Wyglądał na bardzo zbolełego, więc Caroline przesłała mu nieśmiały uśmiech. Rozumiała, że musi być nie mniej przygnębiony niż siostra. Oczy nie lśniły mu tak jak zwykle radością.

- Panna Whiston - powiedział oficjalnym tonem, patrząc surowo. - Jak to dobrze się składa. Czy mogłaby pani poświęcić mi chwilę uwagi?

- Naturalnie. - Caroline nieznacznie zmarszczyła czoło, spłoszona tym zachowaniem. Nie miała pojęcia, czym zasłużyła sobie na takie traktowanie. Poczowała się jak kmańbny porucznik oczekujący na wymierzenie kary.

Jej złe przeczucia jeszcze się nasiliły, gdy Lewis wprowadził ją do gabinetu i z trzaskiem zamknął za nimi drzwi. Nie poprosił jej, żeby usiadła, tylko podszedł do okna i wpatrzył się w ciemność. Odwrócił się po dłuższym czasie.

- Czy może mi pani powiedzieć, co to jest, panno Whiston?

Spojrzała we wskazane miejsce, całkowicie zdezorientowana. Kapitan rzucił coś na biurko, musiała więc po-

dejsć, żeby przekonać się, o czym mowa. Wyglądało to jak list, papier był pożółkły, pismo zamaszyste, z licznymi zawijasami i ozdobnikami. I nagle Caroline zrozumiała, że jest to jeden ze starych listów Julii. Nie miała jednak pojęcia, jak mógł wpaść w ręce Lewisa.

- Owszem. To jest list, który dawno temu dostałam od pani Chessford, ale...

- Czy przechowuje pani wszystkie stare listy, panno Whiston? - przerwał jej Lewis z wystudiowaną uprzejmością. - To dość osobliwy zwyczaj. - Wsadził ręce do kieszeni, jakby chciał powstrzymać się przed bardziej gwałtownym zachowaniem. Znów omiótł ją wrogim spojrzeniem. - No, chyba że chciała pani posłużyć się nimi w ściśle określonym celu!

Caroline nadal nic nie rozumiała.

- Zachowałam listy Julii, bo przypominały mi szkolne lata. Były dla mnie łącznikiem z okresem dzieciństwa. Nie rozumiem jednak... Jak wszedł pan w posiadanie tego listu?

Lewis przesłał jej pogardliwe spojrzenie i w tej samej chwili Caroline wszystko sobie przypomniała. Odruchowo zasłoniła dłonią usta. Musiała zostawić ten list w tomiku, który odniosła do biblioteki. Niedawno czytała wieczorem *Marmion*, kiedy pani Prior przyszła poprosić ją, żeby posiedziała przy admirale. List posłużył wtedy jako zakładka. Gdy potem wróciła do książki, machinalnie przełożyła go między ostatnią stroną a okładkę. Widocznie został tam, gdy zwracała tomik do biblioteki, a potem

Lewis wziął *Marmion*, bo jak wspomniał, kiedyś poemat mu się podobał.

Caroline próbowała odgadnąć, które z obcesowych uwag Julii znalazły się akurat w tym liście. Jak wiele przeczytał Lewis? Na pewno znalazł w treści coś, co go uraziło. Czy chodziło o zaręczyny Julii z Andrew Brabantem, czy może o fragment dotyczący go bezpośrednio?

Uświadomiła sobie, że Lewis przeszywa ją spojrzeniem.

- Och... Bardzo przepraszam... - urwała. Było już jednak za późno. Lewis musiał zinterpretować jej słowa jako wyznanie winy, bo ponuro się uśmiechnął.

- Przyznaję, że jestem rozczarowany. Nie sądziłem, że jest pani zdolna do intryg szytych tak grubymi nićmi, panno Whiston. Ukrycie listu w książce to sztuczka stara jak świat. Nie mogło mieć innego celu, jak tylko napytanie komuś kłopotów. O co pani chodziło? Czy chciała pani skłócić mnie z panią Chessford? Miałem o pani lepsze zdanie, ale teraz widzę, że najrozsądniej będzie, jeśli niezwłocznie spakuje pani swoje rzeczy i opuści Hewly Manor!

ROZDZIAŁ PIĄTY

Caroline wlepiła wzrok w Lewisa. Z oburzenia zabrakło jej tchu.

- Mam wyjechać z Hewly? Jak pan śmie tak pochopnie obciążać mnie winą? Poza tym nie jest pan moim chlebodawcą, żeby zwalniać mnie z powodu kaprysu.

- Ale to jest mój dom! - Lewis oparł się o biurko i popatrzył gniewnie na Caroline. - Dlatego życzę sobie, żeby pani wyjechała!

- Trzymajmy się faktów. Dom nie jest pański, a nie wątpię, że pański ojciec nigdy nie zachowałby się w tak arogancki i nieprzemysłany sposób!

Lewis głośno zaczerpnął tchu.

- Zostawmy na razie pani zastrzeżenia wobec mojego zachowania. Czy zaprzecza pani temu, że uciekła się do podstępu?

- Bardzo pana przepraszam, ale nawet nie rozumiem, o co chodzi w tych niedorzecznych zarzutach! - zaperzyła się Caroline. - Czy chce pan zasugerować, że świadomie zostawiłam ten list w książce?

Lewis spojrział na nią bez słowa. Złość mu minęła i Caroline mogła teraz wyczytać z jego twarzy tylko rezygna-

cję. To jednak jeszcze bardziej ją zirytowało. Tymczasem Lewis nieznacznie poruszył rękami.

- A cóż innego miałbym pomyśleć, panno Whiston? Prawdopodobnie podłożyła pani kompromitujący list specjalnie po to, żebym go znalazł i przeczytał. Zawarte w nim dziecinne rewelacje miały zachwiać moim szacunkiem dla pani Chessford. Nawet nie przypuszczałbym, że jest pani zdolna do takiej intrygi, gdyby sama Julia nie powiedziała mi dziś po południu... - urwał, ale Caroline to wystarczyło.

- Proszę się nie krępować, może pan wyjawic, co powiedziała. Po tym, jak mnie pan obraził, następne oskarżenia naprawdę nie mają już znaczenia!

Lewis wydawał się nieco zakłopotany.

- Panno Whiston - rzekł - może lepiej uznajmy, że zaszło nieporozumienie i...

Nie dane mu było dokończyć. Caroline, wciąż bardzo wzburzona, doszła do wniosku, że Lewis chce milczeniem ratować dobre imię Julii. Pochyliła się ku niemu z wściekłą miną.

- Kapitanie Brabant! Jeśli natychmiast nie powtórzy mi pan tego, co powiedziała Julia...

- To co pani robi? - wpadł jej w słowo i uśmiechnął się kącikami ust. - Czy nie możemy przyjąć, że zaszło nieporozumienie?

- Do licha! Niech pan nie próbuje zbić mnie z tropu! Julia pewnie powiedziała panu, że ostatni chlebodawcy byli ze mnie bardzo niezadowoleni albo po prostu wyrzu-

cili mnie na zieloną trawkę. - Zmrużył oczy, wywnioskowała więc z tego, że trafiła w dziesiątkę. - A pan jej uwierzył! Wyciągnął pan daleko idące wnioski i uznał, że lubię intrygi, a Julia zatrudniła mnie wyłącznie z litości, wiedząc o moim złym charakterze. Czyż nie tak?

Splotła dłonie, żeby nie było widać ich drżenia.

- Naturalnie przyznaję się do zostawienia listu w książce, ale zrobiłam to niechcący. Jeśli pan sobie przypomina - nie oszczędziła mu potępiającego spojrzenia - *Marmion* postanowił pan poczytać sam, bez zachęt z mojej strony. Takiej intrygi po prostu nie mogłabym wymyślić. To był zwyczajny przypadek!

Nadał mierzyli się wzrokiem, Lewis spoglądał podejrzliwie, Caroline ze złością.

- Jeśli zaś chodzi o mój rzekomy brak wiarygodności, to właśnie on stanowi czysty wymysł. Mam referencje, wszystkie bardzo dobre, ale widzę, że pani Chessford nie jest zadowolona z moich usług, więc natychmiast złożę wypowiedzenie. Miałabym zostać w Hewly? Musiałby pan długo mnie błagać.

Zobaczyła uśmiech przemykający po twarzy Lewisa. W jego oczach odmalował się niewątpliwy podziw. Podziw i jeszcze coś, co bardzo ją zaniepokoiło. Energicznie wstała i skierowała się do drzwi. Lewis usiłował zastąpić jej drogę.

- Panno Whiston! Proszę poczekać!

Caroline już sięgała ręką do klamki, ale Lewis oparł się o skrzydło drzwi, żeby nie mogła ich otworzyć. Znaleźli

się bardzo blisko siebie. Caroline szybko cofnęła się o krok, nagle bowiem przeszył ją dreszcz. Bała się takiej konfrontacji. Lekko się zaczerwieniła, ale zachowała niewzruszoną minę. Na wszelki wypadek uważała jednak, by nie spojrzeć Lewisowi w oczy.

- Chce pan mi przeszkodzić w odejściu? Jakim prawem...

- Panno Whiston, niech pani nie ucieka! - odezwał się Lewis, nie odrywając wzroku od jej twarzy. - Niech pani pozwoli mi wytłumaczyć...

- Rozkazuje mi pan? - spytała lodowatym tonem, żeby nie zauważył, że cała drży.

- A jeśli to będzie prośba? Bardzo proszę, panno Whiston, niech pani usiądzie i mnie wysłucha.

Caroline poczuła, że jej stanowczość słabnie, ale patrzyła na niego znacząco, póki nie odstepił od drzwi.

- Bardzo proszę - powtórzył. - Byłbym wdzięczny, gdyby dała mi pani szansę wyjaśnienia nieporozumień.

Caroline miała wrażenie, że znalazła się w pułapce. Dobre maniere nakazywały jej ugiąć się przed prośbą, a jednocześnie chciała jak najszybciej skończyć to sam na sam. Poczekała jednak, aż Lewis naleje dwa kieliszki madery, usiądzie naprzeciwko niej i postawi swój kieliszek na dzielącym ich stoliku.

- Przede wszystkim jestem pani winien przeprosiny. Zachowałem się grubiańsko, bez względu na to, co mi się wydawało. Zupełnie słusznie skarciła mnie pani za złe maniere. Byłem taki zaskoczony... - urwał. - Mniejsza o to.

- Trochę się rozchmurzył. - Sądzę, że zaszło nieporozumienie, które szybko wyjaśnimy. Wierzę, że zostawiła pani list w książce przypadkiem i z pewnością nie z myślą, żebym go przeczytał.

Caroline spojrzała mu prosto w oczy.

- No, owszem. Zresztą jaki miałyby to cel? Przecież wiem, że dżentelmen nigdy nie przeczytałby listu adresowanego do kogo innego!

Nastąpiła chwila ciszy.

- Słusznie. - W oczach Lewisa pojawił mu się wyraz rozbawienia. - Prawdę mówiąc, kawałek przeczytałem, bo chciałem się dowiedzieć, czyją własność stanowi ten list.

- Wszystkie są adresowane do „Drogiej Caro” - stwierdziła - więc nie trzeba było szczególnie wysilać umysłu, sir! - Zerknęła na biurko, gdzie wciąż leżał przedmiot nieporozumienia.

- Droga Caro... - powtórzył Lewis, a w jego głosie zabrzmiała czuła nuta, która przyprawiła Caroline o rumieniec. - Ma pani rację, na początku jest przecież zwrot grzecznościowy, i to bardzo ładny.

- To nie należy do rzeczy! - burknęła Caroline z nadzieją, że zatuszuje tym zakłopotanie. - Mówimy o tym, że według wszelkiego prawdopodobieństwa uznał mnie pan za osobę zdolną do oczernienia pani Chessford! Co gorsza, wspomniał pan, zdaje się, że sama pani Chessford żywiła wątpliwości co do mojej rzetelności.

- Muszę podkreślić, że to ja jestem sprawcą całego nie-

porozumienia - przerwał jej gładko Lewis. Caroline zdumiała jego łatwość bagatelizowania spraw. - Bardzo proszę wybaczyć biednemu, staremu nudziarzowi. Julia nigdy niczego podobnego nie sugerowała. Co więcej, jestem pewien, że pani rzetelność jest bez zarzutu, panno Whiston.

- Ale... - Caroline poczuła się tak, jakby wyciągnięto jej dywan spod stóp. - Niby wszystko jest w porządku...

Lewis wzruszył ramionami.

- Nie chciałbym, żeby to nieporozumienie nastawiło panią nieprzychylnie do pani Chessford, a tym bardziej żeby opuściła pani Hewly. Jeszcze raz proszę o wybaczenie i o przyjęcie drugiego kieliszka wina na znak zgody.

Carolina spojrzała na swój kieliszek i przekonała się, że jest pusty. Nie pamiętała jednak, by z niego piła. Zmarszczyła czoło, wciąż rozważając ostatnie słowa Lewisa.

- Nie mogę pojąć, dlaczego wydaje się panu, że mogłabym chcieć zaszkodzić Julii! - wybuchnęła w końcu. - Jaki motyw... - urwała, gdy Lewis spojrzał na nią z rozbawieniem. - No, nie, kapitanie Brabant! Obawiam się, że stanowczo za dużo pan sobie pochlebia!

Lewis miał dość wdzięku, by przynajmniej udać zawstydzenie.

- Doprawdy, panno Whiston, nie jestem aż takim fanfaronem, żeby podejrzewać panią o upodobanie do mojej osoby.

- I słusznie. Pozwolę sobie powiedzieć, że również ten pomysł narodził się z sugestii pani Chessford! - Caroline znowu wpadła w złość, bo tym razem zarzut byłby przy-

najmniej częściowo słuszny. - Czy pan zapomniał, jak wyglądało nasze pierwsze spotkanie? Sam pan mi się narzucał! Ja się o pańską uwagę nie proszę!

Lewis parsknął śmiechem.

- Och, na pewno tego nie zapomniałem. - Odstawił kafełkę i podszedł do Caroline. Gdy spojrzała mu w twarz, nagle zabrakło jej powietrza. Przypomnienie mu spotkania w lesie nie było dobrym pomysłem. Niezgrabnie wstała.

- Powinnam już iść...

- Koniecznie? Zdawało mi się, że zaczynamy wyjątkowo interesującą rozmowę.

Caroline poczuła, że robi jej się gorąco. Mógł to być skutek wypitego wina albo żaru bijącego od ognia na kominku, ale uznała to za mało prawdopodobne. Po prostu poniosły ją uczucia, nad którymi trudno zapanować. Na wszelki wypadek chciała szybko wyjść z pokoju, potknęła się jednak o rąbek sukni. Lewis ją podtrzymał, ale odtrąciła jego ramię.

- Dziękuję panu, sama dam sobie radę!

Usłyszała jego śmiech.

- Rozumiem. - Sięgnął do gałki i ku jej niewysłowionej uldze tym razem otworzył drzwi. - Nie opuści pani Hewly z powodu tego nieszczęsnego nieporozumienia?

Caroline przygryzła wargę, nagle odzyskawszy jasność myślenia. To, co powiedział Lewis, ostatecznie zniszczyło jej mocno zachwianą przyjaźń z Julią. To, że Julia zakwestionowała jej uczciwość, nie ulegało wątpliwości. Wprawdzie Lewis gładko wyjaśnił, że zaszło nieporozu-

mienie, ale było to tylko tłumaczenie. W rzeczywistości Julia złośliwie nakłamała na jej temat, a Lewis w to uwierzył. Ta ohyda tylko umocniła ją w przekonaniu, że należy wyjechać z Hewly - im szybciej, tym lepiej.

Lewis widocznie wyczytał z jej twarzy odpowiedź, bo znowu zamknął drzwi.

- Panno Whiston - rzekł. - Nie pozostaje mi nic innego, jak błagać panią o pozostanie z nami jeszcze przynajmniej przez pewien czas. - Oparł się o drzwi z bardzo posępną miną. - Ostatnio źle się dzieje w Hewly. Zauważyłem jednak, że moja siostra darzy panią przyjaźnią, a wkrótce będzie jej przecież potrzebna dama do towarzystwa. Apeluję... jeśli nie może pani zostać z powodu Julii, proszę to zrobić, żeby pomóc Lavender.

Caroline westchnęła. Znowu znalazła się w pułapce. Już zastanawiała się nad następstwami pozostawienia Lavender w domu, w którym umiera jej ojciec, a kuzynka jest głupią, próżną istotą, niezdolną do udzielenia koniecznego wsparcia. To prawda, że Lavender miała również brata, ale śmierć ojca złożyłaby na jego barki zbyt wiele obowiązków. Jeszcze przed kilkoma tygodniami nie miałyby to dla Caroline znaczenia. Wówczas nie wiedziała, że polubi Lavender Brabant, ale teraz...

- Wiem, że nie mam prawa zwracać się do pani z taką prośbą - powiedział Lewis. - Proszę mi wierzyć, robię to tylko dla mojej siostry. Mam wrażenie, że pani obecność jest dla niej ważna. Ale jeśli naprawdę nie może tu pani wytrzymać...

- Nie, nie - odrzekła szybko. - Zostanę, aby pomóc pannie Brabant... przynajmniej jeszcze trochę.

- Dziękuję. - Lewis ujął jej dłoń i pocałował. - Jestem szczerze zobowiązany, panno Whiston. A co do...

- Nie zaczynajmy znowu rozmowy, którą już odbyliśmy, sir. - Caroline szybko cofnęła rękę.

- Jak sobie pani życzy. - Lewis wydawał się zmieszany. - Jedno muszę powiedzieć. Popełniłem wielki błąd, że w panią zważyłem, i z tego powodu jest mi naprawdę przykro.

Caroline zbyła tę deklarację lekceważącym gestem. Nie chciała zbyt głęboko się nad nią zastanawiać, dopiero wtedy bowiem poczułaby, jak bardzo cierpi. Pozwoliła Lewisowi otworzyć drzwi i wolnym krokiem udała się na górę, świadoma tego, że jest obserwowana. Gdy wreszcie znalazła schronienie w swoim pokoju, usiadła na krześle przy łóżku.

Nie chciała zostać w Hewly Manor. Panowała tu przynębiająca atmosfera, a na myśl o złośliwości Julii zaczynało ją ssać w żołądku. Jednak złożyła obietnicę Lewisowi, więc musiała dotrzymać słowa. Otworzyła oczy i wpatrywała się w czarne niebo widoczne za szybą. Lewis powiedział, że chce ją zatrzymać ze względu na Lavender, a ona na to przystała. Teraz jednak uświadomiła sobie, że w gruncie rzeczy czekała na co innego. Na to, aby kapitan Brabant przyznał, że zależy mu na jej obecności.

Zapowiedzią zbliżającego się Bożego Narodzenia były tylko nieliczne przygotowania. Lavender i Lewis objecha-

li okoliczne gospodarstwa, złożyli dzierżawcom życzenia i obdarowali ich prezentami, ale nastrój był smutny, trudno bowiem było zapomnieć o chorobie admirała. Gdy Julia zaproponowała, żeby jednak jechać na bal Pod Aniołem, Lavender odmówiła, a Caroline została w Hewly, aby dotrzymać jej towarzystwa. Nie miała najmniejszej ochoty przyglądać się, jak Julia przez cały wieczór flirtuje z Lewisem, a ona siedzi pod ścianą i czeka, aż kapitan wreszcie zaszczyci ją grzecznościowym tańcem.

Julia wróciła w znakomitym humorze i z mnóstwem plotek do powtórzenia.

- We wsi mówią tylko o zaręczynach i ślubach! - oznajmiła przy śniadaniu następnego dnia. Wyglądała pięknie i świeżo w żółtej muślinowej sukni, do której dobrała opaskę we włosach. - Beatrice Roade wychodzi za mąż za lorda Ravensdena i gdyby nie ten przekłety śnieg, moglibyśmy wszyscy jechać na ślub! Panna Roade miała dużo szczęścia, ten Ravensden to znakomita partia. - Zamieszała czekoladę. - To doprawdy niewiarygodne, jak umieją sobie radzić panny, które nie mają ani prezencji, ani posagu. Kiedy India Rushford usidliła lorda Ishama, to był prawie cud, ale Beatrice Roade... taka dziwaczka, do tego beznadziejnie prostonijną. - Przez chwilę zatrzymała wzrok na Lavender.

Caroline posmarowała masłem drugą grzanekę.

- Może lord Ravensden dobrze się czuje w towarzystwie panny Roade, Julio.

Julia szerzej otworzyła oczy.

- Phi, co za dziwny pomysł! Nie pamiętasz? - Prze-

słała jej koci uśmiezek. - Kiedy byliśmy w szkole, mówiliśmy w ten sposób o różnych pospolitych pannach. One miały szanse dobrze wyjść za mąż tylko za dżentelmena, którego ujął dobry charakter. - Roześmiała się perliście. - Naturalnie wtedy byłaś niczego sobie panną.

Lewis znacząco zaszeleścił gazetą.

- Zapomniałaś o wicehrabim Wyndham, Julio. Czy na jego temat nie masz nic do powiedzenia?

- Och, mam! - Julia wydawała się nie dostrzegać sarkazmu w głosie Lewisa, z lśnącymi oczami zwróciła się do reszty obecnych. - Wyjątkowo pikantną plotkę, moi drodzy! Podobno wicehrabia spotyka się czasem z pannami w domu myśliwskim niedaleko stąd. Bez przyzwoitki.

Lavender wstała od stołu i ostentacyjnie opuściła pokój. Julia wlepiła wzrok w drzwi.

- Słowo daję.

Lewis złożył gazetę, wsunął ją pod pachę i podniósł się z fotela.

- Przepraszam. Gdyby ktoś mnie potrzebował, będę w gabinecie.

Gdy drzwi za nim się zamknęły, nadaśana Julia wzruszyła ramionami.

- Co im się nagle stało? Ech, nieważne, czy opowiadałam ci o pannie Reeth...

Caroline westchnęła i dołała sobie czekolady. Wydawało jej się bardzo niesprawiedliwe, że ona jedna nie może wstać i wyjść, zostawiając Julię samą.

Admirał Brabant zmarł trzy dni po Bożym Narodzeniu. Nie była to nieoczekiwana śmierć, więc w ostatnich chwilach towarzyszyła mu cała rodzina. Gdy bliscy zebrali się przy łóżku konającego, Caroline zaprowadziła panią Prior do kuchni i raz po raz dolewając jej mocnej, słodzonej herbaty, wysłuchiwała ze współczuciem opowieści piastunki o jej długoletniej pracy u rodziny Brabantów i smutku z powodu odejścia obojga chlebobawców. Było późne popołudnie, gdy wreszcie pani Prior głośno wydmuchała nos w wielką białą chustkę, uśmiechnęła się do Caroline przez łyżę i powiedziała:

- Niech cię Bóg błogosławi, dziecko, że wysłuchiwałaś mojego gadania! To są smutne chwile, ale nigdy nie należy tracić nadziei. Kiedy paniczowi Lewisowi, a właściwie powinnam powiedzieć kapitanowi, skoro został głową rodziny, zacznie być potrzebny pokój dziecinny, w Hewly znowu nastaną lepsze czasy!

Caroline zamieszała herbatę i zaczęła się zastanawiać, czy pani Prior uważa, że taki rozwój wypadków jest niechybny.

- Wiadomość o zaręczynach na pewno podniosłaby wszystkich na duchu - ciągnęła pani Prior, najwyraźniej rozwijając poprzednią myśl. - Naturalnie teraz będzie żałoba w domu. - Westchnęła. - No, i są tacy, którzy patrzyliby niechętnym okiem na ożenek kapitana. Ale co tam, z czasem i tak wszystko się ułoży! W każdym razie pani Julia miała smutny powrót do Hewly. Wuj zaniemógł zaraz po jej przyjeździe i już nigdy nie odzyskał władz

umysłowych. Tak, tak, pani Julia nie była tu jeszcze chyba nawet dwóch godzin, kiedy powalił go atak!

Caroline naturalnie rozumiała, jaki związek między ożenkiem Lewisa a obecnością Julii w Hewly widzi pani Prior, i zrobiło jej się bardzo smutno. Nie mogła spytać piastunki, co sądzi służba o możliwości takiego małżeństwa, ale i bez tego usłyszała dość. Z westchnieniem poczęstowała się więc kawałkiem biskopka. Jednocześnie pomyślała, że taki sposób pocieszania się jest wprawdzie przyjemny, ale przyjdzie jej odcierpieć tę przyjemność, gdy będzie czas na spanie.

- Znaleźliśmy go w gabinecie. Wszystko było porozrucane - opowiadała dalej pani Prior. - Atrament rozlał się po całym biurku, pióro leżało na podłodze, a dookoła było mnóstwo papierów. Jeden wielki bałagan. Pan admirał leżał nieprzytomny pośrodku tego wszystkiego. To do prawdy niezwykle, że biedak to przeżył.

- Co pisał pan admirał? - spytała Caroline, mając pełne usta ciasta.

Piastunka Prior spojrzała na nią zdziwiona.

- Co za pytanie?! - Zmarszczyła czoło. - Nie wiem. Do dzisiaj w ogóle się nad tym nie zastanawiałam. Ale coś pisał. Chyba list, chociaż z tyloma kleksami, że trudno było cokolwiek przeczytać. - Pokręciła głową.

- Och, nieważne. - Caroline dopiła herbatę i postanowiła sprawdzić, czy Lavender nie potrzebuje towarzystwa. Właśnie wybierała się na górę, gdy do kuchni wetknęła głowę służąca. Z szacunkiem przynależnym starszej

i godniej szej osobie dygnęła przed panią Prior, po czym zwróciła się do Caroline:

- Bardzo przepraszam, ale woła panią pani Chessford.

Julia czekała na nią u szczytu schodów. Ciężko wspierała się na ramieniu Lewisa i łkała w koronkową chusteczkę z wprawą godną wytrawnej aktorki.

- Caroline - zakomenderowała, z wdziękiem otarłszy oczy. - Potrzebuję ciepłego mleka z winem i korzeniami, żeby przynajmniej na chwilę zmrużyć oczy w tę straszną noc. Muszę pospać, bo inaczej rano będę wyglądać jak mara. - Smutno uśmiechnęła się do Lewisa i znów zwróciła się do Caroline: - Idź do kuchni i dopilnuj, żeby przygotowano mi napitek, a ty, Lewisie, zostań ze mną, proszę, póki Caro nie wróci, bo chyba nie zniosłabym samotności... - Głosej się załamał.

Z pokoju admirała wyszła Lavender, blada i zapłakana. Przez chwilę Caroline zdawało się, że dostrzegła na twarzy Julii cień współczucia, ale zaraz potem Julia znów wsparła się na ramieniu Lewisa i szepnęła mu, że chyba zemdleje. Caroline szybko podeszła do Lavender i krzepiąc ją objęła, a jednocześnie odwróciła głowę i powiedziała do Lewisa:

- Kapitanie Brabant, siostra pana potrzebuje. Ja odprowadzę panią Chessford do pokoju i przyniosę jej napitek. Potem, jeśli mogłabym w czymś pomóc pannie Brabant...

- Dziękuję, panno Whiston. - Lewis bez namysłu puścił ramię Julii, przesłał Caroline uśmiech wdzięczności i podszedł do siostry. Caroline i Julia przyglądały się, jak

rodzeństwo odchodzi. Jasne włosy Lavender opadły na ramię kapitana.

- No, no - powiedziała Julia znacznie mocniejszym głosem niż przed chwilą. - Lewis mógłby przynajmniej się upewnić, czy nic mi nie jest, zanim mnie zostawi! Wierzyć mi się nie chce...

- Julio - powiedziała chłodno Caroline - panna Brabant właśnie straciła ojca. Mimo że wierzę w szczerość twoich uczuć dla chrzestnego, nie sądzę, żeby można było porównywać waszą sytuację. Pójdę teraz na dół zająć się twoim napitkiem, a potem przyślę do ciebie Letty.

Julia zamiotła suknią i energicznie ruszyła w stronę swojego pokoju.

- Widzę, że obudził się w tobie władczy instynkt. No, ale skoro nikogo nie obchodzę, to trudno.

Westchnąwszy, Caroline wróciła do kuchni. Kucharka już tam była i mieszała mleko w rondelku na blasze. Na widok Caroline uśmiechnęła się blado.

- Właśnie przygotowałam trochę mleka dla mojej małej owieczki, zaraz doleję do niego brandy i dodam gałki muszkatołowej, żeby łatwiej mogła zasnąć.

Przez chwilę Caroline zastanawiała się, czy to możliwe, że kucharka znacznie bardziej lubi Julię, niż się zdaje, zaraz jednak zorientowała się, że mowa o Lavender, a nie o jej chlebodawczyni.

- Mogę zanieść pannie Brabant mleko, jeśli pani sobie życzy - zaproponowała. - Wiem, że tu, na dole musi być teraz piekło.

Kucharka spojrzała na nią z wdzięcznością.

- A jest, jest, panno Whiston, to pewne. Wszystkie służące chlipią w spiżarni, lokaj John poszedł z wiadomością do wsi, a piastunka Prior wypija herbatę za herbatą...

- Może zostało trochę mleka i mogłabym je zanieść pani Chessford? - ostrożnie próbowała wy badać sytuację Caroline. - Ona też na pewno byłaby wdzięczna za kubek.

Kucharka pociągnęła nosem.

- Ta to za nic nie jest wdzięczna! Skarży na nas do pana i ciągle paraduje napuszona, jakby już była tu panią! Czcigodna pani Brabant to była prawdziwa dama. Na pewno w grobie się przewraca, jeśli wie, kto ma zająć jej miejsce!

Caroline uświadomiła sobie, że popełniła taktyczny błąd, wymieniając Julię z imienia. Wiedziała przecież, że prawie nikt ze służby jej nie lubi. Kucharka była bardzo poruszona śmiercią admirała, kącikiem fartucha ocierała łzy i przez cały czas pociągała nosem nad mlekiem. Caroline poklepała ją więc po ramieniu i została nagrodzona bladym uśmiechem. Potem kucharka nalała dwa kubki mleka, wręczyła Caroline tacę i jeszcze raz jej podziękowała.

Caroline poszła na górę i zapukała do drzwi Julii. Użyło jej, gdy otworzyła Letty i wzięła od niej kubek z tacą, uniknęła bowiem kolejnej tyrady. Przez chwilę słyszała przez zamknięte drzwi wznoszący się i opadający głos, podobny do melodii granej na dzwoneczkach. Ruszyła dalej korytarzem, minęła gromadkę służby i zapukała do poko-

ju Lavender. Usłyszała z wnętrza szmer głosów, a chwilę potem otworzył jej drzwi Lewis.

- Panna Whiston - obdarzył ją uśmiechem - proszę wejść.

Caroline głęboko mu współczuła. Miał zmęczoną twarz naznaczoną smutkiem, oczom brakowało zwykłego blasku. Pragnienie, by go objąć i pocieszyć, odezwało się w niej tak gwałtownie, że aż ją to zdumiało. Na szczęście wciąż trzymała w dłoni drugi kubek mleka, a kilka kropel gorącego napitku wylało jej się na rękę i pomogło otrzeźwieć. Ostrożnie postawiła naczynie na stoliku przy łóżku.

Lavender siedziała oparta o poduszki.

- Bardzo ci dziękuję. Zostaniesz ze mną chwilę? Lewis ma tyle do zrobienia.

Caroline zerknęła pytająco na kapitana. Ten nieznacznie skinął głową.

- Jeśli może być pani taka dobra, panno Whiston.

- Naturalnie. - Caroline poczekała, aż Lewis pocałuje siostrę w policzek na pożegnanie, potem usiadła na krawędzi łóżka i ujęła pannę Brabant za rękę.

- Przykro mi, Lavender. Wprawdzie nie stało się to niespodziewanie, ale mimo wszystko na pewno jest ci bardzo ciężko.

- To prawda. Naturalnie wiedziałam, że ojciec umiera, ale trudno przyzwyczaić się do myśli, że już go nie ma. Faktem jest, że trochę mi ulżyło, bo przecież pod koniec życia właściwie nie był już sobą, a teraz dłużej nie cierpi.

Wyciągnęła rękę, a Caroline podała jej kubek mleka.

- Uważaj, jest dość pełny.

Lavender wypijała mleko prawie do dna. Powieki same jej się zamykały, gdy Caroline odbierała od niej kubek, a potem pomagała wygodnie umieścić się na poduszkach.

- Spróbuj teraz pospać. Jesteś wyczerpana.

- Za chwilę - odszepnęła Lavender. - Czy sądzisz, że Lewis ożeni się z Julią? - Oczy otworzyły jej się szerzej i zaszyły łzami. - Och, mam nadzieję, że nie! Tego bym nie zniosła!

Wyglądało na to, że jest to wieczór niechęci do Julii. Albo kucharka dołała za dużo brandy do mleka, albo żal wziął w Lavender górę nad powściągliwością, albo stało się jedno i drugie. Caroline poklepała przyjaciółkę po wierzchu dłoni.

- Teraz nie martw się o to, Lavender.

- Nie będę. - Umościła się wygodniej. - Może wszystko dobrze się ułoży. - Ziewnęła. - Wiesz, nie lubię jej - powiedziała bez ogródek - i nie mam do niej zaufania. Dawno temu miała wyjść za Lewisa, ale gdy tylko Lewis wypłynął na morze, zainteresowała się Andrew! Mama i papa byli przeciwni temu związkowi, lecz Julia silnie dążyła do celu. Myślała, że jestem za młoda i nie rozumiem, co się dzieje, ale była w błędzie! Ona dobrze wiedziała, że to Andrew jest starszym synem, a poza tym była znudzona.

- Pst... - uspokajała ją Caroline z nadzieją, że panna wkrótce zaśnie i niekontrolowany potok słów ustanie.

Szczerze wątpiła, czy rano Lavender będzie cokolwiek z tego pamiętała.

- A potem Andrew umarł i jej plany spaliły na panewce - ciągnęła z wyraźną satysfakcją. - Pozostał jednak w zapasie przyjaciel Andrew, Jack Chessford... ona zawsze musi kogoś uwodzić... Mam nadzieję, mam wielką nadzieję, że Lewis pozna się na niej, ale to nie jest pewne. Wczoraj wieczorem widziałam, jak ją obejmował.

Caroline zmroziło. Również ona w tajemnicy liczyła na to, że Lewis nie pozwoli się zwieść urodą i oceni Julię jak należy; przecież nie był głupcem i powinien znać się na ludziach. Czy jednak dotyczyło to również kobiet? Fizyczne piękno może oślepić mężczyznę. Caroline widziała niejednego tego przykład i ta myśl przygnębiła ją jeszcze bardziej.

- Najbardziej chciałabym, żeby Lewis ożenił się z tobą, Caroline - wyznała Lavender, uśmiechając się pod nosem. - Muszę coś wymyślić. - Z tymi słowami wreszcie zasnęła.

Caroline posiedziała jeszcze przy jej łóżku, wreszcie jednak zgasł ogień w kominku i w pokoju zrobiło się zimno. Wstała więc i zaczęła dokładać do paleniska węgla i drewna, żeby Lavender nie zbudziła się w takim chłodziu.

- Proszę pozwolić, że ja to zrobię.

Drzwi cicho się otworzyły i do pokoju wszedł Lewis. Pomógł Caroline wstać i pochylił się nad paleniskiem, by podsycić ponownie rozpalony ogień. Wreszcie wyprostował się i zmierzył ją bacznym spojrzaniem.

- Panno Whiston, wygląda pani na przemarzniętą i bardzo zmęczoną - powiedział półgłosem. - Lavender na szczęście już śpi. Może nie podda się przygnębieniu.

Caroline pomyślała, że najbardziej przygnębiająca jest dla Lavender myśl o małżeństwie brata z Julią, ale nie była to odpowiednia chwila na poruszanie takiego tematu.

- Naturalnie panna Brabant jest bardzo zasmucona - odrzekła cicho. - Sądzę jednak, że prześpi całą noc. Kucharka dołała jej brandy do mleka.

Lewis odrobinę się odprężył.

- To dobry pomysł. Mam nadzieję, że nie była przez to zbyt gadatliwa przed zaśnięciem.

Caroline uciekła przed jego wzrokiem.

- Nie... Nie tak bardzo, sir.

Caroline zorientowała się, że niechcący wyznała coś wręcz przeciwnego. Nie potrafiła ukrywać myśli, a gdy miała świadomość, że przygląda jej się tak spozostzegawczy człowiek, czuła się jeszcze bardziej zakłopotana.

- Rozumiem. - Lewis wydawał się rozbawiony. - Proszę się nie obawiać, panno Whiston. Nie będę domagał się powtórzenia zwierzeń siostry. Na pewno jest pani bardzo zmęczona. Dobranoc.

Razem wyszli z pokoju. Lewis uniósł dłoń na pożegnanie i szedł na dół, a Caroline wróciła do swojej sypialni. Wkrótce przekonała się, że sen do niej nie przychodzi. Zjedzone ciasto ciążyło jej w żołądku, a w głowie kłębiły się niezliczone myśli. Trochę posiedziała z książką, potem podeszła do okna, wlepiła wzrok w ciemność i zaczęła na-

słuchiwać odgłosów nocy, dochodzących z wnętrza domu. Stopniowo robiło się coraz ciszej. Zegar wybił pierwszą. Postanowiła jeszcze raz zejść do kuchni, tym razem po coś do picia dla siebie.

Zarzuciła wełniany szal na koszulę nocną i wyszła się na pusty korytarz. Nie była przesądna, ale mrok i cisza nagle odebrały jej odwagę. Na wszelki wypadek ominęła wzrokiem zamknięte drzwi pokoju admirała. Zeszła po schodach, trzymając lichtarz wysoko przed sobą w jednej ręce, a drugą sunąc po drewnianej poręczy. Pod drzwiami gabinetu widniała smuga światła, ale z pokoju nie dochodziły żadne odgłosy.

Chciała otworzyć drzwi pod schodami i w tej samej chwili kątem oka zauważyła ruch. Wykonała gwałtowny obrót, prąd powietrza przygasił świecę, a ona wydała stłumiony okrzyk. Zdawało jej się, że widzi niewyraźną postać oddalającą się korytarzem, a potem zapadł całkowity mrok, bo świeca wypadła jej z ręki. .

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Drzwi gabinetu otworzyły się z trzaskiem.

- Co tu się dzieje, do diabła?! - zabrzmiał w ciemności głos. W korytarzu stanął Lewis, trzymając w ręku lichterz.
- Panna Whiston? Skąd, u Ucha...

Przestraszona Caroline nie mogła zapanować nad szczękaniem zębów.

- Bardzo pana przepraszam. Widziałam... Zdawało mi się, że widzę w korytarzu szaro ubraną postać.

Lewis ujął ją za ramię i bezceremonialnie wciągnął do gabinetu. Caroline poczuła ulgę, znalazłszy się znów w jasno oświetlonym miejscu, zaraz jednak uświadomiła sobie, że jest w nocnej koszuli, sam na sam z Lewisem, i znów straciła pewność siebie. Co gorsza, Lewis był stanowczo zbyt skąpo odziany, by znajdować się w towarzystwie. Nie miał już na sobie surduru ani halsztuka - jedno i drugie było niedbale przewieszane przez oparcie krzesła. W dodatku rozpiął koszulę pod szyją. W świetle świecy jego skóra miała odcień złocistego brązu. Caroline z wrażenia zaschło w gardle. Przesunęła wzrok na opróżnioną do połowy butelkę brandy, stojącą na biurku, i w tej

samej chwili usłyszała niepokojący trzask za plecami. Drzwi za nią się zamknęły.

- Proszę się nie obawiać, panno Whiston. - Lewis znów odgadł jej myśli. Ta przenikliwość wydawała jej się coraz bardziej kłopotliwa. - Wbrew pozorom jestem całkiem trzeźwy. Proszę usiąść i opowiedzieć mi, co tak panią spłoszyło.

Odstawił lichterz na biurko i spojrzał na Caroline. Mimo woli przytknęła dłoń do gardła. Mogła myśleć tylko o tym, że jest w nocnej koszuli i ma rozpuszczone włosy, więc musi wyglądać jak prawdziwa rozpustnica.

- Wolałabym tego nie robić, sir. - Głos wciąż lekko jej drżał. - Chyba poniosła mnie wyobraźnia. Poczułam się niepewnie i zdawało mi się, że widzę zjawę...

- Szarą damę. - Lewis podszedł do stolika, a przy okazji rozlał trochę brandy na szklany blat. Uniósł butelkę. - Czy na pewno nie chce pani ze mną się napić?

- Stanowczo nie. - Caroline wiedziała, że jest zanadto purytańska, a potwierdził to kpiący śmieszek Lewisa.

- Niech pani przynajmniej usiądzie i dotrzyma mi towarzystwa. - Sam spoczął w bardzo swobodnej pozie, po czym wskazał jej miejsce obok siebie. - Potrzebuję tego dzisiaj. Przypuszczam, że widziała pani naszego miejscowego ducha.

- Szarą damę? - Caroline usiadła dość gwałtownie. - Niemożliwe, sir! Duchy to zwykłe bajanie!

Lewis wzruszył ramionami.

- Zaskakuje mnie, że nie natknęła się pani na tę opo-

wieść w książkach. Dama, o której mowa, była żoną rojalisty, a ten stracił życie podczas rewolucji. Gdy usłyszała o jego śmierci, wpadła w rozpacz i odmówiła spożywania posiłków. Marniała w oczach, aż w końcu zesła z tego świata. Teraz straszy w domu i ogrodach. Pojawia się jako szary cień zawsze, gdy zdarza się śmierć w rodzinie.

Wbrew sobie Caroline zadrżała.

- Niedorzeczność! - powiedziała głośno, ale skrzyżowała ramiona na piersiach, jakby chciała się rozgrzać.

Lewis parsknął śmiechem. Upił duży łyk brandy.

- Oto praktyczna panna Whiston! A jednak to właśnie pani ją widziała.

Caroline znowu zadrżała.

- Zbliźmy się do ognia. - Lewis wpatrywał się ze skupieniem w twarz Caroline, co wprawiło ją w jeszcze większe zakłopotanie. - Nie powinniśmy się straszyć historiami o duchach w zimową noc.

- Sądziłabym, że nie ma pan czasu na takie zabawy - odparła cierpko Caroline. - Z pewnością jest pan bardziej przyzwyczajony do zajmowania się realnymi problemami, a nie tworam wyobraźni.

Lewis się przeciagnał. Caroline zobaczyła mięśnie napinające się pod białą płócienną koszulą i szybko odwróciła wzrok. Wydało jej się, że nagle w pokoju robi się o wiele cieplej, a właściwie gorąco.

- Z pewnością słyszała pani, że marynarze są wyjątkowo przesadną kompanią, panno Whiston - powiedział z ironią Lewis. - Mrożące krew w żyłach historie po pro-

stu wytrząsamy z rękawa. Ale zmienimy temat. Proszę mi lepiej wyjaśnić, co panią skłoniło do wędrowania po domu o tak późnej porze.

- Nie mogłam zasnąć - odrzekła wymijająco. - Postanowiłam przynieść sobie kubek mleka z kuchni. I zaraz to zrobię! - Zerwała się na równe nogi.

Lewis spojrział na nią z rozbawieniem. Zatrzymał wzrok na zaróżowionych policzkach, a potem, nieco dłużej, na gęstych, kręconych kasztanowych włosach, otaczających twarz.

- Czy odważysz się pani samotnie przemierzać te ciemne korytarze?

- Przecież wszystko, co zaszło, było dziełem mojej wyobraźni - odparła dziarsko. - To znaczy, że nic mi nie grozi!

- Na korytarzu na pewno mniej, niż kiedy siedzi pani tutaj ze mną - zauważył. Znow przesunęło się po jej ciele spojrzenie tych oczu, ciemnoniebieskich jak morze latem. Było to onieśmielające, lecz nie przykre. Caroline wołała jednak o tym nie myśleć, bo i tak niebezpiecznie zbliżała się do miejsca, w którym mogła stracić grunt pod nogami.

Lewis znowu sięgnął po butelkę brandy.

- No, skoro nie namówię pani do wypicia ze mną szklaneczki na dobranoc...

- Nie namówi mnie pan, ale dziękuję za zaproszenie - odparła uprzejmie. Zaczęła się cofać do drzwi, z każdym krokiem pewniejsza siebie. Dopiero gdy położyła dłoń na gałce, znieruchomiała, naszła ją bowiem straszli-

wa myśl. A jeśli kapitan zamierza tu przesiedzieć całą noc i upić się do nieprzytomności? Strata ojca mogła przecież wywołać u niego taką reakcję, a chociaż do tej pory Lewis dzielnie wspierał Lavender, to jak poczułaby się jego siostra, gdyby nazajutrz zbudziła się i znalazła Lewisa pijanego jak biała?

- Waha się pani - wyrwał ją z zamyślenia głos. Lewis wstał i podszedł do niej z leniwym wdziękiem właściwym tylko jemu. W oczach wciąż miał kpiący wyraz. Caroline cofnęła się, nie odrywając wzroku od jego twarzy.

- Nie... nie. Po prostu zaniepokoiłam się, że mógłby pan... - urwała, z jednej strony bowiem była szczerze zadowolona, z drugiej obawiała się, że narobi sobie nowych kłopotów.

Lewis się uśmiechnął.

- Zaniepokoiła się pani, że jestem już podchmielony i bez pani trzeźwiącego wpływu doprowadzę się do utraty świadomości? - Uśmiechnął się szerzej. - Co do pierwszego, być może ma pani rację, ale może mi też pani zaufać... na pewno nie zawiodę Lavender.

- Jestem o tym przekonana - odparła, siląc się na chłodny ton. - Mam dla pana wiele szacunku za to, jak wspiera pan siostrę w trudnych chwilach. Często jednak nikt nie myśli o niesieniu pokrzepienia właśnie tym, którzy troszczą się o innych... - Spłonęła rumieńcem, zakłopotana jego spojrzeniem, trochę czułym, a trochę rozbawionym.

- Święta prawda, panno Whiston - powiedział wolno Lewis. - Zupełnie jakby mówiła pani o sobie. Bo mimo

pozorów szorstkości przecież troszczy się pani o innych, prawda? Ale kto troszczy się o panią? Musi być pani samotna...

Caroline czuła, że z każdą chwilą coraz gorzej panuje nad sytuacją. Lewis stanął bardzo blisko. Wydawało jej się nawet, że czuje jego zapach i ciepło promieniujące od ciała. Takie myśli przyprawiły ją o lekki zawrót głowy. Niełatwo jej było znowu przywołać zdrowy rozsądek.

- Źle mnie pan zrozumiał. Nie odnosiłam tego do siebie - sprostowała skwapliwie. - Po prostu obawiałam się, że może pan nadużyć...

Uśmiech Lewisa świadczył o tym, że jej nie wierzy.

- Wzruszyła mnie pani tą propozycją pokrzepienia, panno Whiston.

- Wcale nie miałam takiego zamiaru! - odpaliła i znów odwróciła się do drzwi. - Pan przekręca moje słowa! Muszę już iść! Jestem bardzo zmęczona.

- Nie tak szybko, panno Whiston - szepnął Lewis. Otoczył ją ramieniem w talii i przyciągnął do siebie. Zanim zdążyła pomyśleć, odnalazł jej usta. Przez chwilę pocałunek był czuły i delikatny, szybko jednak stał się znacznie gwałtowniejszy. Caroline przeszył dreszcz. Położyła dłonie na torsie Lewisa, żeby mieć jakiś punkt oparcia. Poczowała bicie jego serca i smak brandy na wargach. W głowie miała dziesiątki różnych słów, by zaprotestować przeciwko takiemu traktowaniu, wszystkie jednak umknęły, gdy wsunął dłonie w jej gęste kasztanowe włosy, opadające na ramiona, a potem delikatnie pogłaskał ją

po karku. Ta pieszczota dziwnie nie pasowała do żarłocznego pocałunku doświadczonego mężczyzny. Porwana nieznanymi zmysłowymi doznaniem Caroline uległa całkiem miłej słabości, która całkowicie odebrała jej wolę.

- Droga Caro... - szepnął jej Lewis do ucha, gdy wreszcie cofnął usta. Niebieskie oczy ściemniały mu od pożądania. - Tak bardzo pragnę...

Musnął jej policzek, wsunął dłoń pod brodę i odchylił głowę. Tym razem pocałunek był delikatny, za to Lewis przyciągnął ją jeszcze mocniej do siebie, a ona objęła go za szyję. Doznania były coraz bardziej oszałamiające...

Nagle w pobliżu skrzypnęły ostrożnie zamykane drzwi. Odgłos był ledwie słyszalny, ale wystarczająco głośny, by Caroline oprzytomniała. Ile osób wiedziało, że zeszła na dół i jest w gabinecie sam na sam z panem domu? Nagle to, co przed chwilą wydawało jej się cudowne i drogocenne, stało się brudne. Pan domu z guwernantką.. Przed oczami Caroline zaczęły pojawiać się typowe obrazki: szepcząca służba, pogardliwe uśmiešky, znaczące spojrzenia. Wysunęła się z objęć Lewisa i ciaśniej otuliła szalem. Odchrząknęła.

- Zdaje się, że znalazł pan nie tylko pokrzepienie...

Oczy Lewisa były w tej chwili bardzo ciemne. Przeczesał dłonią potarganą blond czuprynę.

- Panno Whiston, chcę...

- Niech pan nie przeprasza! - przerwała mu Caroline. Nie zniosłaby, gdyby teraz musiała wysłuchać, że to

wszystko było niewybaczalnym błędem popełnionym pod wpływem nadmiaru brandy.

- Nie miałem takiego zamiaru. - Lewis spojrzął jej prosto w oczy. - Chciałem... - urwał i potarł czoło. - Do licha, co za galimatias, wcale nie tak miało być...

Nagle Caroline przycisnęła dłoń do ust. Przypomniała sobie Lavender, opowiadającą o Lewisie i Julii splecionych w uścisku. To było jak zimny prysznic. Ogarnęła ją wściekłość. O mało nie straciła głowy dla tego człowieka, a on...

- Obejmowanie raz tej, raz innej kobiety ma jednak swoje wady - stwierdziła lodowatym tonem. - Osobiście radzę, żeby nieco powściągnął pan swoje hultajskie skłonności. Życie wyda się panu wtedy znacznie mniej skomplikowane!

Lewis stanął nieruchomo i wlepił w nią zdumione spojrzenie.

- Hultajskie skłonności? Moja droga Caroline...

- Nie dałam panu pozwolenia na zwracanie się do mnie po imieniu i nie życzę sobie, żeby traktował mnie pan jak rywalkę Julii w walce o pańskie względy! Pana to może bawić, ale ja traktuję to jako bardzo niestosowny żart.

- Niestosowny żart? Rywalka Julii? Co pani chce przez to powiedzieć? - Lewis wydawał się niczego nie rozumieć, ale Caroline jeszcze bardziej zirytowała jego dwulicowość.

- Czyżby pan zaprzeczał, że jeszcze wczoraj obdarzał względami Julię? Wygląda to na dość zmienne upodobania!

Lewis nie odrywał wzroku od twarzy Caroline.

- Ciekawe, co to ma być. Plotki służby? Stanowczo im zaprzeczam!

- Cały dom o tym wie! - Była to niewątpliwa przesada. - Dlatego doprawdy nie przystoi panu zaprzeczać.

- No cóż, panno Whiston - powiedział cicho Lewis. - Jeśli tak sobie pani życzy. - Podał jej lichtarz z biurka, podszedł do drzwi i je otworzył. Był to zupełnie jednoznaczny gest. Caroline zaryzykowała jeszcze zerknięcie na twarz kapitana, lecz niczego z niej nie wyczytała. Lewis nieznacznie skłonił się przed nią, jakby chciał przyspieszyć jej odejście, a gdy znalazła się na korytarzu, głośno zatrzasnął drzwi.

Caroline nie myślała już o napitku. Teraz chciała tylko jak najszybciej wbiec po schodach na górę i uczciwie się wyplakać. Pracując jako guwernantka, nauczyła się ignorować obraźliwe zachowanie, przykre uwagi i złośliwości, ale nie zdobyła doświadczenia w radzeniu sobie z takimi uczuciami, jakie rozbudził w niej Lewis Brabant.

Leżała bezsennie przez większą część nocy. Wściekłość powoli jej mijała i o świcie pozostało z niej już tylko otepiałe przeświadczenie, że sama po części jest winna temu, co zaszło między nią a Lewisem. To ona wędrowała nocą po domu i ona weszła do gabinetu, chociaż widziała, że jest w nim tylko Lewis. Tak zachowuje się naiwna debiutantka, a nie dwudziestoosmioletnia kobieta. Co więcej, właściwie nie stawiała oporu, gdy Lewis ją obejmował. Teraz rumieniła się ze wstydu na wspomnienie tego,

jak ochoczo odpowiadała na pocałunki, lecz jednocześnie przebiegały ją dreszcze, gdy myślała o jego dotyku. Nie było sensu się łudzić, że jest kapitanowi obojętna. Próbowała przedstawić sobie Lewisa jako człowieka pozbawionego zasad i zasługującego jedynie na pogardę, lecz serce cały czas się temu sprzeciwiało.

Wreszcie zasnęła, a następnego dnia przed południem zbudziła ją służąca, która przyniosła gorącą wodę i jedzenie na tacy. Caroline bardzo się zdziwiła, pierwszy raz w Hewly dostała bowiem śniadanie do łóżka.

- Bardzo panią przepraszam - odpowiedziała dziewczyna, zapytana o przyczynę. - Pan bardzo nalegał. Powiedział, że pani do późna towarzyszyła panience Laverder i powinna mieć czas na odpoczynek.

Caroline zdziwiła się jeszcze bardziej tym dowodem troskliwości Lewisa, oparła się o poduszki i upiła łyk czekolady. Miała przeświadczenie, że powinna unikać pana domu tego ranka, wiedziała jednak, że najprawdopodobniej jej się to nie uda. Z westchnieniem wstała i się umyła. Potem włożyła bieliznę i stanęła zamyślona przed toaletką.

Musiała przyznać, że gdy nie nosi bezkształtnego samodziąłu, ma nie najgorszą figurę. Była dość chuda, ale proporcjonalnie zbudowana, chociaż wiedziała, że jest uważana za wysoką kobietę. Towarzystwo nie ceniło słusznego wzrostu u dam, ale u guwernantki był to atut, dodający jej aurytatywności. Do guwernantek kanon mody w zasadzie się nie stosował. Co więcej, eleganckie damy czuły się zanie-

pokoione, jeśli panna w służbie była zbyt atrakcyjna, natomiast dżentelmeni stanowili dla niej duże zagrożenie.

Uważnie przyjrzała się swej twarzy. Wargi miała nieco zbyt pełne, ale za to kształtne, dające wrażenie uśmiechu. O jej zadartym nosie dziadek czule i elegancko mówił *retrousse*. Cery nie musiała się wstydzić, podobnie jak oczu, dużych, w kolorze laskowego orzecha.

W domu panowała absolutna cisza. Nie było nikogo w salonie ani w bibliotece, więc pomyślała z niechęcią, że chyba będzie musiała poszukać Julii, gdy jej uwagę przykuł hałas na podjeździe. Podeszła do okna i odsunęła ciężką draperię.

W odległości kilku jardów od okna stała na dworze Lavender, pochłonięta rozmową z Barnabą Hammondem. Barnaba najwidoczniej przywiózł kir, bo miał na rękach czarne szaliki i chustki oraz opaski żałobne, a w koszu stojącym u jego stóp - czepki, czapki, pończochy, chustki do nosa i jeszcze dużo czarnej galanterii. Ale ani Lavender, ani Barnaba nie interesowali się w tej chwili tymi towarami, lecz byli bez reszty pochłonięci sobą. Caroline cofnęła się szybko, żeby nie zauważono jej wścibstwa, ale gdy odwróciła się od okna, stanęła oko w oko z Lewisem.

Nie była na to przygotowana, więc znalazła się w trudnej sytuacji. Na domiar złego nie wiedziała, czy powinna pozwolić, by Lewis zobaczył scenę za oknem. Jeśli dla Lavender rozmowa z Barnabą Hammondem była krzepiąca, to Caroline nie widziała powodu, by się do tego wtrącać. Brat panny Brabant mógł mieć w tej sprawie inny pogląd.

Lewis szybko przerwał jej wahanie.

- Proszę się nie martwić, panno Whiston - powiedział rozbawiony. - Byłbym bardzo złym bratem, gdybym w tak trudnych dniach chciał odebrać siostrze miłą chwilę. Nie mam zamiaru im przeszkadzać.

- Och! A więc pan wiedział! - Caroline odetchnęła z ulgą. Odsunęła się od Lewisa. Miała świadomość, że znów zdradziła swoje myśli wyrazem twarzy. Skoro Lewis uznał, że jest zdenerwowana z powodu Lavender, to chyba przynajmniej swoje kłopoty udało jej się ukryć.

Jeśli nawet Lewis nadużył brandy poprzedniego wieczoru, nikt by już tego nie zauważył. W żałobnej czerni wyglądał bardzo surowo.

- Zanim pani ucieknie, panno Whiston, powinienem coś powiedzieć - oznajmił cicho. - To nie zajmie dużo czasu. Przypuszczam, że po wczorajszym wieczorze dostrzeżę pani przynajmniej kilka powodów do jak najszybszego opuszczenia Hewly. - Sprawiał takie wrażenie, jakby bardzo starannie dobierał słowa, a jednocześnie pilnował, by nie stracić z nią wzrokowego kontaktu. - Powinienem chyba przeprosić za swoje zachowanie.

- Pił pan brandy...

Lewis przykrył jej dłoń swoją, zmuszając Caroline, by na niego spojrzała.

- Nie tak wiele. Ja...

- Lewisie?

Głos Julii dobiegł zza ich pleców. Brzmiał słodko, lecz nie był wolny od nuty zdziwienia. Caroline nie słyszała, kiedy Julia weszła.

- Proszę mi wybaczyć, jeśli przeszkadzam.

Caroline usłyszała, że Lewis zmełł przekleństwo pod nosem. Raptownie puścił jej rękę i odwrócił się tak, by stanąć między nią a Julią.

- Dzień dobry, Julio. Zaraz dotrzymam ci towarzystwa.

- Proszę mi wybaczyć, już pójdę - bąknęła Caroline. Wiedziała, że policzki ma purpurowe. Nie odważyła się spojrzeć na Julię, gdy mijała ją w drodze do drzwi. Po swoim wyjściu usłyszała jeszcze figlarnie brzmiący głos:

- Lewisie, mój drogi, czy musisz być przesadnie uprzejmy dla biednej Caro? Ona zawsze żyła na odludziu, powinnaś zrozumieć, że biedaczka może się w tobie zakochać na śmierć i życie. - Jej śmiech ścigał Caroline przez całą długość schodów, zdawał się odbijać echem w korytarzu, a i potem ją prześladował, dokądkolwiek poszła.

Ku zaskoczeniu Caroline Julia nie próbowała rozmawiać z nią o scenie w bibliotece. Prawdopodobnie była tak przekonana o swojej sile i wyższości nad potencjalnymi rywalkami, że nie widziała potrzeby wspomnienia o tym. Co zaś do Lewisa, to Caroline przypuszczała, że zamierzał ją przeprosić, tłumaczyła więc sobie, że powinna być wdzięczna Julii za niedopuszczenie do powstania krępującej sytuacji. Unikała Lewisa, jak mogła, ale nie wpływało to dobrze na jej nastrój.

Kilka dni później otrzymała pocztą odpowiedź od Anne Covingham. Lady Covingham bardzo jej współczuła, że

sprawy w Hewły nie ułożyły się dobrze, i pocieszała obietnicą, że spróbuje znaleźć dla niej miejsce gdzie indziej. Przyjaciele rodziny Covinghamów właśnie wrócili z Indii. Było to młode małżeństwo z dwiema dziewczynkami zbliżającymi się do wieku, w którym jest potrzebna guwernantka. Annę obiecała ich spytać, czy już mają kogoś do dzieci. Caroline złożyła list i schowała go do szuflady, a potem, pełna nadziei, lecz zarazem dziwnie rozczarowana, poszła poszukać Julii.

Na ten dzień zaplanowano pogrzeb admirała. Julia siedziała w pokoju przy toalecie i powoli szczotkowała włosy, a Letty właśnie strzepnęła wyprasowaną przez siebie suknię z czarnej jedwabnej krepy. Julia zatrzymała wzrok na zwyczajnej czarnej sukni, którą włożyła Caroline, i skinęła głową.

- Powinnaś była się domyślić, że masz jakąś starą suknię, która nada się na tę okazję, Caroline! Mieszkałaś z tyloma nudnymi rodzinami, że chyba zawsze nosiłaś żałobę. Ale u guwernantki to nie razi. - Wstała, przeciągnęła się z wdziękiem i poczekała, aż Letty włoży jej suknię przez głowę. - Zamierzałam kupić ci nowy czarny samodiał, kiedy służba będzie dostawać stroje żałobne, ale widzę, że nie potrzebujesz - powiedziała przez ramię.

Caroline pomogła Letty zapiąć haftki na plecach sukni Julii, a jednocześnie zastanawiała się, czy Julia oczekuje podziękowania za swoją wątpliwą szczodrość.

- Czy nie zmarzniesz w tej krepie, Julio? - spytała obojętnie. - Ranek jest chłodny, a kościół nieogrzewany.

Julia wzruszyła ramionami.

- Nic mi nie będzie! Prawdę mówiąc, mam coś cieplejszego, ale jest dużo brzydsze. Włożę narzutkę i wezmę mufkę, to na pewno wystarczy!

Usiadła, żeby Letty mogła poprawić zgrabny czarny czepek z czarną woalką.

- Co za ponure rozpoczęcie nowego roku. Wszyscy dookoła mają nosy spuszczone na kwintę i w ogóle się nie odzywają. Lewis zarządził rodzinny pogrzeb, więc nawet nie będzie z kim wymienić plotek.

- Jestem przekonana, że wszystkie rodziny mieszkające w okolicy przyjdą oddać hołd zmarłemu - powiedziała sztywno Caroline.

- Och, z pewnością. - Julia tanecznym krokiem obezła pokój i uśmiechnęła się z satysfakcją, gdy usłyszała szelest krepy. - Sama wiesz, że pani Perceval ledwie zniża się do tego, żeby zauważyć moją obecność. To musi się zmienić, kiedy zostanę żoną Lewisa Brabanta, panią Hewly Manor! A ja okażę wielkoduszność i nie będę jej przypominać, jak chłodno się do mnie odnosiła.

Lewis Brabant zamknął za sobą drzwi gabinetu i oparł się o nie, wsłuchując się w ciszę. Pochówek ojca odbył się w atmosferze godnej powagi, jakiej życzył sobie admirał. Wielbny William Perceval odprawił krótkie, lecz poruszające nabożeństwo, a wielu wieśniaków przyszło oddać hołd zmarłemu. Teraz dom już opustoszał, odeszli ostatni żałobnicy, a admirał spoczywał w ziemi obok swojej żony. Świeżo usypana mogiła była otoczona połacią śniegu.

Ostatni list admirała leżał przed Lewisem na biurku. Adwokat rodziny, pan Churchward, przesłał mu go wraz z bilecikiem, w którym zawiadamiał, że ma nadzieję osobiście stawić się w Hewly Manor za kilka dni, by przedstawić postanowienia testamentu. Admirał Brabant jasno i zwięźle wyraził życzenia w sprawie pochówku. Ponieważ nie mógł mieć marynarskiego pogrzebu, polecił, by ceremonia była jak najskromniejsza i jak najmniej kosztowna. Lewis uśmiechnął się nikle, gdy ponownie czytał gęste, niezbyt wyraźne pismo. Osobowość ojca ujawniła się w tym liście bardzo wyraźnie: człowiek przeświadczony o własnej słuszności, szorstki, lecz mimo to godzien szacunku.

Odłożył list na biurko i sięgnął po butelkę brandy. Skrzywił się przy tym z niezadowoleniem, uświadomił sobie bowiem, że przez ostatni tydzień pochłonał więcej brandy, niż wypijał przez miesiąc za czasów służby w marynarce. Może właśnie dlatego tak fatalnie pokomplikował sprawy z panną Caroline Whiston. Wprawdzie doskonale wiedział, czego chce, ale jeszcze nie wymyślił, w jaki sposób najlepiej to osiągnąć, a teraz miał na głowie nowe problemy.

- Lewisie?

Odwrócił głowę i spostrzegł, że na progu pokoju stoi Julia. Korytarz był oświetlony, na tym tle w sukni z czarnej krepy wydawała się zwiewnym cieniem. Wsunęła się do pokoju i cicho zamknęła za sobą drzwi.

- Nie będę ci przeszkadzać. - Uśmiechnęła się ciepło.

- Wiem, że potrzebujesz samotności, żeby pomyśleć o ojcu. Chciałam tylko powiedzieć ci dobranoc. - Spojrzała na niego oczami pełnymi żalu. - Biedny wuj Harley. Bardzo go żałowałam, widząc, jak cierpi. Mimo że wiele nas dzieliło, głęboko go kochałam.

Lewis przetarł oczy. Nie miał szczególnej ochoty na rozmowę z Julią, rozumiał jednak, że Julia próbuje mu coś powiedzieć, więc nie chciał być niegrzeczny.

- Co masz na myśli, moja droga? Nie wiedziałem, że coś was z ojcem poróżniło. Czym mógł cię zrazić do siebie?

Przez moment się wahała, a potem machnęła ręką. Gest był pełen wdzięku, lecz świadczył też o jej zmieszaniu, które zresztą odbiło się również w tonie głosu.

- Zamierzałam ci to powiedzieć, Lewisie, ale jeszcze nie teraz... - Podeszedł do niej, lecz cofnęła się i szybko odwróciła wzrok. — Och, nie mówmy o tym! W każdym razie nie dzisiaj!

Lewis czuł, jak narasta w nim irytacja. Obiecał sobie jednak, że będzie cierpliwy, więc ujął ją za rękę.

- Julio, jeśli jest coś, co powinienem wiedzieć...

Bezskutecznie próbowała się uwolnić.

- Nieważne! Wstydzę się o tym mówić. - Przebiegł ją dreszcz. - To było bardzo dawno, no, i bez wątpienia opacznie zrozumiałam całą sytuację.

- Julio! - Lewis lekko nią potrząsnął. Teraz był już nie tylko zirytowany, lecz również zaniepokojony. Co takiego mógł zrobić ojciec, że Julię to żenuje? I dlaczego nie chce mu o tym powiedzieć?

Prawie niezauważalnie wzruszyła ramionami.

- Och, jeśli bardzo chcesz wiedzieć... - Pochyliła głowę. - Może pamiętasz, Lewisie, że kiedy wypłynąłeś w morze, byłam w tobie bezgranicznie zakochana i żyłam nadzieją poślubienia cię. - Nagle podniosła wzrok. Oczy miała przejrzyste i bardzo, bardzo niebieskie. W Lewisie obudziło się uczucie, którego wołał nie rozważać. - Mimo że utrzymaliśmy zaręczyny w tajemnicy, czułam się nimi związana tak samo, jakby... - Przygryzła wargę. - Ale to nie ma znaczenia. Aż boję się zgadywać, co musiałeś pomyśleć, gdy usłyszałeś, że zaręczyłam się z Andrew. - Z jej głosu przebijał lęk. - To było dzieło twojego ojca, Lewisie! To on pchnął mnie do małżeństwa z twoim bratem. Powiedział mi bez ogródek, że połączenie dwóch rodzinnych majątków jest sprawą najważniejszą, a ja jestem głupią gąską, jeśli wyobrażam sobie inaczej. Twój brat był tak samo zdecydowany jak on. Razem uwzięli się na mnie, a ja byłam wtedy taka młoda i samotna..

Lewis przyglądał się, jak staje przy kominku, zapatrzone na w ogień. W pierwszej chwili owładnął nim gniew, ale szybko się wypalił i pozostała tylko cyniczna akceptacja tej rewelacji. Jego ojciec był ambitnym człowiekiem, który, snując plany dotyczące dzieci, myślał i o zwiększeniu majątku, i o podniesieniu pozycji społecznej. W zasadzie nie należało się więc dziwić, że postanowił położyć rękę na pieniądzach Julii.

Julia przyglądała mu się uważnie. Zaraz potem wypro-

stowała się i obdarzyła go uśmiechem dzielnej, choć głęboko zranionej kobiety.

- Biedaku! Bardzo przepraszam, że ci to mówię w dniu pogrzebu ojca, ale chyba lepiej stawiać sprawy jasno.

Do tej pory nawet nie myślał o tym, jak bliska jest mu Julia. Któreś z nich musiało wykonać instynktowny ruch, bo nagle tuż przed jego oczami znalazła się jej twarz, lekko rozchylone zmysłowe wargi. Odetchnął wonią jej pachnidła, delikatną i bardzo miłą. Po chwili Julia powiedziała smutno:

- Obawiam się jednak, mój drogi, że najgorsze jeszcze przed tobą. Kiedy twój brat zginął, zanim zdążyliśmy się pobrać, admirał zaproponował mi, że zajmie jego miejsce.

Tym razem wstrząs był tak wielki, że Lewis odczuł go jak mocne uderzenie. Wolał nie myśleć o tym, co wyraża w tej chwili jego twarz. Julia przyglądała mu się z troską i pogłaskała go po wierzchu dłoni.

- Lewisie...

Głęboko odetchnął.

- Nie mogę uwierzyć... Chcesz powiedzieć, że kiedy plan małżeństwa z moim bratem spełzył na niczym, ojciec postanowił poślubić cię osobiście? Ale przecież... Matka umarła zaledwie kilka dni przed Andrew, na tę samą gorączkę.

Julia znów uciekła przed nim wzrokiem. Policzki jej się zarumieniły. Lewis wiedział, że nie umie ukryć swojego bólu i obrzydzenia, ale nic na to nie mógł poradzić. Wielkimi krokami przeszedł na drugi koniec pokoju, jakby chciał ostudzić gwałtowne uczucia, wyładować złą energię.

- Wielki Boże, co za brud! Jak on mógł...

Julia poszła za nim. Czuł, jak stanęła za jego plecami. Przejęty odrazą, odwrócił się i chwycił ją za ramiona. W pierwsze oskarżenie mógł uwierzyć. Ojciec rzeczywiście mógł życzyć sobie małżeństwa Julii z Andrew, żeby zatrzymać w rodzinie pieniądze. Ale drugie? Mimo wszystkich swych wad admirał był szczerze oddany szlachetnie urodzonej żonie, tak samo jak ona jemu, a poza tym był zbyt zasadniczym człowiekiem, by poślubić własną wychowankę. Bez wątpienia...

Spojrzał w głąb czystych oczu Julii. Nie znalazł tam nic oprócz lęku i wtedy powziął przerażające podejrzenie, że Julia jednak mówi prawdę. Zresztą po co miałyby kłamać? Niczego by tym nie zyskała.

- Tak mi przykro, Lewisie - szepnęła. - Chciałam ci tego oszczędzić, ale przecież musisz poznać prawdę. Właśnie dlatego poślubiłam w takim pośpiechu Jacka Chessforda. Musiałam uciec. Ale to ciebie zawsze kochałam.

Lewis wpatrywał się z bliska w jej piękną twarz. Czuł wielkie zniechęcenie, ale musiał jakoś pozbierać się po ciosie, który otrzymał. Julia nieśmiało się do niego przytuliła.

Zabłąkany podmuch poruszył listem na biurku i to wystarczyło, by na nowo obudzić wątpliwości Lewisa. Coś musiało umknąć jego uwagi, coś związanego z listami. Myśl przemknęła mu jednak przez głowę, zanim zdołał ją pochwycić. Mimo to wyraźnie zeszytniał. Julia, tuląca się do niego, otworzyła oczy.

- Lewisie? - szepnęła.

Delikatnie ją odsunął, ze zdziwieniem odkrywając nagle u siebie wielki niesmak. Przed oczami miał twarz Caroline Whiston, przypomniawszy sobie bezkompromisową szczerość jej spojrzenia, uroczy uśmiech, który wykwił czasem, gdy udało się wytrącić pannę Whiston z surowej pozy, miękkość jej warg. Cofnął się trochę, żeby na pewno nie być w sprzeczności z zasadami etykiety.

- Przepraszam cię, Julio. Jestem bardzo zmęczony.

Zobaczył smutek w jej niebieskich oczach, ale zanim zdążyła się odezwać, natarczywie zabrzączał dzwonek przy wejściu. Oboje znieruchomieli.

- Wszyscy żałobnicy już rozjechali się do domów - zaczęła zirytowana Julia. - Kto miałby o tej porze składać wizytę?

Lewis podszedł do drzwi pokoju i energicznie je otworzył.

- Marston? Co tam się dzieje, u diabła?

Frontowe drzwi były otwarte na oścież, a z powozu stojącego na podjeździe wynoszono na schodki liczne bagaże. Lewis ruszył w tamtą stronę.

- Kogo, do pioruna, tu...

- Nie jesteś na pokładzie - kpiąco przerwał mu Richard Slater. - Ładnie witasz starego przyjaciela!



ROZDZIAŁ SIÓDMY

Caroline brnęła przez kałuże na drodze z Abbot Quincey do Steep Abbot. Pierwszy zimowy śnieg topniał, ale miejscowi znawcy pogody twierdzili, że wkrótce znowu chwyci mróz. Tymczasem jednak przemiękły jej trzewiki i przemoczyła pelerynkę.

Poszła do największej wsi, a właściwie osady, wysłać listy i kupić parę drobiazgów dla Julii, a teraz śpieszyła się z powrotem, żeby zdążyć przed zmrokiem, zimą bowiem bardzo szybko robiło się ciemno. Przyjemnie było odbyć taki spacer. Lewis z Richardem Slaterem wyjechali dokądś na cały dzień, lady Perceval porwała Lavender do Perceval Hall, a Julia, zostawiona samej sobie, przejawiała wyjątkową drażliwość.

- Panno Whiston!

Właśnie minęła ostatnią chatę na obrzeżu Abbot Quincey, gdy zawołał ją pan Grizel, który wyłonił się z wnętrza tej chaty, najwidoczniej skończywszy duszpasterską wizytę. Dziarsko ruszył w jej stronę, nie przejmując się trzepoczącą sutanną. Rozpływał się w uśmiechach. Mimo swej miłosiernej natury Caroline nie mogła pozbyć się wrażeń

nia, że widzi przed sobą kruka. Zdobyła się na wymuszony uśmiech i przystanęła koło płotu ze sztachet.

Gdy pan Grizel znalazł się obok niej, był zdyszany.

- Serdecznie przepraszam za takie powitanie - wysapał, niezgrabnie się kłaniając. - Zobaczyłem panią przez okno i postanowiłem skorzystać z tej okazji. Bardzo proszę o rozmowę. - Tu musiał przerwać, bo zabrakło mu powietrza.

- Mam pewien plan, proszę pani - podjął po chwili. - Znając pani niezwykłą umiejętność zachęcania młodych ludzi do wstępowania na drogę cnoty i dobrych manier, zastanawiałem się, czy mogę pozwolić sobie na śmiałość. .. - Zgubił się w kwiecistym zdaniu. Caroline uniosła brwi i w milczeniu czekała na dalszy ciąg.

- Wiejska szkoła, panno Whiston! - Pan Grizel entuzjastycznie machnął ramionami. - Czy mógłbym liczyć na to, że znajdzie pani trochę czasu dla dzieci? Korzyści z właściwie prowadzonej edukacji dla niewyrobionych umysłów, wpływ kultury i odpowiednich pouczeń...

- Byłabym zachwycona, panie Grizel - przerwała mu Caroline, obawiając się wykładu. - Jeśli pańskim zdaniem mogę pomóc...

Pan Grizel promieniał.

- Droga panna Whiston! Wiedziałem, że mogę na pani polegać, że zechce pani nieść kaganek oświaty. Tam, gdzie panuje mrok...

- Właśnie - wtrąciła szybko Caroline, widząc szansę na ucieczkę. - Muszę już iść, szanowny panie. Zapada zmrok.

Pan Grizel wydawał się nie mieć ochoty na pożegnanie. Wyszedł na drogę i przez chwilę dotrzymywał jej kroku. Zadał kilka pytań o Hewly, wyraził współczucie z powodu odejścia admirała. Caroline odpowiadała mu ze zdawkową uprzejmością i dopiero gdy skręcała z traktu na węższą ścieżkę prowadzącą do majątku, odwróciła się i wyciągnęła do duchownego rękę.

- Tu musimy się rozstać, sir. Do widzenia.

Bardzo się zdziwiła, gdy jej dłoń pozostała w stalowym uścisku.

- Panno Whiston! - Grdyka pana Grizela nerwowo zapulsowała. - Moja droga panno Whiston! Zamierzałem poczekać z tym nieco dłużej, ale pani wspaniałomyślna zgoda na mój plan dała mi nadzieję. Wiem, że jest pani pomocnikiem, jakiego potrzebuję. Proszę pozwolić, że powiem, jak gorąco panią podziwiam!

Caroline próbowała się uwolnić, ale pan Grizel był silniejszy, niż się zdawało, i trzymał jej rękę z wyjątkową determinacją. Co gorsza, nagle przykląkł przed nią na ścieżce.

- Bądź moja, wspaniała Caroline! Czy mogę pozwolić sobie na wielką śmiałość i tak panią nazywać? Zostań moją żoną i uczyni mnie najszcześniejszym z ludzi! Powiedz tylko słowo.

- Obawiam się, sir, że to słowo brzmi „nie” - zaczęła Caroline. Tego nie spodziewała się w najstraszniejszych snach. Sytuacja była komiczna, lecz zarazem smutna. Jeszcze raz próbowała się uwolnić. - To dla mnie zaszczyt, ale niestety muszę odmówić.

- Dlaczego? - jęknął ze zgrozą pan Grizel. - Z pewnością proponuję pani poprawę bytu. Nie jestem bez środków.

- Bardzo proszę, niech pan więcej nie mówi. - Caroline chciała oszczędzić im obojgu upokarzającej sytuacji. - Nie pasowalibyśmy do siebie. I proszę wstać. Kłęczy pan w kałuży, a ktoś się zbliża.

- Czas! - Pan Grizel z miną pełną nadziei nalegał, okrywając wierzch dłoni Caroline mokrymi od śliny pocałunkami. - Wszystkie damy potrzebują czasu do rozważenia propozycji małżeństwa. Mogę...

- Niech pan przestanie, proszę - powiedziała stanowczo. Nie liczyła już na to, że uda jej się uniknąć urażenia uczuć pana Grizela. Był doprawdy irytująco natrętny, więc nawet zasłużył sobie na ostrą odprawę. Szarpnęła ręką, ale pan Grizel pociągnął w swoją stronę. Wprawdzie poślizgnęła się na wilgotnej trawie, udało jej się jednak wreszcie wyrwać z uścisku. W tej samej chwili na ścieżce dał się słyszeć tętent kopyt. Jeździec głośno zaklął i w niewielkiej odległości minął rozciągniętego na ziemi wielebnego.

Pan Grizel chciał wstać, ale zanim zdążył się pozbierać, jeździec już zeskoczył z siodła i poderwał go z ziemi. Pastor nie był ułomkiem, ale gdy bezwładnie zwisał w uścisku Lewisa Brabanta, wydawał się szmacianą laleczką. Lewis puścił go tak samo nagle, jak chwycił, a pan Grizel zatoczył się na mur i bezsilnie oparł się o niego plecami. Caroline wreszcie odzyskała głos.

- Kapitanie Brabant! Nie może pan traktować osoby duchownej w taki sposób.

Wyglądało jednak na to, że Lewis nie odczuwa braterskiej miłości w stosunku do pana Grizela. W ogóle nie zwrócił uwagi na słowa Caroline, podszedł bowiem do kułającego się wielebnego z bardzo groźną miną.

- Co pan sobie wyobraża, poniewierając pannę Whiston w tak oburzający sposób? Spodziewałbym się więcej opanowania u człowieka pańskiego stanu. Poza tym dawanie upustu miłosnym zapędom o zmierzchu pośrodku drogi jest i niedorzeczne, i żałosne.

- Kapitanie Brabant! Jak pan śmie! - krzyknęła Caroline. Rozwścieczył ją tą cyniczną uwagą o miłosnych zapędach, bo poczuła się jak dziewczka z tawerny. Podeszła do duchownego. - To pan powinien przeprosić - zwróciła się do Lewisa. - Pan Grizel został przez pana potraktowany jak przestępca.

- Pan Grizel ucierpiałby znacznie bardziej, gdybym w porę nie powściągnął konia! - odparł chłodno Lewis i pierwszy raz spojrział prosto na Caroline. - Następnym razem, kiedy postanowi pani zachęcać kandydata do oświadczyn, proszę wybrać bezpieczniejsze miejsce, bo inaczej natychmiast po zaręczynach może pani znaleźć się w drodze do nieba. - Cofnął się i kpiąco skłonił przed Caroline. - Proszę mi tylko powiedzieć, czy mam życzyć pani szczęścia.

Caroline przeszła go niechętnym spojrzeniem. Całkowicie zapomniała o pastarze, który wciąż próbował wcisnąć się w mur.

- Nie! - odburknęła. - A poza tym załatwiłabym tę

sprawę bez pańskiej interwencji. Życzę sobie, żeby pan się stąd zabrał!

- Nie mam zamiaru zostawić pani na łasce tego nadgorliwego adoratora - odparł z pogardą Lewis, paraliżując spojrzeniem pana Grizela. - Odwiozę panią do samego Hewly, panno Whiston.

- To śmieszne! - Caroline była już tak samo poirytowana jak Lewis. - Nie ma najmniejszej potrzeby! Pan Grizel pójdzie swoją drogą do domu, a ja wrócę skrótem przez pola i jeszcze zdążę przed zmrokiem.

- Póki mieszka pani pod moim dachem, jestem za panią odpowiedzialny. Bardzo proszę mi się nie sprzeciwiać. Sługa uniżony, Grizel.

Zanim Caroline zdążyła zorientować się w zamierzeniach Lewisa, wrzucił ją na koński grzbiet i usiadł za nią w siodle. Zrobił to tak szybko, że oprzytomniała dopiero wtedy, gdy trzymał już wodze i skierował Nelsona ku domowi.

- Proszę natychmiast postawić mnie na ziemi - zaczęła, ale Lewis skwitował jej żądanie śmiechem.

- Co, woli pani iść piechotą w takie zimno, niż spędzić trochę czasu w moim towarzystwie? - szepnął jej do ucha.

- Myślałem, że może wrócimy do rozmowy o planach matrymonialnych.

Caroline odkryła nagle, że nie mogłaby nic powiedzieć, nawet gdyby chciała. Lewis otaczał ją ramionami i bardzo ostrożnie przyciskał do siebie, a oddechem trącał kosmyki jej włosów. Poza tym owinał ją swoją peleryną, więc

miękkie fałdy pachnącej nim tkaniny muskały jej skórę. Słowa uwięzły jej w gardle, złość z niej uleciała.

- Jestem zaskoczony, że odrzuciła pani biednego Grizela - powiedział po chwili Lewis. - On jest z tych Grizelów z hrabstwa Oxford i ma całkiem wysokie notowania jako kandydat na męża. Poza tym byłby to sposób na przekroczenie doskwierających pani ograniczeń, może więc po dogłębnym rozważeniu problemu zmieni pani zdanie.

- Nie sędzę, sir! - odparła Caroline, w której złość wezbrała na nowo. - Naturalnie w ogóle nie jest to pańska sprawa, ale powiem, że za nic nie zawarłabym małżeństwa z wyrachowania tylko po to, by zmienić swoją sytuację! - Oburzona, próbowała się od niego odsunąć. - Ładną opinię musi pan o mnie mieć.

- Proszę się nie kręcić - pouczył ją cicho i mocniej objął, gdyż Caroline zaczęła się zsuwać z końskiego grzbietu. - I proszę mi nie straszyć Nelsona. On ma bardzo płochliwą naturę.

- Nedorzecznosc! - odparła. - Jestem pewna, że to biedne stworzenie jest równie niewrażliwe jak pan!

Poczuła, że Lewis się trzęsie. Zaraz potem rozległ się jego śmiech, który w ciemności zabrzmiał bardzo ciepło i niepokojąco intymnie.

- Jak to możliwe, że tak wrażliwa na dotyk panna ma jednocześnie język ostry jak igła do szycia worków? - spytał po chwili

- Niech pan natychmiast przestanie i postawi mnie na

ziemi! - wściekle wysyczała Caroline, gdyż słowa Lewisa obudziły u niej wspomnienia, które postanowiła raz na zawsze wymazać z pamięci. - Nie muszę przejmować się tym, co pan mówi.

- Wręcz przeciwnie, musi pani. - Głos Lewisa wciąż był niewiele głośniejszy od szeptu. - Wpadłaś w sidła, prawda, Caroline? To zupełnie nowe doświadczenie dla tak samodzielnej panny. Droga Caro. - Przez chwilę upajał się tymi słowami tak, jak już raz mu się zdarzyło. - Spokojnie. Prowadzimy taką oświeconą rozmowę. Nie zawarłabyś małżeństwa z wyrachowania, a ja się bardzo z tego cieszę.

- To nie pańska sprawa, kapitanie - powiedziała Caroline. Starła się, żeby zabrzmiało to chłodno, chociaż całe jej ciało dosłownie płonęło. - A pańskie maniery pozostawiają ..

- Wiem. - Rękaw okrycia Lewisa musnął ją po twarzy. Przygryzła wargę. W zapadającej ciemności, siedząc tak blisko niego, czuła się prawie całkiem bezbronna. - Już o tym rozmawialiśmy. Za długo pływałem po morzach i nie mam pojęcia, co z sobą...

- Niedorzeczność! - znów zaperzyła się Caroline. - Doskonale pan wie, jak należy się zachowywać, po prostu woli pan lekceważyć maniery. To wstyd!

- Moja droga panno Whiston. - Lewis pochylił głowę i musnął wargami kącik jej ust. Były chłodne. - Czuję się w tej chwili całkiem tak jak jeden z pani niegrzecznych wychowanków. - Nagle zmienił ton głosu. - No, może nie całkiem.

Caroline odetchnęła z ulgą, gdy zobaczyła rozświetlone okna Hewly Manor. Odwróciła głowę, żeby jak najlepiej ukryć oznaki zdradzieckiej słabości, która ją ogarnęła. Gdy zatrzymali się przed stajniami, musiała poczekać, aż Lewis zeskoczy z konia i pomoże jej zsiąść, wiedziała bowiem, że inaczej ugięłyby się pod nią kolana. Wyrwała się z jego objęć i z dumnie podniesioną głową odeszła w stronę domu. Lewis dogonił ją, gdy przecinała zwirowy podjazd. Chyba nawet coś półgłosem powiedział, być może jej imię, lecz w tej samej chwili z trzaskiem otworzyły się drzwi i na progu stanęła Julia. Nie ulegało wątpliwości, że jest bliska furii.

- Caroline! Gdzie byłaś? Czekam od dwóch godzin, żebyś pomogła mi napisać list. - Przesunęła wzrok z zaczerwienionej twarzy Caroline na beznamytną twarz Lewisa i na chwilę się zamyśliła. Na szczęście kłopotliwe milczenie przerwało pojawienie się Richarda Slatera, który wyszedł z biblioteki. Wydawał się absolutnie nieświadomy napiętej atmosfery.

- O, Lewis! Czy dobrze ci się jechało z powrotem?

- Dobrze, choć z przygodami - odrzekł obojętnie Lewis. - Czy masz ochotę na szklaneczkę przed kolacją, Richardzie? Co do mnie, chętnie się napiję. - Skłonił się przed Caroline i Julią. - Bardzo panie przepraszamy.

- No, ładnie! - powiedziała Julia, gdy panowie znikli w gabinecie. Wydawała się niezdecydowana, czy chce wyładować złość na Caroline, czy na Lewisie. - Dobrali się dżentelmeni jak w korcu maku. - Odwróciła się rap-

townie ku Caroline. - A ty czemu robisz taką skruszoną minę? Wyglądasz tak, jakby ktoś złapał cię na całowaniu się z kawalerem w krzakach.

Caroline uznała, że tego za wiele.

- Och, kapitan Brabant zmył mi głowę za zachęcanie pana Grizela do umizgów. - Bezwstydnie posłużyła się półprawdą. - Mieliśmy bardzo krępujący powrót.

Julia klasnęła w dłonie, dobry nastrój natychmiast jej wrócił.

- Pan Grizel ci się oświadczył! Wiedziałam, że tak będzie! Czy przyjęłaś jego oświadczyny?

- Co to, to nie! - odrzekła z godnością Caroline.

- I pewnie dlatego Lewis był taki poirytowany - skostatowała Julia z satysfakcją. - Doprawdy, Caro, ty nie masz pojęcia o życiu! Tylko dla zwykłego kaprysu odrzucić takiego kandydata do ręki! Daj spokój! Pan Grizel ma prywatny dochód w wysokości dziesięciu tysięcy funtów rocznie!

- Przepraszam za wczorajszy wieczór, przyjacielu - powiedział kapitan Slater, gdy po kolacji usiedli z Lewi- sem przy kieliszku porto. - Jak już powiedziałem rano, wcale nie zamierzałem nachodzić cię w dniu pogrzebu. Niestety, ostatnie kilka dni spędziłem w Bath, widocznie więc list tymczasem mnie minął. Gdybym wiedział o śmierci twojego ojca, z pewnością bym nie przyjechał.

Lewis przerwał mu gestem wyrażającym zniecierpliwienie.

- Nie musisz przeproszać, Richardzie, zapewniam cię. Co więcej, bardzo się cieszę, że cię widzę. Przez ostatnie parę tygodni męczyłem się tu jak potępieniec, więc urozmaicenie towarzystwa jest jak najbardziej wskazane.

Richard uśmiechnął się od ucha do ucha.

- No, skoro tak stawiasz sprawę. Prawdę mówiąc, cały dzień czekałem, aż opowiesz mi coś o damskich rządach w Hewly. Jadąc tutaj, wcale nie byłem pewien, czy zastanę cię na miejscu, czy może po cichu wyfrunąłeś do Londynu z piękną panią Chessford.

- Nie wiem, czy po tej uwadze nie powinienem przywołać cię do porządku, Richardzie.

- Och, potrafię być bardziej dokuczliwy - odrzekł radośnie kapitan Slater, wzruszając ramionami. - Fanny powierzyła mi zadanie specjalne: odkryć, czy jesteś zaręczony z panią Chessford. Rozplotkowane damy w Lyme przyjmowałyby na to wysokie zakłady, gdyby paranie się hazardem nie było niestosowne.

Lewis wydał się zdziwiony.

- Jak to możliwe, że moje sprawy wzbudzają tyle zainteresowania?

Richard machnął ręką.

- Majątek, stary przyjacielu! Włości! Samotny dżentelmen potrzebujący żony i tak dalej.

- Jak wobec tego wytłumaczyć, że udało ci się uniknąć ich zakusów?

Kapitan Slater zrobił tak uduchowioną minę, jak tylko pozwalała mu na to jowialna twarz.

- Niestety, mam złamane serce i wciąż jestem niepokieszony.

- Akurat ci uwierzę. - Lewisa wyraźnie to rozbawiło.
- Pierwsze słyszę. Poza tym z pewnością istnieje jakaś panna, która zamierza cię wyleczyć z przygnębienia, abyś znowu zaznał szczęścia.

Richard się skrzywił.

- Co za koszmarny pomysł! Przypomnij mi, żebyśmy wymyślił nową strategię, zanim ktoś znajdzie słaby punkt w dotychczasowej. Zresztą... - przyjaciel spojrział kątem oka na Lewisa - może nie będę miał złamanego serca do końca życia.

Lewis wstał, by ponownie napełnić kieliszek.

- Nie jesteś chyba na tyle pozbawiony oryginalności, żeby ulec urokom pani Chessford?

- Na pewno nie wbrew tobie, stary przyjacielu! Nie. Osobiście wolałbym się dokładniej przyjrzeć pannie Whiston. Ona mnie fascynuje.

Lewis znieruchomiał z karafką w dłoni.

- Słucham?

- Panna Whiston! - Richard Slater miał bardzo wesołą minę, gdy mierzył przyjaciela wzrokiem. - O ile dobrze sobie przypominam, nazwałeś ją kiedyś Piętaszkiem w żeńskim wydaniu.

- Nie sądzę.

- Och, na pewno. Ale odkąd ją poznałem...

- Pośpieszyłeś się, przyjacielu.

- Zawsze byłem znany z szybkości, jeśli sobie przy-

pominasz! W każdym razie odkąd ją poznałem, jestem przekonany, że ten opis w najmniejszym stopniu nie odpowiada prawdzie. Wczoraj wieczorem wyglądała moim zdaniem jak Junona, a do tego czytuje różne filozoficzne książki.

Lewis głośno odstawił karafkę na biurko.

- Junona? Kiedyś ty widział takie bóstwo?

- Wczoraj wieczorem, już powiedziałem. Wychodziła z biblioteki. Natychmiast jej się przedstawiłem. - Richard uśmiechnął się na wspomnienie tej chwili. - Miała pod pachą tomik Sofoklesa, a w rozpuszczonych włosach odbijał się blask ognia... - urwał, zauważywszy wojowniczą minę przyjaciela. - Bardzo przepraszam, Lewis. A więc to tak sprawy stoją!

Zapadło milczenie, przerywane tylko trzaskami polan. Wreszcie Lewis podniósł głowę i popatrzył na Richarda.

- Podejrzewam, że powiedziałaś to wszystko celowo. Richard radośnie wyszczerzył zęby.

- Ani trochę. Naprawdę byłbym szczęśliwy, gdyby zechciała spojrzeć na mnie łaskawym okiem.

- Zapomnij o tym. - Lewis znowu Spochmurniał. - Mam pewne plany.

Richard uniósł ramię na znak poddania.

- Wszystko rozumiem. Nie musisz mnie od razu wyzywać. A czy pamiętasz Charlesa Drew? Służył z tobą na „Neptunie” pod Freemantle'em. W zeszłym tygodniu akurat zawinął do portu i wpadł mnie odwiedzić.

Lewis usiadł i pozwolił się wciągnąć we wspomnienia, ale nie pochłoneły go one całkowicie. Rozmowa z Richardem kazała mu przemyśleć jeszcze raz wydarzenia poprzedniego wieczoru, choć skupił uwagę bardziej na Julii niż na Caroline. Coś w opowiadaniu Julii o jego ojcu brzmiało fałszywie, ale wtedy nie był w stanie określić co. Teraz sobie przypomniał. Julia twierdziła, że admirał chciał ją zmusić do małżeństwa, więc ucieczka z Jackiem Chessfordem była dla niej koniecznością. Ale w liście, który Caroline przez pomyłkę zostawiła w książce, Julia wspominała o swoim małżeństwie i przedstawiała wydarzenia całkiem inaczej.

Szkoda, że nie przeczytał całego listu. A gdyby mógł jeszcze przeczytać inne... Lewis wyobraził sobie reakcję Caroline na prośbę o pożyczanie pakieciku i mimo woli się uśmiechnął. Ale by mu wygarnęła od serca! Musiał jednak dowiedzieć się, jak było w rzeczywistości, bo jeśli Julia powiedziała prawdę, przeżyłby wyjątkowo bolesny zawód, natomiast jeśli kłamała...

Pomyślał o Caroline i o wdzięku ukrytym za maską surowości. Co powiedział Richard? „W jej rozpuszczonych włosach odbijał się blask ognia...” Lewis niespokojnie się poruszył. Raz po raz nawiedzały go urzekające wyobrażenia tej leśnej zjawy, którą poznał w dniu powrotu do domu. Nawet gdyby próbował temu zaprzeczać, Caroline Whiston była wyjątkowo intrygującą zagadką.

Popołudnie upływało Caroline nadzwyczaj spokojnie. Wcześniej Julia, tknięta nagłą chęcią, pojechała do Nort-

hampton po jakieś rzeczy, których nie można kupić w Abbot Quincey. Czy miało to coś wspólnego z zamiarem odwiedzenia miasta przez Richarda Slatera, Caroline nie była pewna, w każdym razie kapitan oznajmił, że z najwyższą przyjemnością będzie Julii towarzyszył. Być może Julia uknuła intrygę, chcąc wzbudzić zazdrość Lewisa. Trudno byłoby bowiem uwierzyć, że po prostu zrezygnowała z Lewisa na rzecz kapitana Slatera, który miał stosunkowo niewielki majątek i był zdecydowanie mniej przystojny.

Caroline szybko polubiła kapitana Slatera. Był z natury praktycznym i pogodnym człowiekiem, a ją traktował z taką samą galanterią jak Lavender i Julię. Czasem gdy z nią rozmawiał, łapała go na spojrzeniu pełnym nieukrywanego podziwu, nie wprawiało jej to jednak w takie zakłopotanie, jak przenikliwy wzrok Lewisa. Mimo wszystko miała nadzieję, że Richard Slater nie da się zwieść pochlebstwami Julii i nie padnie jej ofiarą. Ta myśl wydała jej się komiczna. Ilu jeszcze wilków morskich Jego Królewskiej Mości będzie potrzebowało ochrony przed sztuczkami pani Chessford?

Minęło ledwie pół godziny, odkąd zamknęły się drzwi za Julią, gdy w odwiedziny do Lavender zjechały lady Perceval z córką i hrabina Yardley. Caroline wiedziała, że tylko czysty przypadek mógł je sprowadzić do Hewly akurat wtedy, gdy Julii nie ma, uznała jednak, że jej była przyjaciółka oszaleje ze złości, gdy o tym usłyszy.

Jak na styczeń było wyjątkowo ciepło, prawie wiosen-

nie, więc Caroline postanowiła iść na przechadzkę nad rzekę Little Steep. Przełazem dostała się na drugą stronę żywopłotu, rozkoszując się wąłym słońcem. Żałobny strój nie bardzo nadawał się do spacerów, więc w końcu zsunęła z głowy czepek, tak że zawisł na troczkach. Natychmiast poczuła się jak pensjonarka na wagarach.

Ścieżka wiała się tak samo jak rzeka, która w tym miejscu była wąska, lecz głęboka. Wody płynęły wartko, brunatne po niedawnej odwilży. Caroline obeszła zakręt rzeki, osłonięty kępą wierzb, i stanęła jak wryta. Na brzegu, oparty o pień drzewa, siedział Lewis Brabant, pochłonięty łowieniem ryb. W skupieniu zakładał przynętę na haczyk.

Przez chwilę przyglądała mu się niezauważona. Podobnie jak pierwszego wieczoru pobytu Lewisa w Hewly, natychmiast rzuciło jej się w oczy, jak bardzo odprężony wydaje się na świeżym powietrzu. W murach domu sprawiał takie wrażenie, jakby część jego ja uwięziono, poddano surowym ograniczeniom. Naturalnie nie można byłoby powiedzieć, że w salonach kapitan Brabant nie prezentuje się elegancko, zachowywał bowiem swobodę, która pomagała mu wybrnąć z każdej sytuacji. Ale najlepiej musiał czuć się wtedy, gdy nie krępują go cztery ściany - Caroline była o tym przekonana.

Wstał i energicznym ruchem nadgarstka zarzucił przynętę, po czym usiadł na poprzednim miejscu. Powiew zmierzwił mu jasną czuprynę. Zauroczona tym Caroline

niechcący się poruszyła, Lewis podniósł wzrok i wtedy ją zobaczył.

- O, panna Whiston! Dzień dobry! Czy przyłączy się pani?

- Proszę nie wstawać! - powstrzymała go Caroline. - Przecież dopiero co zarzucił pan wędkę!

Lewis znów oparł się o pień.

- Zdaje się, że jestem obserwowany - powiedział, wędrując skupionym wzrokiem po jej twarzy. - Jak długo już tu pani stoi?

- Och, zaledwie chwilę - odrzekła. - Myślałam, że jest pan w domu i bawi gości.

- Scedowałem pełnienie honorów pani domu na Lavender - wyjaśnił. - Prawdę mówiąc, panno Whiston, salonowe konwersacje mało mnie obchodzą. Chwilę porozmawiałem, żeby dostojni goście nie poczuli się zlekceważeni, a potem przeprosiłem ich i poszedłem. Z ogrodów Hewly prowadzi skrót przez nadrzeczne łąki, mogłem więc szybko dojść tu z wędką.

- A ja panu przeszkodziłam - zauważyła Caroline i chciała odejść. - O ile wiem, ryby nie znoszą gadatliwych ludzi na brzegu całkiem tak samo, jak pan nie lubi salonów.

- Proszę zostać. - Lewis gestem zaprosił ją na pled, rozpostarty obok niego na ziemi. - Nie musi pani ze mną rozmawiać. Przyjemnie jest po prostu popatrzeć w nurt rzeki.

Po chwili wahania Caroline usiadła w cieniu rosochatej

wierzby. Dzień był cichy. W oddali majaczył dach opactwa, przez chwilę zastanawiała się więc, co teraz będzie robił markiz, skoro został sam ze swoim tytułem. O ucieczce jego żony plotkowano w okolicznych wsiach już od miesięcy. Krążyły różne nieprawdopodobne historie. Jedni twierdzili, że markiza nie mieszka tam już od dawna, tylko nikt tego nie zauważył, inni, jeszcze bardziej podatni na sensacje, posuwali się do przypuszczenia, że markiz żonę zamordował. Caroline westchnęła. Jej własne kłopoty wydawały się doprawdy bagatelne w zestawieniu z problemami, jakim musiała stawić czoła biedna żona markiza. Samotne życie jest trudne, Caroline wiedziała o tym z własnego doświadczenia.

Na płyciźnie przy drugim brzegu rzeki stała nieruchomo czapla, a dalej spokojnie pasło się stadko kudłatych owiec. Lewis przeciagnał się i oparł wędkę o pobliski głąz.

- Czasem miło jest pomilczeć i pomyśleć, prawda, panno Whiston?

- Rzadko można sobie pozwolić na taki luksus - przyznała, nieznacznie się uśmiechając.

- Nie wszyscy potrafią milczeć - stwierdził z powagą Lewis i przez chwilę Caroline zastanawiała się, czy nie chodziło mu o Julię. Odwróciła twarz, czując na skórze miłe ciepło słońca.

Lewis wziął do ręki kamień i puścił kaczkę.

- Panno Whiston, czy mogę o coś spytać? - zawahał się. - Czy Julia kiedykolwiek rozmawiała z panią o swoim małżeństwie?

Pytanie było dostatecznie zaskakujące, by Caroline na niego spojrzała. Wzrok miał utkwiony daleko przed sobą, a z jego miny niczego nie można było wyczytać. Caroline odniosła wrażenie, że dzień nieco stracił ze swego uroku.

- Trochę do mnie o tym pisała - odparła ostrożnie. - A dlaczego pan pyta?

Lewis znowu wziął do ręki wędkę.

- Ciekaw jestem, czy była szczęśliwa.

Caroline przygryzła wargę. Towarzystwo Lewisa przestało ją cieszyć, wyglądało bowiem na to, że zatrzymał ją tylko po to, by porozmawiać o Julii. A ona naiwnie wyobraziła sobie Bóg wie co.

- Musi pan zapytać o to panią Chessford - powiedziała, starając się, by nie zabrzmiało to zgryźliwie. - Naprawdę nie mam pojęcia. Sądzę, że lubiła życie w Londynie i że Jack Chessford był zajmującym mężem, ale...

- Zajmującym, powiada pani? A co powinno cechować zajmującego męża, panno Whiston?

Caroline zacisnęła usta. Oto kolejne z dziwacznych pytań Lewisa, godnych Don Kichota. Bardzo żałowała tego, co powiedziała przed chwilą.

- Nigdy nie miałam potrzeby się nad tym zastanawiać, sir. - Zabrzmiało to dość ostro, ale tym razem zgodnie z jej intencją.

Lewis nagle się do niej uśmiechnął i Caroline poczuła gwałtowny skurcz serca.

- Naprawdę? - spytał. - No cóż. - Nieco się przesu-

nał. - Proszę mi powiedzieć, czy zachowała pani wszystkie listy Julii z czasów waszej znajomości?

Caroline wlepiła w niego oczy. Zupełnie nie mogła odgadnąć toku jego myśli.

- Chyba tak. Wciąż jednak zastanawia mnie, po co pan o to pyta.

Lewis znów zmienił pozycję, jakby wprawiła go w zakłopotanie.

- Proszę mi wybaczyć, panno Whiston. To indagowanie musi wydawać się pani dziwne. Rozumiem, ale mam powód. Ciekaw jestem, czy Julia kiedykolwiek dała pani odczuć, że nie czuje się w Hewly szczęśliwa albo bezpieczna?

Caroline szeroko otworzyła oczy. Najwyraźniej to przesłuchanie miało również inny cel niż tylko zdobycie jak największej liczby informacji o przeszłości kochanej kobiety, ale jego powodu nie umiała dociec.

- W jej listach nigdy nic takiego nie znalazłam - odrzekła. - Jeszcze raz muszę panu stanowczo poradzić, aby zwrócił się pan bezpośrednio do pani Chessford.

Lewis oderwał wzrok od punktu w oddali i spojrzał jej prosto w twarz. Znów się do niej uśmiechnął.

- Naturalnie ma pani całkowitą rację, panno Whiston. Nie powinienem był występować z takim pytaniem. Proszę mi wybaczyć natręctwo.

Caroline zbyła te słowa skinieniem ręki. Już zupełnie nie wiedziała, o co chodzi.

- Nic się nie stało.

Lewis wstał i zwinął żyłkę na kołowrotek.

- Ryby nie chcą dzisiaj brać. Obawiam się, że nurt jest zbyt szybki. - Znów zerknął na Caroline. - Czy wróci pani ze mną do domu, czy woli zostać tutaj i rozkoszować się samotnością?

Caroline wstała i otrzepała spódnicę.

- Wrócę. Zbliża się zmierzch.

- Chyba się ochłodzi - zauważył Lewis, oderwawszy wzrok od srebrnego rogala, który pojawił się nad horyzontem, i wskazał mgły kłębiące się nad nadrzeczными łąkami. - Nie zdziwiłbym się, gdyby jutro lub pojutrze spadł śnieg. - Wziął wędkę i zrównał się z Caroline.

Ścieżka oddalała się od krętej rzeki i przecinała łąkę, dalej szła skrajem lasu aż do zniszczonego muru, będącego granicą włości Hewly. Po zejściu słońca powietrze nabrało mroźnej rzeźkości. Caroline wyraźnie to czuła, gdy zbliżali się do domu.

- Będziemy dziś na kolacji tylko we dwoje, panno Whiston - powiedział nagle Lewis, gdy mijali stare jabłonie. - Julia postanowiła zanocować u Mountfordów w Northampton, bo chciała wziąć udział w koncercie, a potem w jakimś wieczorze. Richard - dodał z kpiącą miną - naturalnie zostaje tam również, żeby jutro towarzyszyć jej w drodze powrotnej.

Caroline zerknęła ukradkiem na jego twarz. Nie potrafiła zgadnąć, czy denerwuje go to, że Julia natychmiast zaczęła oplatać siecią intryg kapitana Slatera. Tymczasem jednak zapadł zmierzch, więc twarz Lewisa nie była wyraźnie widoczna.

- A panna Brabant? - spytała z wahaniem. - Czy nie zje z nami kolacji?

Lewis uśmiechnął się szeroko.

- Lady Perceval bardzo chciała zabrać Lavender do siebie. Och, wiem, że od śmierci ojca upłynęło zaledwie kilka dni, ale pomyślałem, że zmiana otoczenia dobrze Lavender zrobi. Kiedy wychodziłem z domu - wskazał swój wędkarski ekwipunek - zamierzała napisać do pani liścik. Ma nadzieję, że odwiedzi ją pani w Perceval Hall, panno Whiston, nie chciałaby bowiem stracić miłego towarzystwa.

Caroline milczała, targana mieszanymi uczuciami. Julia i Richard Slater nieobecni, Lavender w Perceval Hall. Przypomniała sobie powrót z Abbot Quincey i przesyłał ją dreszcz. Nie wydawało się rozsądne przystać na towarzystwo Lewisa.

- Czyli będziemy całkiem sami, panno Whiston - rzekł cicho Lewis, z galanterią otwierając przed nią ogrodową furtkę. - Nawet nie umiem pani powiedzieć, jak bardzo mnie to cieszy!

ROZDZIAŁ ÓSMY

- Bardzo przepraszam. - Dość przestraszona drobna dziewczyna, służąca w Hewly Manor stanęła na progu. - Pan kazał mi powtórzyć, że czeka na panią, bo chciałby zjeść kolację.

Caroline energicznie zamknęła książkę. Od czasu wcześniejszego spotkania z Lewisem poddawała się najróżniejszym uczuciom, żadne z nich jednak nie było przyjemne. Długo deliberowała nad pytaniami Lewisa o Julię i jej listy, równie długo myślała z niepokojem o ich wspólnym posiłku. W końcu przesłała mu bilecik z wiadomością, że nie zejdzie na dół i zje w swoim pokoju. Wyglądało jednak na to, że Lewis nie zamierzał pogodzić się z tą decyzją.

- Proszę powiedzieć kapitanowi Brabantowi, że nie przyjdę - odparła zdecydowanie. - Zawiadomiłam go o tym wcześniej.

Służąca wzniosła oczy ku niebu, coraz bardziej przestraszona.

- Bardzo przepraszam, ale pan kapitan kazał mi powtórzyć, że... - przełknęła ślinę - że jeśli pani nie zejdzie, to on przyjdzie na górę.

Caroline plasnęła książką o łóżko i wstała.

- No więc dobrze, Rosie. Już schodzę. Nie rób takiej zmartwionej miny, dziecko... przecież to nie twoja wina!

- Nie, proszę pani. Dziękuję pani. - Służąca z wdziękiem dygnęła i uciekła z pokoju.

Caroline zarzuciła na ramiona czarną jedwabną chustę i pośpieszyła na dół, bardzo uważając, żeby nie wygasły w niej tymczasem złość i oburzenie. Przez sień przemknęła jak burza. Jednak już u wejścia do jadalni, gdy błady lokaj otworzył przed nią drzwi, zawahała się, a kiedy ujrzała Lewisa Brabanta, stojącego przy oknie i wpatrującego się w spowity mrokiem ogród, była bliska kapitulacji. Tymczasem Lewis odwrócił się i wykonał ukłon.

- Dobry wieczór, panno Whiston! Dziękuję, że zechciała mi pani towarzyszyć.

- Czy nakazywanie służbie, aby powtarzała impertynencje, jest pańską stałą metodą? - spytała lodowatym tonem. - Przecież powiadomiłam pana bilecikiem, że nie zamierzam jeść kolacji.

- Nic podobnego - uprzejmie przerwał jej Lewis. - Powiadomiła mnie pani, że nie chce jeść kolacji w moim towarzystwie, a to jest różnica!

Obszedł stół i odsunął dla niej krzesło. Usiadła, obrzucając go niechętnym spojrzeniem.

- Jeśli mamy mówić wszystko bez ogródek, to rzeczywiście wolałabym zjeść kolację sama, sir.

- Dziękuję za to wyjaśnienie. Może jeszcze zechce pani podać przyczynę.

Caroline stoczyła krótką walkę z sobą.

- Bo to jest niestosowne!

- Niestosowne - powtórzył. - Proszę mi powiedzieć, panno Whiston, czy to jest jedno z pani ulubionych słów?

Caroline zignorowała przytyk.

- Niestosowne jest, żebyśmy jedli kolację we dwoje podczas nieobecności pańskiej siostry i pani Chessford...

Musiała przerwać, ponieważ drzwi się otworzyły i wszedł lokaj, niosąc supel. Gdy oboje zostali obsłużeni, a lokaj stanął na swoim zwykłym miejscu przy kredensie, kapitan dał mu znak, żeby opuścił pokój. Caroline zamarła. Wprawdzie Lewis wysłuchał tego, co miała mu do powiedzenia, ale postanowił zupełnie nie liczyć się z jej uczuciami. Ten przykład lekceważenia zasad dobrego wychowania na pewno stanie się przedmiotem licznych plotek wśród służby.

W milczeniu zajęła się jedzeniem. Skoro jej odmowy i sprzeciwu nie odniosły skutku, był to dla niej jedyny sposób okazania dezaprobaty. Lewis jednak chyba się tym nie przejął, wciąż miał bowiem na twarzy figlarny uśmiešek.

- Prawdę mówiąc, nie wydaje mi się, żebyśmy bezwzględnie łamali zasady przyjęte w towarzystwie - powiedział w końcu. - Nie wątpię, że uda nam się nawiązać miłą rozmowę, gdy tylko przewycięży pani początkową irytację i porzuci przekonanie, że padła ofiarą przymusu.

Caroline spiorunowała go wzrokiem. Wobec tej prowo-

kacji zapomniała, że jedną z jej podstawowych zasad jest chłodne i racjonalne podejście do każdej sytuacji.

- Pan niczego nie rozumie - odparła. - Odnoszę wrażenie, że pana cieszy świadome łamanie zasad przyzwoitości. Guwernantka ani dama do towarzystwa nie powinna. .. - urwała, bo lokaj wrócił sprzątnąć talerze. Zapadło krępujące milczenie.

Podano pieczeń wołową i Lewis znowu oddalił lokaja, szepnąwszy mu kilka słów, których Caroline nie usłyszała. Gdy drzwi za służącym się zamknęły, Lewis spojrzał na nią i pytająco uniósł brwi.

- Czego nie powinna dama do towarzystwa, panno Whiston?

Znowu spojrzała na niego karcąco.

- Nie będę tracić czasu na odpowiedź. Jest pan wyraźnie głuchy na wszelkie napomnienia, by stosować się do zasad.

- Ach, rozumiem, ugodziłem w podstawy praktycznego myślenia. Po co tracić czas i energię na beznadziejny przypadek.

- Bardzo dobrze pan to ujął, kapitanie. Jest pan uparty ponad wszelką miarę, samowolny...

- Och, znowu czuję się jak jeden z pani niegrzecznych uczniów. Czy im również pozwala pani na wszystko, czego sobie zażyczą?

- Skądże znowu! - Caroline zmarszczyła czoło. - Oni są zazwyczaj znacznie łatwiejsi do ułożenia niż pan, kapitanie.

Wybuchnął gromkim śmiechem, po czym wstał, aby dolać jej wina.

- Po prostu miałem więcej czasu niż oni na ćwiczenie nieposłuszeństwa. Unikajmy takich zapalnych tematów. Proszę mi lepiej opowiedzieć o przedmiotach, których pani uczy.

Caroline zmierzyła go podejrzliwym wzrokiem. Nie spotkała jeszcze nikogo zainteresowanego szczegółami życia guwernantki.

- Uczę bardzo wielu przedmiotów - odpowiedziała. - Języków, geografii, muzyki i rysunku. Jeśli moje podopieczne nie umieją robić wycinanych pejzaży lub wyhaftować czegoś na poduszce, mam poczucie, że zawiodłam.

- Wycinane pejzaże... Musi pani być bardzo zręczna, żeby uczyć czegoś takiego, panno Whiston - stwierdził Lewis - ale z wykształceniem zdobytym u pani Guarding...

- Owszem. Miałam dużo szczęścia, że nie musiałam wchodzić w dorosłe życie bez wykształcenia - przyznała Caroline z nikłym uśmiechem.

- Na pewno jest wiele niedokształconych guwernantek, które przekazują wychowankom swoją ignorancję - zauważył Lewis, napełniając jej kieliszek.

- To jest dość przykre. - Caroline uświadomiła sobie, że się śmieje. - Z pewnością są również takie, które ciężko pracują. I nie zawsze mają pod opieką układne panienki.

Niezauważalnie zmienili temat na geografie, potem na historię i politykę. Odkąd Caroline spostrzegła, że Lewis

wydaje się szczerze zainteresowany rozmową, a do tego dużo wie, osłabiła czujność. Zaczęła wyrażać swoje poglądy ze znacznie większą otwartością niż zwykle.

Gdy lokaj wrócił, aby podać deser, Caroline uświadomiła sobie, że rozmawiają z Lewisem już bardzo długo. Przygryzła wargę. Popełniłaby gruby błąd, gdyby odprężyła się w tak dwuznacznej sytuacji i uznała jego towarzystwo za atrakcyjne i pobudzające. Dość ostro podziękowała za deser, mając nadzieję, że Lewis zrozumie ten sygnał i wycofa się do gabinetu, aby napić się porto, a jej pozwoli odejść.

Lewis zmarszczył czoło, jakby zdał sobie sprawę z celu tego manewru.

- Nie opuszczę pani dla przyjemności napicia się porto. - Znowu odczytał jej myśli. - Dobrze wiem, że 'tedy uciekłaby pani natychmiast. Lepiej chodźmy chwilę posiedzieć w salonie, panno Whiston.

Caroline zawahała się. Lewis zbliżał się do niej, obchodząc stół, a ją nagle opuściła pewność siebie. Dopóki zielił ich blat stołu, nie czuła zakłopotania z powodu jego bliskości, ale teraz... On tymczasem zdecydowanym ruchem ujął ją pod łokieć. To na chwilę obudziło w niej nieufność.

- Nie sędzę, żeby było to całkiem...
- ..stosowne? - Lewis zerknął na nią kątem oka.
- Właściwe - poprawiła. - Jestem damą do towarzystwa pani Chessford. Ani jej, ani pańskiej siostry nie ma w domu, więc...

- Już to pani mówiła. Powinienem się obawiać o swoją reputację. Czy tak?

Caroline spojrzała na niego z wyrzutem.

- Pan sobie kpi!

- Słowo honoru, że nie miałem takiego zamiaru. Czy towarzystwo damy nie może skompromitować? Z pewnością mógłbym spróbować...

- Nie sądzę, proszę pana - zgasiła go Caroline. - Natomiast bez wątpienia działa to w drugą stronę. Dlatego muszę bardzo dbać o swoją reputację! Zamierzam zresztą wkrótce opuścić Hewly. Panna Brabant ma już wystarczającą opiekę, więc mogę z czystym sumieniem przyjąć inną posadę.

Lewis spojrzał jej w twarz. Nagle zapomniał o figlarnym tonie.

- Czy musi pani wyjechać?

- Cóż... - Caroline poczuła, że się rumieni. - Mam propozycję objęcia nowej posady, a zaplanowałam sobie. .. - urwała, nie chcąc narzekać na złośliwość i wścibstwo Julii.

- Przypuszczam, że nic pani tutaj nie trzyma - stwierdził beznamiętnie Lewis.

- Pani Chessford w zasadzie nie potrzebuje damy - powiedziała zdesperowana Caroline. - Pan zresztą wie, że ona i ja do siebie nie pasujemy. Jestem przekonana, że bardzo poruszyła ją śmierć pana admirała, ale nie mogę zaoferować jej pocieszenia, jakiego szuka. Ona potrzebuje rozrywek, a nie kogoś, kto będzie za nią pisał listy. Przy-

dałaby jej się również zmiana otoczenia. To musiało być dla niej straszne, że pan admirał zaniemógł prawie natychmiast po jej przyjeździe...

Caroline przerwała, Lewis bowiem nagle przymrużył powieki i przeszył ją wzrokiem. Do tej pory słuchał w milczeniu jej gadaniny, a ona czuła się całkiem swobodnie, ale nagle nastąpiła zmiana w wyrazie jego twarzy odebrała jej swobodę.

- Natychmiast po przyjeździe? Myślałem, że Julia zjawiała się w Hewly na wiadomość o chorobie ojca.

- Nie. - Teraz z kolei Caroline spochmurniała. - Piasztunka Prior powiedziała mi, że gdy Julia przyjechała, admirał miał się jeszcze całkiem dobrze. Dopiero kilka godzin później... - urwała, zobaczywszy wyraz twarzy Le-

isa. - Co ja takiego powiedziałam?

Lewis wolno pokręcił głową.

- Nic takiego, panno Whiston. Dano mi do zrozumienia.. - Musnął jej dłoń i natychmiast od miejsca, którego dotknął, rozeszło się po jej ciele przyjemne mrowienie. - Ciekaw jestem, co jeszcze pani wie.

Przez chwilę obserwował twarz zdezorientowanej Caroline, która za wszelką cenę starała się zachować spokój.

- O czym, sir? - spytała chłodno.

- Szkoda, że nie mogę pani spytać, co jest w moim sercu - rzekł zagadkowo. - Ale o jedno mogę spytać, panno Whiston.

- A mianowicie?

Jego niebieskie oczy zabłysły diabolicznym blaskiem. Caroline przebiegł dreszcz.

- Jednego zazdrozczę mojej siostrze, panno Whiston - odparł. - Ona może się z panią przyjaźnić, a ja muszę zachowywać konwenanse. Czy nie mógłbym uzyskać przywileju mówienia pani po imieniu?

- O! - Caroline przycisnęła dłoń do gardła. Pamiętała wszystkie sytuacje, w których Lewis zwrócił się do niej po imieniu, a teraz nagle przypomniała sobie również, jak ciepłe jest jego ciało, jak delikatne potrafią być dłonie, jak czule całują jego usta... Przedtem nie zważał na konwenanse, sam brał to, czego chciał. Teraz prosił, ale mimo to...

Odsunęła się od niego.

- Nie, kapitanie Brabant. Ponieważ wkrótce opuszczę Hewly, nie ma takiej potrzeby, a nawet gdybym miała zostać, byłoby to...

- ...niestosowne? - Lewis podszedł za nią do drzwi. Nie dotykał jej, ale czuły ton głosu i tak czynił z nią cuda.

- Niewłaściwe?

Gdy chciała uciec, położył jej rękę na ramieniu.

- Któregoś dnia, Caroline - powiedział bardzo cicho - sama przyznasz, że mimo stosownej powierzchowności, jesteś wyjątkowo niestosowną guwernantką. Zanim to nastąpi - kpiąco się przed nią skłonił - będę nadal zwracał się do pani per „panno Whiston”. Życzę dobrej nocy.

Odwrócił się, a Caroline na miękkich nogach opuściła salon i umknęła w bezpieczne miejsce, nawet nie czekając, aż ktoś poda jej świecę.

Caroline siedziała, cerując zapasową parę czarnych rękawiczek i zastanawiała się, co robić. Znowu spędziła całą noc na przewracaniu się z boku na bok, a dla kogoś, kto zawsze cieszył się zdrowym snem, był to bardzo wymowny znak. Powodem jej niepokoju był naturalnie Lewis Brabant i jego zachowanie poprzedniego wieczoru. Caroline wydawało się niesprawiedliwe, że Lewis natychmiast dostrzegł sprzeczności jej natury, które do tej pory przed wszystkimi ukrywała. Zorientował się, że są dwie Caroline Whiston - stateczna guwernantka nosząca szare, bezkształtne suknie i zawsze zachowująca się stosownie, lecz również swobodny duch czytujący poezję i śniący o romansie. Tyle że ten swobodny duch nigdy nie cieszył się prawdziwą swobodą, okiełznany koniecznością zarabiania na życie i tym, co w życiu najbardziej nieromantyczne. Rozsądna, trzeźwa guwernantka zawsze miała nad nim władzę.

Nitka pękła, a Caroline zmełła pod nosem przekleństwo niegodne damy. Wiedziała, że sama zawiniła, a wyładowała złość na niewinnej nitce. Odłożyła cerowanie i podeszła do okna. Jej pokój znajdował się w głębi domu, roztaczał się z niego widok na otoczone murami ogrody i - dalej - lekko pofałdowany pejzaż hrabstwa Northampton. Dwie służące trzepały koc na tarasie poniżej, a w ogrodzie Belton z Lewisem Brabantem, pochłonięci rozmową, badali mury dawnego rozarium. Caroline wesichnęła. Nie było sensu zastanawiać się, co wyjątkowo niestosownie pociąga ją w Lewisie. Może była to kwestia

sprzeczności w jego naturze? Władczy człowiek czynu zdradzający jednocześnie niebezpieczną spostrzegawczość... Odsunęła się od okna, jakby bała się, że samą obecnością może przyciągnąć jego spojrzenie.

Pani Guarding powtarzała, że najlepszym lekarstwem na melancholię jest znaleźć sobie zajęcie, więc Caroline wzięła narzutkę i wyszła na dwór. Na wszelki wypadek nie ruszyła w kierunku ogrodów, lecz ścieżką prowadzącą do sadu i wychodzącą dalej na trakt. Był jasny, mroźny, zimowy dzień, więc z każdym krokiem Caroline czuła, jak poprawia jej się nastrój. Postanowiła odwiedzić znajomych.

Pierwszy przystanek zrobiła w szkole pani Guarding. Była tam zaraz po powrocie do Steep Abbot i została bardzo ciepło przyjęta przez właścicielkę szkoły. Jej dawna nauczycielka nie wspomniała ani słowem o sytuacji życiowej Caroline, gawędziła o zmianach w szkole i zajęciach, jakie znalazły różne jej podopieczne. Do tej pory nie skorzystała z zaproszenia do odwiedzenia może dlatego, że wiązała z tym miejscem zbyt wiele miłych wspomnień. Gdy pierwszy raz rozważała rezygnację z posady u Julii, pomyślała właśnie o możliwości znalezienia pracy w szkole pani Guarding. Teraz jednak wiedziała już, że nie miałyby to sensu. Szkoła znajdowała się zbyt blisko Hewly, a więc i Lewisa, a myśl o Julii odgrywającej rolę pani Brabant byłaby dla niej nie do zniesienia.

Zadzwoiła i dowiedziała się, że pani Guarding nie ma. Została jednak ciepło przyjęta przez pannę Henriettę Ma-

son, nauczycielkę historii. Wypiły po filiżance herbaty i odbyły długą pogawędkę o tym, jak trudno jest zaszczepić u młodych panien zainteresowanie historią i geografią. Wyglądało na to, że i na prywatnej posadzie, i w postępowej szkole kłopoty są bardzo podobne. W koronice Caroline pożegnała się z panną Mason, obiecawszy wkrótce znów ją odwiedzić. Potem skierowała się ku Abbot Quincey.

Skreśliła z traktu w drogę do Perceval Hall, miała bowiem listy dla Lavender. Nie zamierzała zabawić tam długo, ale została zaproszona do salonu i wkrótce konwersowała z siedzącymi tam damami jak stara znajoma. Po pewnym czasie Lavender zaproponowała jej pójście do kościoła, chciała bowiem odwiedzić grób admirała.

- Mam nadzieję, że nie odczuwasz boleśnie mojego braku, Caroline - powiedziała Lavender po drodze. - Lady Perceval wspomniała, że mogłabym cię zaprosić, więc gdyby nie Julia... - urwała. - Przepraszam. Przystaję pannaować nad językiem, kiedy o niej mówię. Powiedz mi, czy już zdażyła namówić kapitana Slatera, żeby z nią wyjechał.

Caroline spojrzała na nią karcąco, ale kąciki ust jej się uniosły.

- Lavender! Chyba wiesz, że mówisz o kimś, kto może zostać twoją szwagierką!

- Oj, wiem - posepnie odrzekła Lavender. - Wszyscy w okolicy o tym wiedzą. Właściwie nikt nie pyta mnie o nic innego.

Za kościelną bramą powoli doszły ścieżką do narożnej kwatery cmentarza. Na świeżej mogile admirała stał skromny kamień nagrobny. Caroline zerknęła z niepokojem na Lavender, ale panna Brabant, choć blada, wydawała się panować nad sobą. Pochyliła się i położyła na ciemnej ziemi bukszpanowy wianek.

- Gotowe! - Cofnęła się o krok i wyprostowała. - Bardzo tęsknię za ojcem. To dziwne, bo rzadko ze sobą rozmawialiśmy i na pewno nie o ważnych sprawach, a jednak miałam pewność, że nie zawiódłby mnie, gdybym potrzebowała jego pomocy. To był bardzo dobry i życzliwy ludziom człowiek.

- Jestem pewna, że twój brat może go zastąpić w tej roli - próbowała pocieszyć ją Caroline. - On też jest szczerym i uczciwym człowiekiem.

Nastąpiła pauza. Lavender zatrzymała wzrok na twarzy Caroline.

- Na pewno masz rację, ale to nie jest takie proste. - Nie musiała znowu wspominać imienia Julii, bo i tak zawisło między nimi w powietrzu. Po chwili Lavender strzepnęła z rękawiczek zabłąkaną grudkę ziemi i się odwróciła. - Myślę, że ojciec by cię polubił - powiedziała. - On zawsze cenił odwagę i zdecydowanie.

Caroline wbrew sobie się roześmiała.

- Trudno nazwać mnie osobą odważną albo zdecydowaną, Lavender. Guwernantki nie stać na takie luksusy charakteru. Ja muszę być niewidzialna, siedzieć cicho jak mysz pod miotłą.

Tym razem roześmiała się Lavender. Zmarszczyła nos.

- Co ty mówisz! Trzeba mieć wiele odwagi, żeby zdecydować się samemu zarabiać na życie. I to jest prawdziwa odwaga!

Caroline bardzo poruszyły te słowa, postanowiła jednak odwrócić od siebie uwagę.

- Ciekawa jestem, co się dzieje z biedną markizą Sywell - zmieniła temat. - Musiała być bardzo osamotniona, skoro nie miała przyjaciół ani przed ślubem, ani potem.

- Och, Louise miała przyjaciółkę - zaczęła Lavender, ale urwała i spłonęła rumieńcem. Caroline przyglądała jej się zdziwiona. - Chcę powiedzieć, że kilka razy widziałam ją z Atheną Filmer, która mieszka z matką w Steep Ride. Wydaje mi się, że były z sobą blisko. - Spojrzała zawstydzona na Caroline. - O Louise Hanslope zawsze krążyło mnóstwo plotek, ale ja nie dawałam im wiary. Opowieści, że jest naturalną córką rządcy były niedorzeczne, a teraz ludzie wygadują jeszcze gorsze banialuki. Nie znoszę za wiści! - Głęboko odetchnęła. - Och, przepraszam. Na pewno nie chcesz słuchać moich kazań.

Caroline była zaciekawiona i trochę rozbawiona żarliwą obroną tajemniczej Louise. Może Lavender po prostu miała przekonanie, że obie z Louise są inne i nie pasują do społeczeństwa skrepowanego konwenansami. Lavender, ze swą szczerością i niechęcią do intryg, bez wątplenia uznawała każdą plotkę za przejaw czystej złośliwości. Trudno więc byłoby jej mieszkać pod jednym dachem z Julią.

O zmierzchu Caroline zostawiła Lavender w Perceval Hall, a przyjaciółka obiecała wrócić do Hewly w ciągu tygodnia. Lady Perceval nalegała, aby Caroline pozwoliła odwieźć się powozem, bo przecież styczniowe popołudnia są krótkie i wkrótce należy się spodziewać całkowitej ciemności. Caroline podziękowała jej jednak, dodała, że do zmroku jeszcze sporo brakuje, i zaopatrzona w koszyk ze świeżymi jajami, dopiero co ubitym masłem i bochenkiem jeszcze ciepłego chleba ruszyła z powrotem w stronę Hewly.

Między drzewami wspinał się po niebie księżyc. Caroline ciasno otuliła się pelerynką. Było chłodno, zdecydowanie zimniej niż poprzedniego wieczoru, doszła więc do wniosku, że przepowiednia następnych opadów śniegu może wkrótce się urzeczywistnić. Nawet pożałowała, że nie przyjęła propozycji podwiezienia. Między drzewami było coraz ciemniej, a chociaż Caroline nie należała do strachliwych, przy każdym szeleście w poszyciu nerwowo podskakiwała. Wiedziała, że jest już prawie w granicach Hewly, ale gdy zobaczyła migotanie światełek w lesie, serce podeszło jej do gardła. Ogniki przesuwały się między drzewami, drgały jak w jakimś niezwykłym tańcu. Na domiar złego Caroline zaczęła sobie przypominać opowieści o duchach w lesie i o szarej damie.

Raptownie się odwróciła i pognała przed siebie, chcąc jak najszybciej dotrzeć do skraju lasu. Postanowiła w razie potrzeby pobiec dalej na przełaj, przez pola. Pokonała zaledwie około trzydziestu jardów, gdy zadrzewiony teren

się skończył i znalazła się na nierównej drodze, ciągnącej się wzdłuż wysokiego, głogowego żywopłotu. Zdyszana, oparła się o furtkę. Nagle podskoczyła z wrażenia, znajomy głos powiedział bowiem:

- Nie miałem pojęcia, że pani lubi takie wyczerpujące ćwiczenia fizyczne, panno Whiston. Bieganie po lesie o zmierzchu, ho, ho. Ma pani szczęście, że jej przypadkiem nie postrzeliłem.

- Kapitan Brabant! - Caroline przybrała godną pozę, A ciąż jednak nie mogła złapać tchu. Nie była pewna, czy cieszyć się, czy złościć, że została zauważona w takiej sytuacji. - Strzelanie po ciemku nie wydaje mi się rozsądnym zajęciem!

Lewis Brabant parsknął śmiechem. Przeszedł przez furtkę i stanął obok niej z dubeltówką na ramieniu.

- Czy zamierza pani czynić mi wyrzuty? Samotne bieganie po lesie jest jeszcze mniej rozsądnym zajęciem, a do tego niestosownym!

- Zdawało mi się, że widzę światła w lesie... - zaczęła Caroline, urwała jednak, bo Lewis zacisnął jej dłoń na nadgarstku.

- Panno Whiston, proszę bliżej.

- Co, u licha... - Caroline zamilkła, bo Lewis pociągnął ją za sobą w ciemne miejsce za żywopłotem. Kolce głogu drapały ją przez pelerynkę, ale Lewis wciągał ją jeszcze głębiej w krzaki. Zaraz potem na drodze rozległ się odgłos kroków, dały się słyszeć stłumione głosy, szelest liści, jakby zamiótł nimi wiatr, a potem znowu zapadła cisza.

Caroline uświadomiła sobie, że wstrzymała oddech. W tej samej chwili zauważyła, że stoi wtulona w Lewisa, więc szybko się od niego odsunęła.

- Kto to był?

- Kłusownicy - odparł cicho Lewis, ostrożnie otwierając furtkę. - Tędy, panno Whiston, i to szybko. Omal pani na nich nie wpadła.

Ujął ją za rękę i szybko pociągnął za sobą przez pole, więc Caroline znów musiała prawie biec, żeby dotrzymać mu kroku. Dopiero gdy dotarli do przełazu po drugiej stronie i stanęli na drodze, która prowadziła do szkoły, Lewis nieco zwolnił.

- Nie rozumiem - powiedziała zdyszana Caroline, wchodząc za Lewisem na podwórze Hewly. - Miał pan strzelbę, mógł pan ich zatrzymać.

Lewis spojrzał na nią tak, że natychmiast zamilkła. Z jego głosu biła złość.

- Czy myśli pani, że próbowałbym stawić czoło bandzie kłusowników, kiedy mam panią pod opieką? Panno Whiston, to byłaby wyjątkowa nieroztropność! Proszę wziąć pod uwagę, co mogłoby się stać, gdyby natknęła się pani na nich podczas swoich samotnych wędrówek po lesie, i proszę mi przyrzec, że więcej nie będzie się pani tak niefrasobliwie zachowywać.

Caroline wiedziała, że Lewis ma rację, a jednak nie chciała mu jej przyznać.

- Wcale nie jestem niefrasobliwa! Zawsze zachowuję się stosownie...

W spojrzeniu, którym obdarzył ją Lewis, pobłażanie mieszało się z irytacją.

- Niech pani nawet nie próbuje zaprzeczać! Ma pani nie więcej pojęcia niż niemowlę, jak sobie poradzić w takiej sytuacji. Prawda jest taka, że znudzona ograniczeniami swojego życia naraża się pani na niebezpieczeństwo niewyobrażalnie lekkomyślnym postępowaniem!

Caroline spiorunowała go wzrokiem. Była naprawdę wściekła.

- Jak pan śmie mnie krytykować?! Ja przynajmniej jestem dostatecznie wychowana, by wiedzieć, że nie wypada kłócić się w publicznym miejscu.

- Wobec tego wejdzmy do domu - kpiąco odparł Lewis.
- Wtedy będę mógł kłócić się z panią w pokoju. Pani zachowanie, panno Whiston, jest nie tylko niestosowne, lecz również zwyczajnie groźne w skutkach - nie ustępował.

Otworzyły się jedne z drzwi stajni i wyszedł z nich masztalerz. Caroline ugryzła się w język, chociaż miała już gotową ciętą ripostę, i poczekała, aż Lewis odda służącemu strzelbę i zamieni z nim kilka słów. Zastanawiała się, czy nie uciec do domu, ale w postawie Lewisa było coś takiego, co kazało przypuszczać, że potraktowałby ją wtedy bardzo bezceremonialnie, nie licząc się z zasadami dobrego wychowania, wołała więc nie ryzykować.

- Widzę, że wrócili pani Chessford i kapitan Slater - powiedziała oschle, wskazując ruchem głowy powóz stojący jeszcze na podjeździe. - Przynajmniej będziemy mieli miłe towarzystwo podczas kolacji.

- Wkrótce zamieni pani moją niepożądaną asystę na znacznie miłszą Richarda, ale najpierw musi mi pani coś obiecać. Mimo że jest pani w gorącej wodzie kąpana, nie będzie więcej oddalać się sama od domu.

Caroline obawiała się, że za chwilę złość ją rozsadzi. Ruszyła w stronę domu. Lewis chwycił ją za ramię.

- Panno Whiston!

Caroline ze zgrozą stwierdziła, że ma łzy w oczach. Nie wiedziała, skąd się wzięły. Przez całe życie zajmowała się pocieszaniem innych, mogłaby więc zbagatelizować kłótnię i dać Lewisowi słowo, tak jak sobie tego życzył. A jednak gdy patrzyła na jego rozgniewaną twarz, chciała tylko mu dopiec.

- Nie jest pan moim chlebodawcą, żeby narzucać mi ograniczenia.

Lewis zmarszczył brwi.

- Nie jestem, już raz mi pani o tym przypomniała. Ale również ja muszę przypomnieć pani, panno Whiston, że Hewly jest moim domem, a ponieważ mieszka pani pod moim dachem, to zastosuje się do moich poleceń. Czekam na pani słowo.

- Och, już dobrze, ma je pan. - Caroline wyrwała ramię z uścisku. - Chociaż... - poczuła, że zaraz się rozplącze - nie powinien pan obawiać o moje bezpieczeństwo. Kiedy wyjadę z Hewly, nic już pana nie będę obchodzić!

Obróciła się na pięcie i odeszła. Mimo że nie spojrzała więcej za siebie, przez całą drogę do domu miała niepokojące wrażenie, że Lewis śledzi ją wzrokiem.

Głównie dzięki obecności Richarda Slatera kolacja upłynęła w miłej atmosferze. Caroline trochę obawiała się stanąć twarzą w twarz z Lewisem, ale przekonała się, że traktuje ją z wzorcową uprzejmością. Zachowywał się bardzo oficjalnie i pozwolił, aby Julia zmonopolizowała jego uwagę, być może więc po prostu przestał już myśleć o kłótni. Natomiast Richard bardzo zabawnie opowiedział jej o podróży do Northampton, spytał ją o zdanie w sprawie luddystów, których wystąpienia doprowadzały do poważnych napięć w miastach położonych dalej na północy, wreszcie wciągnął ją w żywą dyskusję o wartościach poezji Samuela Taylora Coleridge'a.

- E tam, poezja. - Julia ziewnęła, gdy dyskusja wreszcie dobiegła końca. - Brakuje tu jeszcze tylko Lander do rozmowy. Ona jest wyjątkowo dobrze wykształconą panną. - Uśmiechnęła się do Lewisa. - Szkoda, że nie mamy muzyki, chociaż naturalnie minęło jeszcze tak niewiele dni od śmierci drogiego wuja Harleya. Kiedy przyjedzie Churchward z testamentem, Lewisie?

- Myślę, że za kilka dni. - Lewis sięgnął ręką do dzwonka. - Pisze, że zatrzymała go nagła śmierć lorda Nantwicha.

- Ach, tak. - Julia wyraźnie się ożywiła. - Czy to nie on zginął w wypadku powozu, kiedy jechał z kochanką złożyć wizytę rodzinie swojej narzeczonej? Mówią, że zamierzał wynająć kochance pokój w miejscowym zajęździe i w dodatku odwiedzać ją każdego wieczoru. Czy wiecie, że...

Caroline odwróciła się i przestała zważać na plotki. Julia często twierdziła, że zapomniała absolutnie wszystkie nauki pani Guarding, za to z najdrobniejszymi szczegółami wiedziała wszystko o wszystkich możliwych skandalach.

Na spoczynek udali się wcześniej. Julia oświadczyła, że jest zmęczona po podróży i zażądała, by Caroline odprowadziła ją do pokoju. Bez końca szczebiotała o Lewisie i Richardzie Slaterze i o tym, który z nich jest lepszą partią.

- Bo chociaż Lewis jest przystojniejszy, to Richard ma lepsze maniery. U Lewisa razi mnie czasem taka dziwna skłonność do ironii. No, ale trzeba też brać pod uwagę majątek. Lewis jest bardzo zamożnym człowiekiem, co zaś do stanu posiadania Richarda, to chwilowo nie jestem w stanie go ocenić.

Caroline nabawiła się silnego bólu głowy, więc gdy wreszcie uciekła do sypialni, usiadła na łóżku i zaczęła rozcierać obolałe skronie. Pokój wydał jej się niezwykle przytulny. Na kominku płonął duży ogień, a przy świetle świec nie było widać, jak zniszczone są dywany i zasłony. Tu Julia nie wprowadziła żadnych udoskonaleń. Caroline wsunęła rękę we włosy, żeby wyjąć z nich szpilkę, i w tej samej chwili jej oczom ukazał się skrawek czegoś białego wystający spod łóżka. Pochyliła się z zainteresowaniem i stwierdziła, że jest to rozek listu.

Uklękała, odchyliła kapę i wyciągnęła stary sakwojaż, w którym trzymała swoje najcenniejsze przedmioty oraz

listy. Zegarek dziadka nadal był na miejscu, podobnie jak złoty medalion i broszka po matce, a także inne drobiazgi, zgromadzone przez nią z upływem lat. Ale niczego więcej nie znalazła. Miejsce, poprzednio zajęte przez pakieciki listów związane wstążkami, opustoszało. Znikła cała korespondencja Julii.

Przez chwilę wpatrywała się w sakwojaż i czuła, jak wzbiera w niej gniew. Na wszelki wypadek zajrzała pod łożko, ale nic to nie zmieniło. Wszystkie listy od Julii znikły. Usiadła na piętach i rozejrzała się po pokoju, czy nie spostrzeże śladów przeszukiwania. Nie zauważyła. To i zniknięcie listów jednocześnie kazało podejrzewać, że złodziej dokładnie wiedział, co chce zabrać.

Powoli wstała. Wniosek nasuwał się sam. Nie chciała go przyjąć, wyglądało jednak na to, że listy ukradł Lewis Brabant. Ogarnęła ją wściekłość. Lewis był jedyną osobą, która wiedziała o listach, bo przecież znalazł jeden z nich w książce i potem się nimi interesował. Co więcej, pytał o nie jeszcze raz przed kilkoma dniami. Nie chciała z nim o tym rozmawiać i w swej naiwności założyła, że pogodził się z jej decyzją, zapewne jednak stało się inaczej. Nie pozostawało jej nic innego jak konfrontacja.

Zerknąwszy na zegar, uznała, że byłoby szczytem nieroztropności nachodzić Lewisa o tej porze w jego pokoju. Ostatnio ich spotkanie o podobnej godzinie miało poważne konsekwencje. Sprawa powinna zatem poczekać do rana.

Niestety, zostało jej przez to zbyt wiele czasu na rozmyślanie. Przez całą noc przewracała się z boku na bok i zanim nastał świt, była zła jak osa, a zarazem pełna jak najgorszych przeczuć. Wiedziała, że źle wygląda, bo napięcie i brak snu wycisnęły piętno na jej twarzy, najchętniej więc odłożyłaby rozmowę na później. Nie była jednak w stanie dłużej czekać. Musiała zobaczyć Lewisa jak najszybciej.

Znalazła go w bibliotece, gdzie gawędził o koniach z Richardem Slaterem. Kapitanowi Slaterowi wystarczyło jedno spojrzenie na jej twarz, by znaleźć pretekst do opuszczenia pokoju.

- Pójdę prosto do stajni, sprawdzić na miejscu, jakiego jestem zdania, Lewis. Może przyjdiesz tam później. Przepraszam, panno Whiston.

W onieśmielającej ciszy, która zapadła, Caroline przekonała się, że jej złe przecucia nasilają się z każdą chwilą. Lewis uśmiechnął się do niej chłodno, co przypomniało jej kłótnię z poprzedniego wieczoru i jeszcze bardziej odebrało śmiałość. Czekała ją bardzo trudna przeprawa.

- Czym mogę służyć?

- Przyszłam prosić o zwrot listów - powiedziała szybko. Czuła, jak się czerwieni. - Nalegam, panie kapitanie. One są moją własnością i nie powinny być zostać zabrane!

Uśmiech Lewisa zmienił się w grymas zdziwienia.

- Bardzo przepraszam, panno Whiston, ale o czym pani mówi?

- Doskonale pan wie! - Nerwy jej puściły. - Wie pan, że przechowywałam wszystkie listy Julii, a jeden z nich widział pan na własne oczy. Czy pan temu zaprzecza?

- Nie, skądże - odrzekł rzeczowo Lewis, lekko marszcząc czoło. - Proszę mi wybaczyć, panno Whiston, ale przyznaję, że jestem zaskoczony. Co się stało z listami?

- Och, niech pan mnie nie zwodzi! Listy zostały skradzione. Nie chciałam wyjawić panu, co zawierają, więc je pan zabrał. To oczywiste!

Zapadła cisza, przerywana tylko tykaniem zegara. Lewis oparł ręce na stole i pochylił się ku Caroline.

- Chwileczkę, panno Whiston - powiedział w końcu beznamytnie. - Czy dobrze rozumiem, że oskarża mnie pani o kradzież?

- A jakie może być inne wyjaśnienie? - Caroline wlepiła w niego wzrok. - Pan jeden wiedział o listach, pytał mnie o ich treść, a ja nie chciałam jej zdradzić. No, więc...

- Więc pani myśli, że skradam się jak złodziej we własnym domu, żeby odebrać to, czego nie oddałaby pani dobrowolnie? - Lewis wyprostował się i wbił ręce w kieszenie. Caroline serce podeszło do gardła, gdy zobaczyła, iaki jest zły. Wyglądał zupełnie inaczej niż podczas kłótni poprzedniego wieczoru. Patrzył na nią wrogo.

Cofnęła się o krok w nagłym przypływie strachu, ale Lewis dwoma wielkimi krokami stanął obok i wyciągnął rękę, żeby ją zatrzymać.

- Nie tak szybko, panno Whiston! Jeszcze nie skon-

czyliśmy rozmowy. - Odwrócił ją twarzą do siebie. Spojrzenie miał lodowate. - Doszliśmy właśnie do bardzo ciekawego punktu, to znaczy do pani zdania o mnie. Odniosłem wrażenie, że widzi pani we mnie człowieka pozbawionego skrupułów, nieszczerego, a do tego złodzieja. Czy tak?

- Ja... - Caroline straciła kontenans. Wcześniej nawet nie przemknęło jej przez myśl, że może się mylić. Wszystko doskonale do siebie pasowało. Lewis chciał mieć te listy, listy znikły, a zatem to on musiał je zabrać. Teraz jednak zaczęła rozumieć, że źródłem jej złości było również rozczarowanie osobą Lewisa. Uważała go za honorowego i szacownego człowieka, a tu nagle przekonała się, że jest zdolny do podstępów i kradzieży. Tak w każdym razie pomyślała we wzburzeniu. Teraz powoli pojmowała, że mogła popełnić fatalną omyłkę.

- Nie będę tracił czasu na dowodzenie mojej niewinności - oznajmił Lewis. - Jeśli takie jest pani zdanie...

- A co innego miałam pomyśleć? - spytała zrozpaczona, rozkładając ręce. - Chciał pan przeczytać listy... a teraz ich nie ma. Ktoś musiał je zabrać!

Przez chwilę Lewis skupił wzrok na jej twarzy.

- Mało tego, że „ktoś”, panno Whiston! Pani uznała, że to nikt inny, tylko ja - urwał i pokręcił głową. - Cóż, oddałbym pani te listy, ale niestety ich nie mam!

Odwrócił się i wyszedł z pokoju. Caroline pobiegła za nim.

- Przepraszam, jeśli popełniłam omyłkę. - Nieśmiało

dotknęła jego ramienia i poczuła, że jest cały napięty. Na szczęście nie odtrącił jej ręki. - Nie będę szukać dla siebie usprawiedliwienia. Zachowałam się niegodnie, że w pana zwątpiłam.

Lewis odwrócił się.

- Niech pani nie przeprasza. Sądziłem, że ma pani o mnie dobre zdanie, ale byłem w błędzie! Teraz muszę zająć się swoimi sprawami. Życzę miłego dnia!



ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Pan Churchward, reprezentujący londyńską kancelarię prawniczą z dużymi tradycjami, przyjechał jeszcze tego wieczora, tuż przed zmierzchem. Lewis wysłał umyślnego do Perceval Hall, aby powiadomić o tym Lavender, ponieważ następnego ranka miało się odbyć oficjalne odczytanie testamentu.

Tymczasem pan Churchward poprosił Lewisa o rozmowę na osobności, został więc zaproszony do gabinetu na szklaneczkę porto. Lewis był zdania, że jeśli nowiny związane z ostatnią wolą są złe, prawnik potrzebuje mocnego napitku nawet bardziej niż on.

Usiedli w fotelach przy kominku, ale rzucało się w oczy, że rozmowy o niczym pana Churchwarda nie interesują, bo przez cały czas niespokojnie przekładał dokumenty z ręki do ręki i raz po raz nimi szeleścił. Były to nieomyślne znaki, że należy skrócić część wstępną.

- No dobrze, Churchward, widzę, że są sprawy, które pana niepokoją. Czy zechce pan mnie w nie wprowadzić?

Prawnik uroczyście odchrząknął.

- Dziękuję, kapitanie Brabant. Jest w testamencie kilka trochę nieformalnych zapisów.

Lewis podał mu kieliszek porto i przybrał wyczekującą minę.

- Naprawdę, Churchward? Muszę powiedzieć, że pan mnie zaskakuje. Spodziewałbym się niejednego, ale nie tego, że mój ojciec może postąpić nieformalnie.

Pan Churchward spojrzał na niego ponuro.

- Tego nigdy nie można przewidzieć, panie kapitanie.
- Pokręcił głową. - Nie chcę powiedzieć, że sprawy pana admirała są niepokładane. Po prostu niektóre jego życzenia trącą donkiszoterią.

Lewis uśmiechnął się smutno.

- Rozumiem, bo odziedziczyłem po nim tę cechę. Proszę śmiało mówić o wszystkim. Cóż to za nieformalne zapisy, o których pan wspomniał?

Pan Churchward jeszcze raz odchrząknął i wyciągnął z pliku dokumentów jedną kartkę. Zsunął okulary na czubek nosa.

- A więc tak, panie kapitanie. Testament pana admirała jest stosunkowo prosty, zważywszy na to, że majątku ziemskiego nie obciążają długi i że liczba spadkobierców jest nieduża. Naturalnie pan admirał zmienił testament po przedwczesnej śmierci pańskiego brata.

Churchward zrobił retoryczną pauzę.

Lewis energicznie skinął głową.

- Rozumiem.

- Pan dziedziczy Hewly i większą część reszty majątk-

ku pana admirała - ciągnął Churchward. Zdawkowo się uśmiechnął. - Pan admirał dokonał za życia kilku dobrych inwestycji. Można panu pogratulować.

Lewis skinął głowę.

- Dziękuję, Churchward. Fortuna sprzyja rodzinie Brabantów, chociaż los wyznaczył za nią wysoką cenę, skoro odebrał życie mojemu bratu.

Pan Churchward przybrał zboląły wyraz twarzy.

- Istotnie, panie kapitanie. Testament nie jest wolny od zastrzeżeń. Są w nim dwie klauzule, zanim jednak do nich dojdziemy, powinniśmy chyba omówić pozostałe sprawy. Naturalnie są również typowe w takich sytuacjach zapisy dla służby i rezydentów oraz dwóch dodatkowych beneficjentów.

- Dla mojej siostry i wychowawcy ojca?

- Tak. - Churchward znów wydał się nieco zakłopotany. Dotąd nie tknął portu. Lewis zwrócił na to uwagę i bardzo go to intrygowało, ale tylko wygodniej usiadł i czekał na dalszy ciąg.

- Pańska siostra, Lavender Brabant, otrzymuje dzieśię tysięcy funtów posagu. Jeśli nie wyjdzie za mąż przed ukończeniem dwudziestego piątego roku życia, pieniądze te bezwarunkowo przejdą na jej własność.

Lewis uniósł brwi.

- To bardzo świątły zapis. Czy nie ma innych zastrzeżeń w tej kwestii?

- Nie, panie kapitanie. - Churchward przełożył kilka dokumentów i spojrzał mu prosto w oczy. - Teraz wycho-

wanica pańskiego ojca, pani Chessford. Dziedziczy tysiąc funtów.

Lewis wydał wargi, jakby chciał bezgłośnie gwizdnąć. Taka suma nie wystarczała, by Julia mogła utrzymać poziom, do jakiego aspirowała. Nie wątpił, że testament przyniesie jej głębokie rozczarowanie. Admirał był dla niej zarówno ojcem chrzestnym, jak i opiekunem, a majątek miał duży. Julia słusznie mogłaby oczekiwać więcej. Lewis niespokojnie drgnął, przypominając sobie trudną do przyjęcia opowieść Julii. Jeśli admirał jej się oświadczył, a ona odrzuciła oświadczenia, to mogła wchodzić w rachubę zemsta.

- Zapis jest mniejszy, niż oczekiwałem - powiedział ostrożnie. - Czy mój ojciec podał przyczynę takiej powściągliwości wobec swojej wychowawicy?

Tym razem drgnął pan Churchward. Miał wyjątkowo oficjalną i sztywną minę, więc Lewis pomyślał, że nawet gdyby admirał wszystko prawnikowi dokładnie wyjaśnił, ten nie zamierzał nikomu tego przekazać.

- Nie, panie kapitanie, nie wyraził się jasno. W każdym razie sędzę - pan Churchward zwilżył wargi łykiem porto - że jego zdaniem pani Chessford ma dostatecznie duży własny majątek. To znaczy miała, zanim... - Pan Churchward wykonał szeroki gest i Lewis zrozumiał, o co mu chodzi. Julia miała pokaźny majątek, póki wraz z Jackiem Chessfordem nie roztrwoniła go w Londynie. Lewis słyszał plotki na ten temat, więc prawdopodobnie dotarły one także do admirała.

- Wspomniałem już, że pan admirał zmienił testament na pańską korzyść po śmierci starszego syna - podjął wyjaśnienia Churchward. - W tym samym czasie zmienił również zapis na rzecz pani Chessford. Przedtem wynosił on... och, znacznie więcej.

Lewis westchnął i oparł podbródek na dłoni. Trudność polegała na tym, że zmarły spadkobierca nie może stanąć przed sądem, a zatem wszystkie jego decyzje podlegają dowolnej interpretacji. Admirał z tego czy innego powodu uznał zachowanie Julii za niewłaściwe. Lewis uświadomił sobie jednak, że Churchward wpatruje się w niego tak, jakby zamierzał mu przekazać kolejną, jeszcze mniej pomyslną nowinę.

- Teraz dwie klauzule, panie kapitanie. - bąknął.

- Naturalnie. - Lewis dopił kieliszek porto i wygodnie się oparł. - Przejęcie przeze mnie spadku zależy od spełnienia dwóch warunków. Proszę mi je przedstawić, panie Churchward.

Prawnik wydawał się wdzięczny, że rozmówca zachował się jak człowiek interesu.

- Już mówię, panie kapitanie. Pański ojciec dokonał następujących zastrzeżeń. Po pierwsze, musi się pan ożenić w ciągu dwunastu miesięcy od chwili przyjazdu do Hewly Manor. Admirał napisał: „Nie życzę sobie okazywania smutku i nadętej żałoby. Chłopak - chodzi, jak sądzę, o pana - powinien się ustatkować, ożenić i spłodzić dziedzica...”

Churchward urwał, Lewis bowiem wybuchnął śmiechem.

- Pozostaje mi się cieszyć, że ojciec nie uzależnił przekazania spadku od spełnienia przeze mnie dziedzica. A może to jest drugi warunek?

- Nie, panie kapitanie - odrzekł sztywno prawnik. - Pan admirał zażądał pańskiego ślubu w ciągu roku, ale dziedzic miał być...

- Dodatkową radością, a nie częścią żądania? Dziękuję, ojczule! - Lewis kpiąco uniósł kieliszek. - A więc druga klauzula...

- W myśl drugiej klauzuli nie wolno panu ożenić się z wychowanicą pańskiego ojca, panią Chessford - zakończył prawnik. - Dokładniej mówiąc, pan admirał napisał, że nie może zapobiec takiemu rozwojowi wydarzeń, ale gdyby zdecydował się pan na ten ślub, majątek przechodzi na rzecz pańskiej siostry.

Tym razem zapadło milczenie. Lewis dolał sobie wina do kieliszka.

- To oburzające - powiedział cicho po chwili. - Jeśli zechcę ożenić się z Julią...

- ...straci pan spadek. Tak, kapitanie, dokładnie tak to ujęto.

Lewis przeczesał dłonią włosy.

- Ale dlaczego...

Pan Churchward przybrał oficjalnie współczujący wyraz twarzy, zarezerwowany do przekazywania złych wiadomości.

- Przykro mi, pański ojciec bardzo nalegał na umieszczenie tej klauzuli.

- I nie podał powodu?

- Nie.

Lewis uniósł głowę.

- Rozumiem. Nie ma chyba nic więcej do powiedzenia, panie Churchward. Wnoszę, że jest pan zobowiązany do ujawnienia tych wszystkich faktów w dniu jutrzejszym.

Prawnik skinął głową.

- Tak, panie kapitanie. Teraz rozumie pan, dlaczego chciałem, aby poznał pan treść testamentu wcześniej?

Lewis machinalnie skinął głową.

- Tak, Churchward. Dziękuję za ostrzeżenie. - Wstał. - Muszę to przemyśleć. Czy miałby pan ochotę przyłączyć się do towarzystwa w salonie, czy może woli pan udać się na spoczynek? Po długiej podróży...

Prawnik pojął sugestię.

- Dziękuję, panie kapitanie - powiedział cicho. - Myślę, że lepiej będzie, jeśli pójdę odpocząć.

- Jak mógł być taki okrutny?! - zawodziła Julia, która podarła już na strzępki swoją cienką chusteczkę do nosa. Z żalną miną wpatrywała się w Caroline. - Opiekowałam się wujem Harleyem jak córka i jak mi za to odpłacił? Zostawił mnie prawie bez niczego i rozdzielił mnie z jedynym człowiekiem, którego kiedykolwiek kochałam!

Caroline uzmysłowiła sobie, że chyba pierwszy raz widzi Julię, która naprawdę płacze, a nie udaje. W szkole Julia roniła łzy na zawołanie, gdy chciała wzbudzić współ-

czucie nauczyciela, rzadko jednak bywała szczerze czymś przejęta. Teraz nagle nie będzie mogła zrealizować dwóch największych pragnień, jakie miała w życiu. Znakiem tego były dwie wielkie łzy toczące się po jej policzkach ku drgającym kącikom ust. Julia bez powodzenia próbowała je unicestwić dotknięciami chusteczki.

- To takie niesprawiedliwe z jego strony! Pieniądzy mi szkoda, jak sobie teraz poradzę... ale rozdzielenie mnie z Lewisem to już nadmiar okrucieństwa! - Zerknęła na Caroline. - Rozmawialiśmy trochę o przyszłości i oboje wiemy, jak ją sobie wyobrażamy. Naturalnie Lewis nie mógł formalnie mi się oświadczyć, skoro wuj Harley umarł i wszystko nagle stało się niepewne, ale teraz! - Pociągnęła nosem. - Tak długo czekaliśmy i na próżno.

- Może kapitan Brabant zlekceważy wolę ojca, jeśli żywi do ciebie silne uczucie. - Caroline czuła, jak te słowa więzną jej w gardle. Wolała o tym nie myśleć, ale należało brać pod uwagę także ewentualność, że Lewis zrezygnuje ze spadku, jeśli naprawdę kocha Julię. To nie był człowiek, który pozwala sobie dyktować, co ma robić, albo przejmuje się konwenansami. - Poza tym kapitan ma własny majątek i nie musi liczyć na spadek.

- Och. - Julia ciężko westchnęła. - Nie mogłabym wymagać od Lewisa tyle poświęcenia. Wybierać między miłością a obowiązkiem... Żaden człowiek nie powinien być skazywany na taki dylemat. A Lewis, owszem, ma własne pieniądze, ale w porównaniu z majątkiem ze spadku to jest po prostu nic! Musiałyby zacząć pracować, żeby

się utrzymać. - Skrzywiła się. - Och, to straszne! Nie, postanowiłam odejść. To jedyne wyjście. - Chwycała Caroline za rękaw. - Najdroższa Caro, pojedziesz ze mną, prawda? Zamieszkamy razem w małym domku i będzie nam cudownie.

Caroline nie wyobrażała sobie mniej pociągającej perspektywy. Szczególnie irytujące byłyby dla niej narzekania Julii na brak pieniędzy, bo przecież tysiąc funtów to więcej niż zarobek guwernantki przez całe jej życie.

- Muszę zarobić na siebie, Julio - zastrzegła się. - Wątpię, czy w nowej sytuacji będzie cię stać na utrzymanie damy do towarzystwa.

Julia poklepała ją po dłoni.

- Trochę jeszcze mi zostało do podziału. Poza tym jesteśmy przyjaciółkami. Zdecydowałam się. Wyjeżdżamy z Hewly za kilka dni. A teraz - odłożyła chusteczkę - przyslij mi tu Letty, bo trzeba zacząć pakowanie. Ciebie wezwę wkrótce, żebyś napisała mi listy.

Caroline zeszła na dół i zastała tam Lavender, żegnającą pana Churchwarda. Panna Brabant zamknęła za prawnikiem ciężkie drzwi i odetchnęła z ulgą.

- Dzięki Bogu! Napijesz się ze mną herbaty? Muszę z kimś porozmawiać. - Spojrzała uważnie na twarz Caroline. - Wielkie nieba, może i tobie przydałaby się powierniczka.

Gdy usadowiły się w salonie, Lavender zajęła się srebrnym imbryczkiem.

- Lewis z kapitanem Slaterem wybrali się na przejazd-

dżkę - powiedziała, mieszając herbatę. - Biedny Lewis, podejrzewam, że chciał mieć chwilę wytchnienia! Ojciec naprawdę zachował się jak potwór, chociaż ja się z tego cieszę. - Ostrożnie nalała herbaty do dwóch porcelanowych filiżanek. - Szczerze mówiąc, jednak nie rozumiem tej decyzji. Po co ojciec to zrobił? Wiem, że nie aprobował zakusów Julii wobec Andrew, ale to przecież jeszcze nie powód... - zawiesiła głos.

Caroline również to intrygowało. Nie była pruderyjna i nawet zastanawiała się, czy Julia nie jest nieślubną córką admirała, czyli przyrodnią siostrą Lewisa, bo to naturalnie wykluczałoby małżeństwo. Jednakże widziała medalion Julii z portretem ojca, a charakterystyczne rysy Beechamów było widać u obojga. Brak zgody na małżeństwo nie mógł więc być spowodowany więzami rodzinnymi, musiało zadecydować o nim coś innego. Julia nawet w swoich najgorętszych tyradach skierowanych przeciwko admirałowi nie wspomniała o pochodzeniu ani słowem.

- Lewis pytał mnie dziś rano, czy to prawda, że papa był przeciwko małżeństwu Julii z Andrew - ciągnęła Laverder, nadal marszcząc czoło. - A potem spytał mnie, co zaszło tego wieczoru, kiedy Julia przyjechała tutaj przed trzema miesiącami. Próbowałam odpowiedzieć najdokładniej, jak potrafię, ale tak bardzo nie lubię tajemnic! Mimo wszystko - twarz nieco jej się rozjaśniła - przynajmniej jednym nie muszę się dłużej martwić. Czy to bardzo brzydko z mojej strony, jeśli cieszę się, że Julia nie zostanie moją szwagierką?

Caroline starała się powściągnąć uśmiech.

- Moja droga Lavender! Czy rozważałaś już taką możliwość, że twój brat zrezygnuje dla Julii ze spadku? Wtedy zostaniesz dziedziczką Hewly, a do tego będziesz miała Julię za szwagierkę.

Lavender zasłoniła usta dłonią, ale szybko przyszyła do siebie.

- O, nie! Stanowczo nie chciałabym zostać właścicielką Hewly. Zresztą Lewis nie zrzeknie się majątku dla Julii!

- Może postawić wyżej miłość niż rodzinne obowiązki - zauważyła Caroline, z ciężkim sercem.

- Nie - zaproponowała Lavender, która najwyraźniej odzyskała pogodę ducha. - Lewis nie żywi do Julii dostatecznie silnego uczucia. W gruncie rzeczy - spojrzała na Caroline - nie sądzę, żeby w ogóle żywił do niej uczucie. Musi poszukać innej kandydatki na żonę.

Caroline nie wytrzymała badawczego spojrzenia Lavender i spłonęła rumieńcem.

- W okolicy jest mnóstwo panien na wydaniu, a kapitan Brabant ma do namysłu dwanaście miesięcy.

- Nie mów głupstw, Caroline! - Lavender uśmiechnęła się do niej. - Byłabyś idealną żoną dla Lewisa. Wiem, że on cię lubi. Czy można żądać czegoś więcej?

Caroline zaczerwieniła się jeszcze bardziej.

- Jesteś w błędzie, Lavender. Twój brat i ja nie pasowalibyśmy do siebie. Poza tym trudno nazwać mnie panną na wydaniu. No, i wkrótce wyjadę. Julia zamierza opuścić Hewly w ciągu kilku dni.

- Ale ty nie musisz z nią jechać. - Lavender pochyliła się ku niej z błagalną miną. - Proszę, zostań tutaj ze mną. Mnie też jest potrzebna dama do towarzystwa.

Caroline pokręciła głową.

- Nie mogę, Lavender. Napisałam list w sprawie innej posady.

- Z powodu Julii? O to nie musisz się martwić, jeśli zostaniesz tutaj.

- Nie tylko dlatego. - Caroline odstawiła filiżankę. - Są również inne powody.

- Chodzi ci o Lewisa, prawda?! - Lavender usiadła z zadowoloną miną. - Wiedziałam! Wiedziałam, że on ci się podoba!

Caroline czuła, że ma rozpalone policzki.

- Och, Lavender, przestań, proszę!

- Przepraszam. - Panna Brabant wydawała się zakłopotana. - Droga Caroline, nie będę nalegać, żebyś została, jeśli tego nie chcesz, i nie będę stawiać cię w niezręcznej sytuacji, ale - zawahała się - proszę, nie wyjeżdżaj z Julią. Jeśli musisz przyjąć inną posadę, zostań u nas, póki tego nie załatwisz. Obiecuję...

W głębi domu rozległ się dzwonek.

- To Julia - powiedziała beznamiętnie Caroline. - Chcę, żebym napisała jej kilka listów.

- Czy nie może napisać ich sama?! - spytała Lavender. Takiego wzburzenia Caroline jeszcze u niej nie widziała. Gdy panna Brabant wstała, omal nie przewróciła tacy na podłogę. - Doprawdy tracę cierpliwość, kiedy wi-

dzę, jak ona każe ci koło siebie skakać. Tak nie wolno! Idę porozmawiać z piastunką Prior. Ona będzie wiedziała, co zrobić.

Caroline westchnęła, poprawiła ustawienie tacy i sprzątnęła filiżanki. Nagle zaczęła się wahać. Bardzo chciała zostać w Hewly z Lavender, która była wspaniałą przyjaciółką, ale jej uczucia do Lewisa wykluczały taką możliwość. Poza tym Julia wciąż mogła zostać panią Brabant, gdyby Lewis zdecydował się nie przyjąć spadku. Tak czy owak, jej rola damy do towarzystwa Julii była zakończona.

Dzwonek odezwał się znowu, bardziej natarczywie. Caroline wygładziła suknię. Wiedziała, że nie ma innego wyjścia, jak przyjąć nową posadę. Powinna znaleźć się jak najdalej od Julii, Lavender, a przede wszystkim Lewisa. Wydawało się to rozsądne. I stosowne. I beznadziejne.

Gdy poradziła sobie ze niezliczonymi listami, dyktowanymi przez Julię, z bolącą ręką uciekła poszukać samotności w bibliotece. Jeszcze nie nadeszła pora kolacji, ale lampy były zapalone, nadciągał bowiem styczniowy wieczór. Czując dziwny niepokój, stanęła przy kominu i przez chwilę wpatrywała się w ogień. Steżała, gdy usłyszała, jak Lewis i Richard Slater wracają z przejażdżki, nie była bowiem pewna, czy za chwilę nie zajrzą do jej kryjówki.

Od czasu kłótni z Lewisem poprzedniego dnia jeszcze nie miała okazji go przeprosić, zresztą bardzo wątpiła, czy przeprosiny zostałyby przyjęte. Co za różnica? Lewis miał

na głowie ważniejsze sprawy niż głupi zatarg z damą do towarzystwa Julii. Na wszelki wypadek, gdyby jednak został mu on w pamięci, Caroline postanowiła unikać spotkań z Lewisem aż do swojego wyjazdu.

Głosy ucichły, więc odetchnęła z ulgą i podeszła do półek, szukając czegoś, co oderwałoby jej umysł od smutnych rozważań. Książki autorki *Rozważnej i romantycznej* nie wydawały się odpowiednie, wiernie portretowały bowiem udreki codziennego życia. Jej wzrok padł jednak na stare mapy majątku. Przypomniała sobie, że Lewis wspominał o planach ogrodów z okresu, gdy Hewly należało jeszcze do Percevalów. Może oglądanie starych planów pomoże jej zapomnieć o troskach.

Sięgnęła po pierwszą mapę. Przez moment nie dawała się zdjąć z półki, jakby zaczepiła o coś innego. Caroline przestała ciągnąć, żeby nie rozedrzyć starego pergaminu. Gdy wreszcie wyjęła kilka map naraz, stwierdziła, że są powkładane jedna w drugą, więc zaczęła je rozdzielać.

Nagle ze złożonej mapy coś wypadło. Pochyliła się nad podłogą. Był to nierówno złożony kawałek papieru z licznymi atramentowymi kleksami. Serce zabiło jej mocniej. Przypomniała sobie opowiadanie piastunki Prior o liście, który admirał pisał w wieczór, gdy zachorował. Może był to właśnie ten list, chociaż dlaczego miałyby się zaplątać między mapy, pozostawało zagadką. Caroline podniosła kartkę i obróciwszy ją w dłoniach, zobaczyła na górze znajome imię.

Mój drogi Lewisie!

Piszę do Ciebie w wielkim pośpiechu na wypadek, gdybym nie mógł już powiedzieć Ci tego osobiście...

Przejęta poczuciem winy, odwróciła wzrok i wsunęła list do kieszeni sukni. Ponownie złożyła mapy i wcisnęła je byle jak na poprzednie miejsce, przez cały czas gorączkowo zastanawiając się, co robić. Wyglądało na to, że nie ma wyboru. Chociaż nie dalej jak przed pięcioma minutami postanowiła unikać Lewisa, teraz musiała go poszukać.

Podeszła do kominka i pociągnęła za taśmę dzwonka. Lokajowi, który przyszedł, powiedziała, że prosi o spotkanie z kapitanem. W zaskakująco krótkim czasie służący wrócił.

- Kapitan Brabant przesyła pozdrowienia, panno Whiston, i niezwłocznie przyjmie panią w gabinecie. - Lokaj skłonił się i wycofał na korytarz, gdzie uprzejmie poczekał na Caroline, żeby pierwsza mogła zejść do holu. Caroline była zdenerwowana. Powtarzała sobie jednak, że tylko da Lewisowi list, a potem odejdzie. W ten sposób spełni swój obowiązek przekazania mu ostatnich słów panna admirała.

- Dzień dobry, panno Whiston. - Lewis wstał na powitanie i odczekał, aż lokaj wróci na korytarz. Wyraz twarzy miał nieprzenikniony. - Czy chciała pani ze mną mówić?

- Tak, ja... - Caroline była na siebie bardzo zła za to

zawahanie. Ostatnio, ilekroć znajdowała się w pobliżu Lewisa, stanowczość natychmiast ją opuszczała. Trudno jej było uwierzyć, że nie może znaleźć słów. Podeszła do niego i wyciągnęła przed siebie list.

- Znalazłam to dzisiaj, sir, przed chwilą, i uznałam, że należy to panu natychmiast przekazać. A teraz jeśli mogę odejść...

- Proszę usiąść. - Caroline nie była pewna, czy Lewis był na tyle zajęty swoimi myślami, że nie usłyszał jej prośby o pozwolenie odejścia, czy po prostu zignorował tę prośbę, w każdym razie zachował się całkiem jednoznacznie. Przycupnęła więc na samej krawędzi krzesła i czekała, aż Lewis przeczyta list.

- To jest pismo mojego ojca - powiedział, podniósłszy nagle głowę. - I pani znalazła ten list niedawno, panno Whiston?

- Był w jednej ze starych map majątku. - Caroline poczuła się nieswojo, jakby zawiniła wścibstwem. - Nie wiem, czy to ważny list, może mieć nawet kilka lat, ale ponieważ był zaadresowany do pana...

- Czytała go pani? - spytał ostro Lewis.

Caroline lekko się zarumieniła.

- Tylko tyle, żeby się dowiedzieć, czyją własność stanowi.

Kąciki ust Lewisa lekko się uniosły, poznał bowiem własne słowa.

- Rozumiem. - Szybko przebiegł wzrokiem resztę listu. - A więc nie ma pani pojęcia, jaka jest jego treść?

- Nie. - Caroline wytrzymała przenikliwe spojrzenie.
- Jak powiedziałam, nawet nie wiem, czy został napisany niedawno, czy przed kilkoma laty. Pomyślałam, że jest ważny tylko dlatego, że piastunka Prior opowiadała mi o liście, który pan admirał pisał w dniu, w którym zachorował. Zastanowiło mnie więc...

- ..czy to nie ten list? - Lewis dalej przyglądał jej się w skupieniu. - Proszę wybaczyć mi tajemniczość, ale to dziwne. Ciągłe giną jakieś listy w tym domu! Czy słusznie przypuszczam, że swoich dotąd pani nie odnalazła?

Caroline zaczerwieniła się.

- Tak, sir. Szukałam wszędzie, ale bez skutku. - Wstała. Wiedziała, że musi go przeprosić, a raźniej czuła się, stojąc.
- Kapitanie Brabant. Mam odczucie, że powinnam...

Lewis uniósł dłoń.

- Jeśli chce pani wspomnieć o nieporozumieniu, jakie zaszło między nami, to proszę tego nie robić.

- Ale... - Caroline patrzyła, jak Lewis zbliża się do niej, i przemknęło jej przez myśl, żeby znowu usiąść, ale wtedy poczułaby się jeszcze słabsza.

- Proszę mi pozwolić... To znaczy, chciałam przeprosić...

Caroline spojrzała Lewisowi w twarz i natychmiast zgubiła wątek. W niebieskich oczach odbijał się piękny uśmiech, który bardziej wymownie niż słowa przekonał ją, że kapitan jej przebaczył. Spuściła wzrok i z przerażeniem stwierdziła, że opiera dłoń na torsie Lewisa. Szybko ją cofnęła.

- Przyjmuję pani przeprosiny - powiedział cicho.
- Obojgu nam zdarzyło się zawinić błędnymi sądami. - Uśmiechnął się do niej tak, że aż zakręciło jej się w głowie. - W przyszłości musimy rozważniej wnioskować.

- Obawiam się, że będzie już niewiele okazji - zauważyła Caroline, odsuwając się od niego. - Za kilka dni mamy wyjechać z panią Chessford do Londynu - urwała, przypomniała sobie bowiem, że sytuacja Julii może się raptownie zmienić, gdyby Lewis jej się oświadczył.

- Owszem, Lavender powiedziała mi już, że nosi się pani z zamiarem opuszczenia Hewly. - Wciąż bacznie ją obserwował. - Czy mimo wszystko nie możemy namówić pani do pozostania? Moja siostra bardzo ucieszyłaby się, gdyby zamieszkała pani z nami nie jako dama do towarzystwa, lecz jako gość.

- Jesteście oboje bardzo uprzejmi - odparła Caroline, uważając na każde słowo i na wszelki wypadek odwracając wzrok. - Obawiam się jednak, że nie mogę przyjąć tej wielkodusznej propozycji.

- Czy w żaden sposób nie da się pani namówić? - Lewis ujął ją za rękę i bawił się jej palcami. - Byłoby dla pani wygodniej zostać tutaj, choćby tylko do chwili znalezienia nowej posady.

Caroline obawiała się, że za chwilę rozczuli się nad swoją niedolą. Prośby Lewisa, mimo że kryły się za nimi niestosowne powody, całkowicie ją rozbrajały.

- Niestety, już podjęłam decyzję. - Zdobyła się na wy-

muszony uśmiech. - Proszę mi wybaczyć. Naprawdę nie mogę zostać w Hewly. - Spróbowała uwolnić rękę.

- Jeśli z powodu Julii... - zaczął Lewis.

- Bardzo proszę. - Caroline zorientowała się, że jeszcze chwila i straci panowanie nad łzami. - Życzę wam obojgu szczęścia, ale nie mogę - urwała, bo i tak powiedziała już za dużo. - Proszę mi wybaczyć - odezwała się znów po chwili - muszę już iść. - Wybiegła z pokoju, zanim Lewis zdążył zadać jej następne trudne pytania.

Tego wieczoru zaczął padać śnieg. Muskał szyby i cicho osiadał na ziemi, a drzewa ozdabiał białymi czapami. Caroline stała przy oknie sypialni. Patrząc na wirujące płatki niesione wiatrem, zadrżała nieznacznie, gdy przypomniła sobie nocną wędrówkę po lesie. Niespokojna była zresztą przez cały poprzedni dzień. Miała takie wrażenie, jakby wszyscy w domu czekali, aż coś się wydarzy, choć nie wiedziała co. W końcu oddaliła od siebie tę myśl, ale i tak nie była dostatecznie zmęczona, by zasnąć.

Zegar właśnie wybił pierwszą, gdy usłyszała skrzypnięcie deski na korytarzu przed drzwiami. Była to dość dziwna pora na chodzenie po domu, przyszło jej więc do głowy, że może Lavender potrzebuje towarzystwa, bo też nie może zasnąć. Cicho otworzyła drzwi. Ciemne schody prowadziły na parter, majaczyła na nich postać. Gdy jeden ze stopni żałośnie jęknął, Caroline zmartwiała. Cóż to za widmo stawia tak ciężkie kroki? Może takie, które ukradło jej listy?

Wyślizgnęła się z pokoju i bezszelestnie zamknęła za sobą drzwi. W korytarzu panował niezmacony spokój. Przystanąła na chwilę. Z dołu dobiegł ją odgłos kroków na kamiennej posadzce. Owionął ją lekki podmuch, który świadczył o tym, że otwarto jakieś drzwi. Zaintrygowana, zaczęła ostrożnie schodzić śladem postaci, którą wcześniej zauważyła. Mrok w sieni utrudniał poruszanie się, ale Caroline odniosła wrażenie, że zauważyła migające światełko w szparze drzwi prowadzących do pomieszczeń służby. Zawahała się, nie wiedziała bowiem, czy ma sprawdzić, kto tam się czai, czy poczekać, aż wyjdzie do sieni. Niewątpliwie jednak komuś zależało na zachowaniu swojej obecności w tajemnicy, bo światełko było bardzo wątle, a dookoła panowała cisza.

Caroline położyła dłoń na gałce drzwi i już miała ją przekręcić, gdy nagle spłoszył ją dźwięk z głębi korytarza. Ktoś wychodził z gabinetu. Nie osoba, która trzymała świecę, bo ogień w szparze wciąż migotał, ale ktoś równie ostrożny i unikający świadków. Nie zastanawiając się długo, Caroline otworzyła drzwi po swojej lewej ręce, szukając kryjówki. Znalazła się w bibliotece.

Zasłony nie były zaciągnięte, a w pokoju panował półmrok, za oknami bowiem światło księżyca odbijało się w śniegowej pokrywie. Odruchowo podeszła do okna i pociągnawszy za aksamitny sznur, znalazła sobie miejsce za ciężką draperią. Zdawało jej się, że słyszy zbliżające się do drzwi kroki, stukające na kamiennych płytach w sieni. Nagle pomyślała, że zachowuje się lekkomyślnie.

Włóczy się po ciemku i nawet nie ma broni. Już miała wyjść zza draperii i wziąć ciężki lichtarz, gdy dobiegł ją odgłos z progu, a potem cichy trzask zamykanych drzwi.

Chociaż Caroline niczego więcej nie usłyszała, szósty zmysł podpowiedział jej, że nie jest już sama. Skuliła się przy oknie, lecz mimo to była pewna, że osoba, która stoi przy drzwiach i czeka, musi słyszeć jej przyśpieszony oddech. Tłumacząc sobie, że nie grozi jej żadne niebezpieczeństwo, że nie jest głupią panną, którą przerażają strachy z tanich powieści, dzielnie się wyprostowała. Postanowiła poczekać jeszcze chwilę, uspokoić nerwy, a potem raptownie odsłonić draperię i stanąć oko w oko z człowiekiem, który się tu wkradł.

Ledwie zdążyła o tym pomyśleć, ktoś szarpnął za draperię z drugiej strony. Chwilę potem spojrział na nią z bardzo bliska najwyraźniej wściekły Lewis Brabant.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Co, u diabła... - Lewis urwał i przeczesał włosy dłonią, jakby wierzył, że w ten sposób przynajmniej częściowo rozładuje złość. - Co, u licha, tu robisz, Caroline?

- Co robię?! Co pan tu robi? Omal nie umarłam przez pana ze strachu.

Ktoś jeszcze poruszył się w mroku i Caroline z trudem powstrzymała krzyk. Lewis zasłonił jej usta dłonią.

- Cicho, to tylko Richard.

Kapitan Slater stanął w miejscu oświetlonym przez księżyc i przykładowie się skłonił.

- Do usług, panno Whiston.

Caroline omal nie parsknęła śmiechem. Stali w ciemnej bibliotece w środku nocy i szeptem wygłaszali kwestie jak z kiepskiej sztuki.

- Co robił pan wcześniej w pokojach dla służby? - spytała cicho. - Widziałam...

- To nie byliśmy my - wpadł jej w słowo Lewis i urwał, bo Richard położył mu dłoń na ramieniu.

- Nie ma teraz czasu na tłumaczenia, przyjacielu. Nadchodzą.

Po drugiej stronie drzwi rozległ się hałas. Wywarł on

natychmiastowy skutek. Lewis schował się obok Caroline, a Richard znalazł podobną kryjówkę za sąsiednią draperią. W ostatniej chwili. Zaraz potem drzwi biblioteki się otworzyły i w pokoju zabłyśła świeca.

- Chodź tu, głupia!

Gdy rozległ się ten napięty szept, Caroline obserwowała już okolice drzwi przez szparę między draperiami. Pierwsza z wchodzących osób bez wątpienia była zniecierpliwiona.

- Mamy niedużo czasu! Ostatnio doszłam tylko do tego starego nudziarza Szekspira. Ale masz kapuścianą głowę! Dlaczego nie pamiętasz, gdzie go schowałaś?

Druga postać wymamrotała coś niewyraźnie.

- Skończ z tym żałosnym skomleniem, dziewczyno! Czas ucieka.

Wbrew sobie Caroline uśmiechnęła się. Chwilę później Lewis odsłonił draperię i stanął pośrodku pokoju.

- Dobry wieczór, Julio - rzekł uprzejmie. - Może pomożemy ci w poszukiwaniach tego, co chciałabyś znaleźć?

Służąca Letty zaczęła przeraźliwie krzyczeć. Julia wymierzyła jej policzek.

- Cicho, głupia! Chcesz zbudzić cały dom?

- Trochę za późno na takie refleksje - zauważył Lewis. Wraz z Richardem Slaterem stanęli w kręgu światła rzucanego przez świece, a Caroline szeroko rozchyliła draperię. Julia, która patrzyła do tej pory to na jednego, to na drugiego mężczyznę z miną chłodno kalkulującej osoby, wlepiła wzrok w swoją damę do towarzystwa. Wyglądała tak, jakby chciała ją zabić.

- Co tu się dzieje? I co ona tu robi? Chyba nie przeszkodziłam w schadzce?

Caroline pochwyciła spojrzenie Julii.

- Usłyszałam hałas i poszłam za tobą na dół. Byłam ciekawa, co robisz.

- Naprawdę? - Julia wydawała się z każdą chwilą odzyskiwać pewność siebie. Wybrała najwygodniejszy fotel, usiadła i ułożyła fałdy sukni tak, by wyglądać jak najkorzystniej. Jasne loki lśniły w świetle świecy, podkreślającym również doskonałość profilu. Caroline poczuła obrzydzenie. Julia sprawiała wrażenie szczerzej, wiarygodnej osoby. Czy to możliwe, że chciała ich wszystkich oszukać i prawie jej się to udało?

Tymczasem Julia przeniosła wzrok z surowej twarzy Lewisa na Richarda Slatera, który polecił pociągającej nossem służącej usiąść, a sam stanął na straży przy drzwiach.

- Jakie miłe zgromadzenie - powiedziała słodko, znów zatrzymując wzrok na twarzy Lewisa. - Skąd ta ponura mina, mój drogi? Ja tylko szukałam książki, która pomogłaby mi zasnąć.

- A może raczej map majątku? - podsunął jej cicho Lewis. - Tych, w których twoja niezdarna, tu obecna współniczka - skinął głową w stronę Letty - ukryła ostatni list mojego ojca?

Służąca natychmiast wybuchnęła szlochem.

- Nie zrobiłam nic złego, sir! Myślałam, że... Pokłócili się, więc jeśli pan admirał zmienił testament...

- Siedź cicho, głupia! - syknęła Julia. Obdarzyła Le-

wisa najczulszym ze swoich uśmiechów. - Ta dziewczyna niczego nie rozumie. Mój najdroższy, pozwól, że wytłumaczę ci to w cztery oczy, a nie przy tych wszystkich ludziach.

Jeszcze raz zmierzyła pogardliwym wzrokiem Caroline.

- Doprawdy, nie rozumiem, po co nam widownia. Moje służące i twój przyjaciel! Odeślij ich stąd, wtedy wszystko sobie wytłumaczymy.

Caroline podeszła do służącej, zalewającej się łzami, objęła ją ramieniem i podała jej czystą chusteczkę do nosa.

- Nie zrobiłam nic złego, proszę pani - powtórzyła żałośnie. - Po prostu nie pamiętałam, gdzie włożyłam ten list.

- Nie przejmuj się, Letty - uspokajała ją Caroline. - List się znalazł i...

- Znalazł się? - Julia obróciła się w fotelu i przeszyła Caroline jadowitym spojrzeniem. - Za twoją sprawą, jak przypuszczam, ty intrygantko! I pomyśleć, że ci ufałam! Tymczasem cały czas zastanawiałaś się, jak mnie skompromitować. Wszyscy tutaj rozumiemy dlaczego. - Przeniósła wzrok z Caroline na Lewisa. - Nie wiem, co ona ci powiedziała, Lewisie, ale z pewnością chciała zadbać o swoje interesy. Przebiegle zbliżyła się do rodziny, zyskawszy przyjaźń Lavender.

- Dość tego, Julio! - Lewis powiedział to cicho, ale w jego głosie było coś takiego, że Caroline drgnęła, a Julia natychmiast zamilkła i zrobiła się czerwona na twarzy.

Tymczasem Lewis ciągnął: - Panna Whiston znalazła list i słusznie postąpiła, że mi go przyniosła, bo był przecież zaadresowany do mnie. Nie musisz więc już się martwić, że list zginął.

- Ech, co tam. - Julia nieznacznie wzruszyła ramionami.
- Szukałam go tylko dlatego, że pamiętam, jak wuj Harley pisał tamtego wieczoru, gdy się spotkaliśmy. Pomyślałam, że list może być ważny. Teraz wiem, że jest bez znaczenia.

- Moim zdaniem jest bardzo ważny - odparł Lewis z uśmiechem - choć może nie w taki sposób, jak sobie wyobrażasz. - Podszedł do kominka i oparł ramię o gzyms. - Ulży ci, gdy się dowiesz, że list nie zmienia postanowień testamentu.

Julia miała w tej chwili twarz, która mogłaby być studium niepewności. Dla niej słowa Lewisa najwyraźniej miały znaczenie, ale Caroline nie wiedziała, o co chodzi. Instynkt podpowiadał jej jednak, że Julia wcale nie szukała listu z tak altruistycznych pobudek, jak twierdziła. Sądziła zapewne, że admirał zawarł w Uście kodycył i chciał utrzymać to w tajemnicy. Było to jednak mało istotne, służąca i tak już ją pograżyła.

Julia znów lekceważąco wzruszyła ramionami.

- Cóż, cieszę się, że testament pozostaje aktualny, ale w zasadzie nie ma się czemu dziwić. To nawet nie była kłótnia, tylko mała różnica zdań.

- Czyżby? - Lewis spojrzał na nią surowo. - To chyba już twoje które?... piąte kłamstwo z rzędu. Na pewno nie pierwsze.

Caroline głośno zaczerpnęła tchu, ale Julia zachnęła się jeszcze głośniej. Twarz poczerwieniała jej z wściekłości.

- Jak śmiesz, Lewisie? Co chcesz przez to powiedzieć?

Lewis przestąpił z nogi na nogę. Wydawał się nie przejmować gniewem Julii.

- Skoro prosisz mnie o wyjaśnienia, to zacznę od początku. Pierwszy raz skłamałaś, kiedy powiedziałaś mi, że przyjechałaś do Hewly zaopiekować się moim ojcem. W rzeczywistości zjawiłaś się tu bowiem, zanim zachorował, prawda? Był jeszcze w pełni sił... przynajmniej przez kilka godzin.

Julia wyraźnie chciała uniknąć postawienia sprawy wprost.

- No, i co z tego? Wcale nie chciałam cię oszukać. Przyjechałam ze szczerym zamiarem zajęcia się wujem Harleyem. Przecież kochałam go jak córka.

- To ty tak twierdzisz. - Ton Lewisa przyprawił Caroline o ciarki. Letty również musiała zwrócić na niego uwagę, bo na chwilę podniosła głowę znad chusteczki i wtedy można było zobaczyć, że ma oczy niczym przerażony królik. Richard Slater stał nieporuszony na swoim miejscu.

Julia mieniła się na twarzy.

- Nie rozumiem, dlaczego miałabym dłużej wysłuchiwać tych niedorzeczności - odparła gniewnie. - Nigdy nie chciałam nikogo wprowadzić w błąd. Jeśli zapomniałam ci powiedzieć, że wuj Harley cieszył się dobrym zdrowiem, gdy przyjechałam...

- ..dlatego, że nie chciałaś tłumaczyć przyczyny jego nagłej choroby - dokończył za nią Lewis. - Ale do tego dojdziemy później. Najpierw poruszę kwestię twojego wymuszonego małżeństwa.

Caroline spojrzała na Julię z niedowierzaniem. W listach nie było mowy o przymusie, przeciwnie. Julia najpierw bezwzględnie zastawiła się na Andrew, a potem na Jacka Chessforda. W oczach Lewisa pojawił się cyniczny błysk.

- Może pamiętasz, Julio, że opowiedziałaś mi smutną, wzruszającą historyjkę o tym, jak ojciec próbował cię zmusić do małżeństwa z moim bratem - ciągnął bezlitośnie. - Podobno po śmierci Andrew ojciec postanowił zająć jego miejsce, bo chciał wzbogacić rodzinę o twój majątek. A ty, przestraszona taką perspektywą, wolałaś uciec z Jackiem Chessfordem.

Na chwilę pochwycił spojrzenie Caroline i wtedy wydawało się, że mówi prosto do niej.

- Wyznaję, że ta historyjka wstrząsnęła mną do głębi. Człowiek o pozycji mojego ojca, pozycji szanowanego człowieka, miałby chcieć tak wykorzystać swoją wychowankę, by musiała przed nim uciekać. Obrzydliwość! - Westchnął. - Naturalnie nie mogłem ojca spytać, czy to prawda, bo nie był już w stanie odpowiedzieć. Żyłem więc ze świadomością, że ta ohyda może być prawdą.

Julia nieznacznie poruszyła się w fotelu.

- Cóż, przepraszam za to, ale prawda musi wyjść na jaw!

- Zgadzam się - przyznał Lewis. - Co gorsza, testament ojca zdawał się potwierdzać tę wersję. Wyglądało na to, że ojciec chciał się na tobie odegrać za odrzucenie oświadczyn. Nie tylko zostawił ci mniejszą kwotę, niż się spodziewałaś, lecz w dodatku jednocześnie potępił pomysł naszego małżeństwa. Naturalnie wiedział, że kiedyś owinęłaś mnie sobie dookoła małego palca - Lewis znów zerknął na Caroline - i bez wątpienia obawiał się, że moje uczucia mogą odżyć, gdy zamieszkamy pod jednym dachem. Kazał mi więc dokonać wyboru między spadkiem a kobietą, którą kiedyś kochałem. - Wbił wzrok w ogień. - Tak wygląda jedna interpretacja wydarzeń. Ale jest jeszcze druga. Prawdziwa.

Zapadła cisza. Nawet Julia wydawała się nieco przestraszona.

- A prawda jest taka - powiedział cicho Lewis - że ty chciałaś poślubić mojego brata i ojciec nie miał z tym nic wspólnego. Ani cię nie namawiał, ani tym bardziej nie siał zgorszenia niestosownymi oświadczynami. Tego wieczoru, gdy wróciłaś do Hewly, pokłóciłaś się z nim i próbowałaś go zaszantażować, żeby wyłudzić od niego pieniądze. Tak go tym wzburzyłaś, że prawie natychmiast dostał ataku. Zdążył jednak napisać do mnie list.

Julia pobladła.

- Protestuję, Lewisie.

- Proszę bardzo. Wiem od pana Churchwarda, że admirał podarował ci przez lata niemało pieniędzy, a twój własny majątek wyczerpał się już dawno. Jack Chessford

był hazardzistą, prawda? Zdaje mi się, że i ty uległaś temu kosztownemu nałogowi.

Spojrzał na Richarda Slatera, który dotąd uparcie milczał.

- Wielu ludzi widziało, jak przegrywasz olbrzymie kwoty jednego wieczoru, Julio. Zwracałaś się do mojego ojca, żeby spłacił długi. Ostatnim razem ojciec odmówił ci pomocy.

- To ohydne kłamstwo! - Julia gorączkowo spoglądała to na Richarda Slatera, to na Caroline. - Oni chcą mnie oczernić! Twój tak zwany przyjaciel i moja dama do towarzystwa. - Wybuchnęła głośnym szlochem. - To jest podłe!

Lewis zachował powagę na twarzy.

- Richard nie chciał mi niczego wyjawić, musiałem mu najpierw opowiedzieć o swoich podejrzeniach. Co zaś do panny Whiston, to naprawdę nie zasługuje na twoje pojęcie.

Julia z wściekłością pociągnęła nosem.

- Nie mów o tej zdradzieckiej kreaturze!

- Ona złego słowa o tobie nie powiedziała - odparł Lewis i z uśmiechem spojrzał na Caroline. - Pozwól, że dokończę. Pokłóciłaś się z moim ojcem, i to bardzo. Gdy zorientowałaś się, że nie da ci pieniędzy, zagroziłaś mu, że rozpowszechnisz zniesławiającą go plotkę. Opowiesz wszystkim, że próbował cię zmusić do małżeństwa z Andrew, a potem sam chciał się z tobą ożenić, bo jest starym satyrem, który nadużywa swojej pozycji opiekuna i chce

cię wykorzystać. Ani słowo z tego nie było prawdą, ale historyjka wydawała się składna. Ojciec wpadł w gniew, a ty wybiegłaś z pokoju i postanowiłaś natychmiast wyjechać. Zanim zdążyłaś to zrobić, usłyszałaś, że powalił go atak choroby, która już się nie cofnie.

Odwrócił się. Gdy odezwał się znowu, jego głos brzmiał bezbarwnie.

- Postanowiłaś zostać w Hewly. To była wygodna kryjówka przed wierzycielami, poza tym wiedziałaś, że masz szansę co nieco odziedziczyć, w razie gdyby ojciec umarł, no, i Lavender powiedziała ci, że wracam do domu. Otworzyły się więc przed tobą różne możliwości. - Westchnął.
- Przez pewien czas nie wiedziałaś, że wieczorem po waszej kłótni ojciec zaczął coś pisać, ale w końcu ogarnęło cię straszne przeczucie, że mógł zmienić testament, aby całkowicie wykluczyć cię z grona spadkobierców.

Spojrzał na Letty, która siedziała bez słowa, ze spuszczoną głową.

- Nie miałaś jednak pojęcia, że twoja służąca postanowiła wykorzystać sytuację i schowała list. Zamierzała cię szantażować, ale w swoim czasie przekonałaś ją, że lepiej zrobi, jeśli połączy z tobą siły. Niestety, Letty zapomniała, gdzie schowała ten list, musiałyście więc przejrzeć wszystkie książki w całym domu, zresztą bez powodzenia.

Podszedł do stołu, wyjął list i położył go przy ręce Julii.

- A oto on. To ty byłaś tym niby-duchem, który wędrował po domu po śmierci mojego ojca. Miałaś jednak

całkiem przyziemny cel. Nie chciałaś stracić tej resztki pieniędzy, która została ci zapisana w testamencie.

Caroline wreszcie znalazła w sobie siłę, żeby się odezwać.

- Jeśli list nie zmienia testamentu, to co zawiera, kapitanie Brabant?

- Wątpię, czy ojciec zdążyłby formalnie zmienić testament, nawet gdyby powziął taki zamiar - odrzekł Lewis.

- Chodziło mu o co innego. Wpadł w gniew z powodu gróźb Julii i bardziej myślał o honorze niż o pieniądzach.

Chciał przede wszystkim przekonać mnie, że twoje oskarżenia, Julio, są fałszywe. Napisał, że gdybyś kiedyś próbowała oczernić go po śmierci, to z pewnością będziesz kłamać.

Napisał też, że chciałaś poślubić Andrew z własnej woli, co potwierdzają Lavender i pani Prior. Uciekałaś z Chessfordem, ponieważ doskwierała ci nuda, a Jack miał majątek, naturalnie zanim wszystko przegrał. A więc

- zakończył cicho - kłamstwa przestały czemukolwiek służyć. Nawet kradzież listów panny Whiston nie może cię już ocalić!

Caroline spojrzała na niego zdumiona, ale Letty, która wyraźnie straciła głowę, znowu wybuchnęła szlochem.

- Przepraszam panią! Spaliłam je wszystkie, tak jak mi kazała!

Caroline pokręciła głową.

- Nie szkodzi, Letty. Po tym wszystkim, co zaszło, to już nie ma znaczenia.

- Mój ojciec przejrzał cię, Julio, jeszcze przed śmiercią

Andrew - powiedział Lewis. - Tę dziwną klauzulę dodał do testamentu, chcąc wyperswadować mi małżeństwo z tobą. Niepotrzebnie się zresztą trudił. Dawno już nie słyszałem o równie obrzydliwym przykładzie dwulicowości i intrygantstwa, a podejrzeń nabrałem, jeszcze zanim wpadł w moje ręce jego ostatni list.

Julia zerwała się z fotela. Na policzkach wykwitły jej dwie ciemnoczerwone plamy.

- Skoro tak, kapitanie Brabant, to natychmiast opuszczę ten dom!

- Proszę. - Lewis zdawał się rozbawiony tym wybuchem. - Będę ci za to wdzięczny.

- Nie próbuj usunąć mojego nazwiska z testamentu! - syknęła Julia, kierując się do drzwi. - Mam prawo do tych pieniędzy choćby dlatego, że znosiłam przez tyle lat towarzystwo tego starego nudziarza, wuja Harleya. Co zaś do ciebie - zwróciła się do Caroline z taką furją, że Caroline aż drgnęła - to życzę ci szczęścia, intrygantko! Znajdę sobie kogoś lepszego niż jakiś tam były kapitan statku bez tytułu i z niewielkim majątkiem!

- Teraz chyba powiedziała prawdę - ucieszył się Lewis, gdy trzasnęły za nią drzwi. Spojrzał na kulącą się Letty. - Uciekaj stąd, dziewczyno - polecił. - Twoja pani potrzebuje pomocy przy pakowaniu. Jesteście podobne do siebie jak dwie krople wody.

Caroline usiadła bezsilnie w fotelu zwolnionym przez Julię. Zapadło milczenie.

- Może kieliszek wina - odezwał się kapitan Richard

Slater, podchodząc do kredensu. - Zdaje mi się, że wszyscy potrzebujemy czegoś na wzmocnienie.

- Ile ona ryzykowała! - powiedziała Caroline, wciąż zastanawiając się nad Julią i jej postępkami.

- Jest hazardzistką - skonstatował Lewis. - Ryzyko stało się częścią jej życia. Może zawsze było.

Caroline z wdzięcznością przyjęła kieliszek wina z rąk Richarda i upiła duży łyk. Po jej wnętrzu rozlało się przyjemne ciepło.

- To wstrętna sprawa, kapitanie Slater. Skąd pan wiedział, że Julia jest po uszy w długach?

Richard Slater wydał się zakłopotany.

- To, czego nie chciałem powtórzyć Lewisowi, opierało się wyłącznie na plotkach. Moja siostra Fanny była w Londynie podczas ubiegłego sezonu i powiedziała mi potem, że pani Chessford ostro gra i szuka bogatego męża. Wspomniała o niej prawdopodobnie tylko dlatego, że wiedziała o jej związku z rodziną Lewisa. - Wzruszył ramionami. - Zresztą przypomniało mi się to dopiero wtedy, gdy Lewis powiedział mi o liście admirała.

- A skoro mowa o listach... - Caroline spojrzała pytająco na Lewisa. - Jak pan się zorientował, że to Julia zabrała mi listy?

Lewis przeciagnał się i obdarzył ją leniwym uśmiechem.

- Moja droga Caroline, oskarżając mnie o kradzież, zapomniała pani o ważnym fakcie. Nie ja jeden wiedziałem o istnieniu tych listów. Była też Julia. Sama je prze-

cież napisała, więc znała ich treść. Kiedy wspomniałem jej o liście pozostawionym w *Marmion*, natychmiast zorientowała się, jaki to obciążający dowód. Przecież listy przeczyły wszystkiemu, co wówczas twierdziła. Dlatego je ukradła albo kazała to zrobić Letty.

Caroline pomyślała o szczerych zwierzeniach młodej Julii, która pisała, że zamierza porzucić Lewisa na rzecz Andrew Brabanta. Bez wątpienia pozostawało to w jasnej sprzeczności z historią, którą opowiadała ostatnio, i mogło jej bardzo zaszkodzić, gdyby wyszło na jaw.

Lewis przeniósł ciężar ciała na drugą nogę.

- Muszę wyznać, panno Whiston, że przeczytałem z tego listu w *Marmion* więcej, niż się przyznałem. To właśnie dlatego zacząłem mieć wątpliwości, gdy Julia próbowała mi wmówić, że nie chciała poślubić Andrew. - Odchrząknął i zacytował: - „Naturalnie Andrew jest starszy i kiedyś odziedziczy majątek admirała, a to stanowi o wiele ciekawszą perspektywę niż wiązanie końca z końcem, gdy ma się tylko dochody marynarza”.

- Och!-jęknęła Caroline.

- Muszę przyznać jej rację - stwierdził Richard Slater, szeroko się uśmiechając. - Pani Chessford robi wrażenie bardzo praktycznej kobiety. - Ziewnął. - Wybaczcie mi, ale jestem śmiertelnie zmęczony tym melodramatem. Do zobaczenia rano.

Dopił wino i wyszedł z pokoju. Zostawszy sam na sam z Lewisem, Caroline poczuła nagłe onieśmienie. Unikała jego wzroku.

- Myślę, że i ja pójdę się położyć, sir. Jest bardzo późno.

- Zdaje się, że pani lubi wędrować po domu w nocnej koszuli - stwierdził Lewis, przyglądając jej się w bardzo kępujący sposób. - Panno Whiston, chcę panią o coś spytać. To nie ma związku z tym, co przed chwilą się zdarzyło, więc mógłbym poczekać do rana, ale chyba brakuje mi cierpliwości.

Wstał i podniósł ją z fotela. Caroline, nieco oszołomiona, przyjrzała się jego twarzy.

- Słucham pana.

- Panno Whiston - Lewis nadal trzymał ją za rękę - darzę panią wielkim szacunkiem, o czym z pewnością pani wie. Poczytam więc sobie za honor, jeśli zgodzi się pani zostać moją żoną.

Caroline nie miała pojęcia, jak długo patrzyła na niego całkowicie osłupiała.

- Pan jest w gorącej wodzie kąpany, kapitanie Brabant - zdołała wreszcie wyjąkać. - Dopiero co oczyścił pan pole...

- A skoro się to stało, mogę dążyć do osiągnięcia godnego celu. Taki zamiar powziąłem już dawno. Pewnie powinienem jeszcze poczekać, ale nie mogę.

Przyglądał jej się w napięciu. Caroline odwróciła głowę, gdyż nie chciała zdradzić się z uczuciami.

- Jestem zaszczyczona pańskimi oświadczeniami - powiedziała niepewnie - ale potrzebuję czasu do namysłu.

Bądź co bądź, dziś wieczorem nasłuchałam się aż za dużo o pańskich względach dla zupełnie innej damy.

Lewis trochę się odprężył.

- Niech diabli wezmą te względy! - Potrząsnął jej ręką. - Chyba rozumie pani, że nie mogę znieść Julii! Och, przyznaję, że kiedyś byłem nią zauroczony. Młodzi, niedoświadczeni ludzie mają prawo do błędów w cielejących latach. Ona zawsze była zachłanna. Kiedy pierwszy raz wypływałem w morze, poprosiła mnie o podarek, który by jej o mnie przypominał. Ale mi się dostało, gdy dałem jej sznur pereł, a nie brylanty!

Caroline nie zdołała pohamować chichotu.

- Niestety, kapitanie, nie umie pan właściwie oceniać kobiet.

- Tym razem się nie mylę - zaprotestował.

- Pozostaje też problem pańskiego zachowania w niedawnej przeszłości - naciskała Caroline. - Widziano, jak obejmuje pan Julię, chociaż potem wszystkiemu pan zaprzeczył.

Lewis uniósł brwi.

- Moja droga Caroline. Już raz mi to pani wypomniała. Chyba muszę przyznać się do winy, jeśli stało się to wtedy, gdy Julia rzuciła mi się na szyję, gorzko płacząc. Nie miało to znaczenia, ale jeśli Lavender zauważyła... - Wzruszył ramionami. - Och, ona może jeszcze nie dostrzegać różnicy.

Zerknął na nią z ukosa.

- Może również pani mogłaby popełnić podobną omyłkę? Proszę pozwolić, że zademonstruję...

Uśmiechnął się do niej, a potem czule ją pocałował. Caroline przez chwilę się opierała, ale pokusa okazała się zbyt wielka. Rozchyliła więc wargi, a Lewis natychmiast skorzystał z okazji i pogłębił pocałunek. Cały świat zawirował jej przed oczami i nawet nie zdawała sobie sprawy z tego, że Lewis przyciąga ją do siebie, a ona obejmuje go za szyję. Wiedziała tylko, że jest jej dobrze. Taką rozkoszą można się długo napawać.

- Czekam na odpowiedź, Caro - szepnął Lewis. - Powiedz, że mnie poślubisz.

Przestał całować ją w usta, za to rozsyłał po całym jej ciele przyjemne dreszczyki, pieszcząc wargami ucho i jego okolice. Po chwili przesunął wargi niżej, do zagłębienia u podstawy szyi, potem jeszcze niżej, ku piersi, widocznej nad koronką koszuli nocnej. Caroline zaparło dech.

- Lewis, poczekaj. - Próbowała wyslizgnąć się z objęć. - Muszę pomyśleć.

- Musisz? - Lewis rozluźnił uścisk, ale tylko odrobinę. - Czy chociaż raz nie mogłabyś zapomnieć o rozsądku? Romantyczna panna Whiston, którą spotkałem w lesie, nie miała takich skrupułów.

Caroline roześmiała się. Jej uczucia w tej chwili nie miały nic wspólnego z rozsądkiem.

- Pan mnie wtedy wykorzystał.

- Cudowna myśl! Ale - wyczuł jej instynktowny ruch i tym razem ją puścił - godzina i miejsce rzeczywiście są

niezbyt właściwe. Wiem, że powinienem był poczekać z oświadczeniami. Dam ci czas do jutra na odpowiedź, ale pamiętaj, Caro - gdy spojrzała mu w oczy, zobaczyła w nich niezłomne zdecydowanie - nie próbuj mi odmówić. - Znów przyciągnął ją do siebie i pocałował namiętnie, choć krótko. - Teraz lepiej zrobię, jeśli pozwolę ci odejść.

Nadszedł ranek. Caroline leżała w łóżku i przyglądała się cieniom na suficie. Dziwaczne, białawe światło zalewało pokój zapewne dlatego, że spadł śnieg. Po nocnych emocjach zapadła w głęboki sen natychmiast, gdy się położyła do łóżka, nie miała więc czasu pomyśleć o zaskakujących nowinach dotyczących Julii ani tym bardziej o oświadczeniach Lewisa.

Dlaczego właściwie te oświadczenia wywołały wątpliwości? Caroline przewróciła się na drugi bok i westchnęła. Żywiła do Lewisa głębokie uczucie, i to prawie od dnia ich pierwszego spotkania. Uwierzyła mu, gdy powiedział, że Julia należy do przeszłości. Drzemiąca w nich namiętność była równie zagadkowa jak wybuchowa, ale o tym raczej nie należało myśleć, bo mogło to uczynić ją ślepa i głucha na wszystkie inne argumenty.

Znowu przewróciła się na drugi bok. Dotąd w jej życiu nie było miejsca na pożądanie, dopiero teraz zdała sobie sprawę, jak wielka to jest siła, jak bardzo ogranicza trzeźwość sądu i czyni człowieka bezbronny. Lewis z pewnością już nie kochał Julii, to wcale jednak nie zna-

czyło, że kochają, Caroline. I na tym właśnie polegał jej obecny problem.

Posmutniała. Lewis musiał się ożenić, aby wypełnić warunki postawione mu przez ojca w testamencie. Kto może być lepszym kandydatem niż będąca pod ręką dama do towarzystwa, kobieta bez oczekiwań, rozsądna, zwyczajna, gospodarna i umiejąca prowadzić dom? Taki konkretny obraz, niezakłócony czarem fizycznego pożądania, wydawał się dość ponury.

Nie znaczyło to naturalnie, że należy odrzucić oświadczyń. Caroline wstała, umyła się i zaczęła ubierać, ani na chwilę nie przerywając rozmyślań. Za taką okazję niejedna guwernantka lub dama do towarzystwa dałaby wszystko. A jej wystarczyło powiedzieć „tak”.

Popatrzyła w lustro, próbując zrozumieć, dlaczego jest jej tak ciężko z tą myślą. Ujrzała twarz noszącą wyraźne ślady zmęczenia. Powodów tego stanu nie trzeba było daleko szukać. Zakochała się w kapitanie Brabancie i pragnęła, by również on ją pokochał. Nie chciała zgodzić się na mniej, nawet gdyby miała to być fizyczna rozkosz, przyjaźń, dom... Pokręciła głową. Postępowała nierozsądnie. Przecież jeszcze przed kilkoma miesiącami nie mogła o tym wszystkim nawet marzyć, a teraz miała to na wyciągnięcie ręki. A jednak bez miłości Lewisa wydawało jej się to niewystarczające.

Caroline nie zdziwiła się, że Julia nie zeszła na śniadanie. Przy stole siedziała za to Lavender, której brat niewątpliwie zdążył krótko zrelacjonować nocne wydarzenia, bo była bla-

da i wydawała się wstrząśnięta. Lewis skończył jeść i wziął do ręki gazetę. Richard Slater z upodobaniem pochłaniał gigantyczną porcję cynaderek. Krótko mówiąc, wszyscy bardzo się starali zachowywać tak, jakby nic nie zaszło.

Caroline usiadła przy stole i bąknęła coś w odpowiedzi na pozdrowienia. Zdawała sobie sprawę z tego, że Lewis na nią patrzy. Widać było, że z trudem opanowuje niepokój. Zresztą jej nerwy też były napięte w oczekiwaniu zbliżającej się rozmowy. Pozwoliła, by nałożono jej grzanekę, ale wtedy apetyt całkiem ją opuścił.

Lewis odłożył gazetę i wstał.

- Panno Whiston, czy zechce pani dotrzymać mi towarzystwa, gdy tylko będzie to możliwe? Im szybciej, tym lepiej. Będę w gabinecie.

Zawahała się. Richard nadal jadł śniadanie, natomiast Lavender przyglądała się badawczo na zmianę to jej, to bratu. Skapitulowała.

Na miękkich nogach poszła za Lewisem do znajomego pokoju. Czekając na zamknięcie drzwi, splótła dłonie z nadzieją, że doda jej to odwagi.

- I co? - spytał cicho Lewis. Podszedł do niej i wziął ją za rękę. Niewiele brakowało, by wszystkie jej postanowienia wzięły w łeb, więc szybko się odsunęła.

- Kapitanie Brabant, jestem świadoma tego, jaki zaszczyt mnie spotkał, ale... - Spojrzała mu w oczy, natychmiast jednak odwróciła wzrok. - Niestety, muszę panu odmówić.

Lewis na chwilę znieruchomiał.

- Rozumiem. Czy zechce pani wyświadczyć mi uprzejmość i wytłumaczyć przyczynę takiej odpowiedzi?

Caroline przygryzła wargę. To było okropne, gorsze niż zniechęcanie nieszczęsnego pana Grizela, bo oświadczyni Lewisa odrzucała wbrew sobie.

- Wydaje się pani trochę zdenerwowana, panno Whiston. Proszę mi powiedzieć, w jaki sposób mógłbym pomóc.

Caroline spojrzała na niego zbolałym wzrokiem.

- Nie może mi pan pomóc, a już na pewno nie pomoże mi naleganie, bym wyjawiała przyczynę.

Lewis przesłał jej kpiący uśmiech.

- Wygląda więc na to, że muszę być okrutnikiem, bo bardzo chcę ją poznać, panno Whiston.

Uczucia wzięły górę nad Caroline. Tama pękła.

- Jest przynajmniej sto powodów, dla których nie powinniśmy się pobrać, kapitanie, i dobrze pan o tym wie. Najważniejszy to ten, że w myśl testamentu pańskiego ojca małżeństwo jest dla pana obowiązkiem. Chyba nie chce pan, by mi schlebiali to, że akurat jestem pod ręką.

- Do diabła! - Lewis wydawał się szczerze rozbawiony, co tylko zwiększyło irytację Caroline. - Moja droga, proszę, niech pani nie sugeruje, że oświadczyłem się z lenistwa komuś, kogo nie musiałem szukać. Takie założenie jest niechlubne dla nas obojga.

- Ale tak wszyscy pomyślą.

- Jakie to ma znaczenie? Ja tak nie myślę, a skoro już

to wiadomo, również pani może spokojnie szukać innych problemów.

- Są jeszcze inne powody - powiedziała natychmiast.
- Jestem, to znaczy byłam, damą do towarzystwa pani Chessford, wydaje się więc bardzo...

- Mam nadzieję, że następnym słowem nie jest „nie-stosowne”. - Przez chwilę Lewis wyglądał dość groźnie.
- Caroline, pani pochodzi z Whistonów z Watchbell Hall, więc o różnicach społecznych proszę nie wspominać, zwłaszcza że nawet gdyby nie wywodziła się pani z dobrej rodziny, dla mnie byłoby to całkowicie obojętne. Musi pani wymyślić coś innego.

- Będą okropne plotki.

Lewis wzruszył ramionami.

- Zawsze są. Niech sobie ludzie gadają.

- Poza tym pozostaje kwestia mojego wieku.

- Pani wieku?! - Lewis zdumiał się nie na żarty.

- Powinien pan ożenić się z kimś młodszym, bardziej... - Caroline urwała, zmieszana.

Lewis zdawał się nie wiedzieć, czy ma parsknąć śmiechem, czy wpaść w złość.

- To niedorzeczne. Jeszcze pani nie siwieje. Poza tym oszalałbym, gdybym musiał ożenić się z głupiutką debiutantką.

- Zdarzają się bardzo rozsądne młode panny - zaproponowała Caroline, ale Lewis przerwał jej wymownym gestem.

- Proszę, niech pani nie obraża mojej inteligencji podobnymi pretekstami. Rozumiem, że są jeszcze inne po-

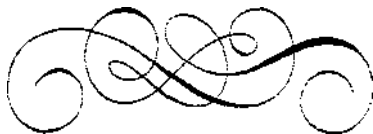
wody, których nie uważa pani za stosowne wyjawić. Ale cóż, mam wyjście.

Dwoma krokami znalazł się przy niej.

- Właściwym trybem postępowania na tym etapie nie jest odwoływanie się do rozumu, Caroline. - Objął ją w tali. - Wiem, że nie jestem pani obojętny, a jeśli chodzi o mnie, uważam panią za niezwykle atrakcyjną kobietę. Może pani dostać tyle czasu do namysłu, ile chce, ale proszę, poddaj się romantycznej części swojej natury i przyjmij moje oświadczenia.

Caroline rozpaczliwie jęknęła. Czuli, że słabnie, i w przenośni, i dosłownie. Lewis objął ją mocniej i zaczął całować. Zaraz jednak ku jej wielkiemu rozczarowaniu puścił ją i odsunął się.

- Pani nie chce mnie przyjąć, a ja nie chcę przyjąć pani odmowy - powiedział obojętnie. - I tak sprawy będą się miały, dopóki nie dojdziemy do takiego lub innego porozumienia, panno Whiston!



ROZDZIAŁ JEDENASTY

- A więc Julia wyjechała - powiedziała z zadowoleniem Lavender i odgryzła solidny kawałek biskopta upieczonego przez kucharkę. - Słyszałaś, Caroline, jakiego zamieszania narobiła? Zresztą prawdę mówiąc, nie zdroszczę jej podróży w taką pogodę.

Śnieg już nie padał, leżał jednak grubą warstwą, a miejscami zasy dochodziły do kilku stóp wysokości.

- Może nie dojechać do Londynu przed zmrokiem - ciągnęła Lavender, niezbyt jednak tym przejęta. - Wtedy będzie musiała poszukać noclegu po drodze. W każdym razie w domu jest bez niej dużo spokojniej.

Dziwne, ale była to prawda. Caroline również zauważyła, że nastroje domowników wyraźnie się poprawiły. Służba częściej się uśmiechała. Kukułka odleciała, nie podzuciwszy jaja.

- Mało mówisz - zauważyła nagle Lavender, obrzucając Caroline przenikliwym spojrzeniem niebieskich oczu, podobnym do wzroku brata. - Czy coś cię dręczy? To jest do ciebie niepodobne, żeby tyle milczeć i tylko słuchać mojej paplaniny.

Caroline pokręciła głową.

- Właściwie nie. To znaczy... - Przesłała Lavender niepewne spojrzenie. - Trochę niezręcznie się czuję, bo Julia wyjechała, a ja wciąż tutaj jestem. Muszę poczynić plany.

- Nie ma pośpiechu - uspokoiła ją Lavender, gestyku-
lując dłonią, w której trzymała kawałek ciasta. Odłożyła
go jednak na talerzyk, bo kilka okruchów upadło na dy-
wan. - Och, dama tak się nie zachowuje. Chyba jestem
trochę za duża na twoje lekcje, jak myślisz? Bo mogłabyś
tu zostać jako guwernantka, nie jako dama do towa-
rzystwa.

Caroline uśmiechnęła się, lecz jednocześnie zmarsz-
czyła brwi.

- Och, Lavender, już rozmawialiśmy na ten temat.

- Wiem. - Panna Brabant westchnęła. - Nie rozu-
miem, dlaczego nie mogę cię namówić. O, właśnie, przy-
pomniałam sobie. - Zaczęła grzebać w kieszeni. - Mam
dla ciebie list. Może dostaniesz dobrą wiadomość, na którą
tak czekasz.

Caroline z drżeniem serca wzięła list do ręki. Poznała
pismo lady Covingham i nagle przestała być pewna, czy
chce zostać, czy wyjechać. Niecierpliwie rozpieczętowała
przesyłkę.

- Czy coś się stało? - spytała Lavender chwilę później*
nie spuszczać wzroku z twarzy Caroline. - Wydajesz się
rozczarowana...

- Tak... nie... nie wiem. - Caroline zebrała myśli
i uśmiechnęła się do Lavender. - Lady Covingham pisze,

że rodzina, którą miała na myśli, już przyjęła guwernantkę, więc nie będzie potrzebować moich usług. Obiecała dalej szukać posady, którą mogłabym objąć, ale... - Caroline zawiesiła głos. - Och, nie szkodzi. Po prostu muszę zmienić plany.

- Kapitalnie! - Lavender klasnęła w dłonie i zignorowała marsową minę, którą Caroline skwitowała to słowo. - Możesz wobec tego jeszcze u nas pobyc. To da Lewisowi szansę - urwała i zasłoniła usta dłonią. - Ojej... - Zerknęła na Caroline. - Ech, to i tak była powszechnie znana tajemnica.

- Czyżby?! - rozżłościła się Caroline. - Brat z tobą o tym nie rozmawiał?

- A skądże - obruszyła się Lavender. - On nigdy by tego nie zrobił. Ale każdy, kto ma trochę rozumu, widzi, że podobasz się Lewisowi. Czasem kiedy na ciebie patrzy...

Caroline uniosła brwi i uznała, że nie jest to odpowiednia chwila na tłumaczenie różnicy między pociągiem fizycznym a miłością. Twarz Lavender przybrała nagle wyraz rozmarzenia.

- Chciałabym... - urwała. - Och, wiem, że to nie moja sprawa, Caroline, ale jeśli odrzuciłaś oświadczyzny Lewisa tylko dlatego, że twoim zdaniem jemu chodzi wyłącznie o wypełnienie postanowień testamentu, to grubo się mylisz. Dla mnie jest oczywiste, że on cię kocha, a wiem, że i ty darzysz go uczuciem.

Caroline uśmiechnęła się dość smutno.

- To jeszcze nie wszystko, wiesz, Lavender? Tylko po-

myśl, jak ludzie zaczęliby gadać. Kapitan i dama do towarzystwa.

- A niech gadają! - odparła Lavender. - W każdym razie mylisz się również, jeśli sądzisz, że w sąsiedztwie wasze małżeństwo nie miałyby poparcia. Nie dalej jak w zeszłym tygodniu pani Perceval powiedziała mi, że jesteś urocza tak samo jak twoja mama, i należy mieć nadzieję, że spędzisz w Hewly więcej czasu, niż początkowo zamierzałaś.

Caroline uniosła brwi.

- No cóż.

- Pomyśl o tym. - Lavender poklepała ją po dłoni i nagle jej słowa zabrzmiały dziwnie dorośle. - W moim przekonaniu dojdiesz do wniosku, że większość twoich obiekcji nie ma racji bytu.

- Może rzeczywiście - przyznała Caroline, wstając. - Pójdę na spacer i spokojnie się zastanowię. Muszę trochę przewietrzyć głowę.

- Tylko nie odchodź za daleko! - zawołała za nią Lavender. - Belton mówi, że znowu będzie padał śnieg.

Ogrody pod śniegowym przykryciem wyglądały zupełnie inaczej. Gałęzie drzew z białymi czapami ciężko zwiślały. Słońce oślepiało. Śnieg chrząścił pod trzewikami Caroline, która włożyła gruby zimowy płaszcz, ciepły szalik, rękawiczki i... szkarłatną aksamitną suknię, bo jeśli miała podjąć najważniejszą decyzję w życiu, chciała zrobić to z klasą.

Słońce odbijało się w tafli lodu, który skuł rzekę Little Steep, a Caroline szła przed siebie, pogrążona w zadumie. Lavender prawdopodobnie miała słuszość, jej obiekcje są bezsensowne. Byłaby dobrą panią Hewly, kocha Lewisa, a jeśli również on ją kocha... Cóż, miała tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać. Musiała go spytać. Wyprostowała się. Trochę się tego bała, ale trudno. Postanowiła dobrze przygotować się do rozmowy, należało bowiem postępować rozsądnie i racjonalnie. No, i zostawić sobie furtkę, by móc godnie się wycofać i rozważyć alternatywny plan w razie, gdyby odpowiedź była nie po jej myśli.

Na głowę kapnęła jej kropla z topniejącego sopła. Caroline drgnęła i rozejrzała się dookoła. Zdziwiona stwierdziła, że zaszła głęboko w las. Pod drzewami kładły się niebieskawe cienie i powoli zbliżał się zmierzch. Rozejrzała się w poszukiwaniu ścieżki, ale zewsząd otaczał ją śnieg. Zobaczyła tylko swoje ślady. Zawróciła więc i poszła z powrotem drogą, którą tu dotarła.

Pół godziny później wciąż jednak nie widziała skraju lasu, musiała więc pogodzić się z myślą, że zabłądziła. Robiło się coraz ciemniej, a co gorsza, tak jak przepowiedział Belton, znów zaczął padać śnieg, który zacierał jej stare ślady. Była bardzo na siebie zła. Co za brak rozwagi, żeby wejść tak głęboko w las i ani razu nie pomyśleć o powrocie! Rozglądała się całkiem zdezorientowana. Walcząc z ogarniającą ją paniką, zaczęła kluczyć między drzewami, musiała jednak uważać na korzenie sterczące

z ziemi. Brnęła przed siebie, głodna i zmęczona. Nogi miała przemarznęte, dół płaszcza mokry.

Straciła już nadzieję na ocalenie, gdy natknęła się na chatę. Schronienie było bardziej prymitywne niż to, w którym ukryła się w dniu przyjazdu Lewisa, ale na szczęście dach i ściany były całe. Gdy wpadła na coś po wejściu do środka, zorientowała się, że jest nawet proste umeblowanie, mimo że nikt tu w tej chwili nie mieszkał. Znalazła ogryzek świecy w misce, suche drewno na kominku, dzbanek wody i długą pryczę pod ścianą, a także kilka innych przedmiotów.

Zamknęła drzwi, żeby do środka nie dostawał się śnieg, i doszła do stołu. Za czwartą próbą udało jej się zapalić świecę leżącym obok krzesiwem. Okazała się łojowa i wydzielała mocny, drażniący zapach, ale Caroline to nie przeszkadzało. Rozpaliła ogień w kominku, po czym zdjęła przemoczone płaszc i suknię. Kucnęła w koszuli przy ogniu, ponownie okryła się płaszczem i próbowała rozgrzać zmarznęte ciało.

Wyglądało na to, że chata służyła drwalom, a może nawet kłusownikom. Caroline uznała za wysoce nieprawdopodobne, by kłusownicy wędrowali po lesie w taką noc, liczyła więc, że spokojnie dotrwa w chacie do rana. Wprawdzie było tu niewygodnie, a przez szpary dostawały się do środka zimne powiewy, ale przynajmniej miała gdzie schronić się na noc. Rano ktoś mógł ją znaleźć, a jeśli nie, to sama powinna poszukać powrotnej drogi. Pomysłała z poczuciem winy o Lavender, która ostrzegała ją

przed odchodzeniem zbyt daleko, i teraz pewnie umierała z niepokoju. Lewis prawdopodobnie wpadnie we wściekłość. Nie było już na to rady. Powoli się rozgrzewała, a to spowodowało na nią senność. Wreszcie przygasiła ogień, tak by się tylko żarzył, położyła się na pryczy i najciaśniej jak umiała, otuliła się płaszczem. Zdmuchnąwszy świecę, prawie natychmiast zapadła w sen.

Nie miała pojęcia, ile czasu minęło, nim się ocknęła. Wciąż było ciemno, ale przed chatą usłyszała zgrzyt metalu o kamień. Natychmiast usiadła, bardzo przestraszona. Jeśli znalazła się w kryjówce kłusowników, w dodatku siedzi na łóżku w bieliźnie w środku nocy... Takie myśli kłębiły jej się w głowie, gdy drzwi otworzyły się z głośnym trzaskiem. Na progu stanął Lewis Brabant. Widać było, że jest wściekły. Wysoko w jednej ręce trzymał lampę od powozu, płonąca w środku świeca rozrzucała krąg światła. Za jego plecami wirowały białe płatki. Lewis wszedł do chaty, zamknął za sobą drzwi i otrząsnął śnieg z peleryny. Caroline wreszcie odzyskała głos:

- Lewis! Dzięki Bogu, że to ty! Już straciłam wszelką nadzieję!

Jej słowa wcale go nie ułagodziły. Wciąż miał taką minę, jakby chciał ją zamordować.

- Naprawdę? Wydaje się pani całkiem zadowolona, podczas gdy wszyscy domownicy szukają cię po okolicy.

Potoczył wzrokiem po pomieszczeniu, zatrzymując go na kominku, prymitywnej pryczy, a wreszcie na Caroline, której opadające na ramiona włosy, wysychając, poskrę-

cały się na końcach. W jego oczach pojawił się dziwny wyraz, który bardzo zmieszał Caroline. Chciała wstać, ale przypomniała sobie, że ma na sobie tylko koszulę, więc ciałniej otuliła się płaszczem.

- Musiałam się tym zadowolić, póki nie nadejdzie pomoc - powiedziała pośpiesznie - ale skoro już pan tu jest, możemy wrócić do domu.

Spojrzał na nią tak, że zrobiło się jej gorąco. Zdjął pelerynę i rozłożył ją przy ogniu, obok sukni Caroline. Potem podsycił żar, tak że znowu po drwach zaczęły skakać płomienie.

- Wrócić do domu? Chyba oszalałaś, Caroline, jeśli sądzisz, że z powrotem wyjdę na tę śnieżycę. - Usiadł na krawędzi pryczy i chwycił ją za ramiona. - Wysłałem resztę ludzi do domów i sam też już zamierzałem zrobić to samo. Czy masz pojęcie, Caroline, co myśmy przeszli? Szukaliśmy cię wszędzie, nawoływaliśmy, próbowaliśmy znaleźć ślady. Omal nie straciłem nadziei! - Potrząsnął nią. - Skoro już tu jestem, nie ruszę się, dopóki śnieg nie przestanie padać. I ty też się nie ruszysz!

Płaszcz zsunął jej się z ramion. Natychmiast skrzyżowała ramiona na piersiach.

- Ale nie możemy tutaj zostać - zaczęła, uciszyło ją jednak gniewne spojrzenie Lewisa. Zrozumiała, że jest znacznie bardziej zły, niż jej się początkowo zdawało.

- Niech się szanowna pani nie sprzeciwia! - powiedział lodowatym tonem. - Zaraz powiesz mi, że nasza obecność tutaj jest wysoce niestosowna. O tym trzeba by-

ło pomyśleć, zanim wybrałaś się Bóg wie dokąd i naraziłaś nas na tyle trudu i niepokoju! - Znowu wezbrał w nim gniew. - Wielki Boże, powinnaś wiedzieć, że w tych lasach kręcą się kłusownicy.

- Na pewno nie dziś wieczorem - odparła Caroline, nie mniej zirytowana.

- Pewnie, że nie! - Lewis wstał, żeby dołożyć drewna do kominka. - Nie ma mowy! Nikt inny nie byłby taki głupi! Co za pomysł? Dlaczego chciałaś uciec przede mną? Jeżeli moje oświadczyły tak bardzo ci się nie odpowiadały, wystarczyło mi to oznajmić. Dłużej bym nie należał.

Caroline zmarszczyła czoło.

- Wcale nie chciałam uciec. Jak możesz podejrzewać takie niedorzeczności? Wyszłam na spacer i przypadkiem zabłądziłam.

- Hm. - Lewis nieco złagodniał. Wyprostował się. Ogień płonął teraz znacznie jaśniej, a na ścianach chaty igrały cienie. Caroline się skuliła.

- Zajmij miejsce blisko ognia - powiedziała sennie.
- Skoro mamy tu przesiedzieć do rana, to musisz wy-począć.

- Dziękuję! - Lewis usiadł na krawędzi pryczy i energicznie ściągnął buty. Jeden po drugim z hukiem uderzył w drzwi i opadły na podłogę. - Wyznam, że spać nie chce mi się ani trochę.

Caroline, która już miała zamknięte oczy, szybko je otworzyła. Zdażyła jeszcze zobaczyć, jak Lewis ściąga

surdut, a potem koszulę. Głośno syknęła, bardzo spłoszona.

- Lewis, ja tylko chciałam...

- Słucham? - Nagle odwrócił się do niej. - Co chciałaś, Caroline? O ile wiem, dałaś mi słowo, że więcej nie będziesz oddalać się sama od Hewly. A teraz znalazłem cię w środku lasu, wśród zasp.

Caroline, bardzo onieśmielona bliskością półnagiego mężczyzny, naparła plecami na ścianę chaty.

- Ja tylko... Chciałam trochę pomyśleć... Wzięłam z sobą tomik wierszy...

Lewis powoli przesunął wzrok po jej twarzy, szczególnie wiele uwagi poświęcając zarumienionym policzkom i orzechowym oczom. Potem przewędrował nim do nagiętych ramion i płaszcza, którym Caroline desperacko próbowała się osłonić. Wreszcie spojrzał na szkarłatną suknię, rozwieszoną na krześle przy kominku. Uśmiechnął się, ale Caroline wcale nie poczuła się przez to swobodniej, bo był to bardzo drapieżny uśmiech.

- No, no, no - powiedział rozbawiony. - A więc postanowiłaś iść na spacer w wieczorowej sukni po śniegu. I pomyśleć, że tak długo czekałem, aż twoje romantyczne skłonności wezmą górę, a kiedy wreszcie się to stało, omal nie straciliśmy przez nie życia! Mimo wszystko muszę rzyznąć, że jestem zadowolony.

Caroline uzmysłowiła sobie, że nie ma już gdzie się odsunąć. Za sobą miała ścianę, w dodatku niezbyt szczelną, więc czuła na plecach lodowate podmuchy. Próbowała

przybrać obronną pozycję, ale Lewis był dla niej za szybki. Pochylił się i nagle znalazła się pod nim. Jeszcze próbowała się wywinąć.

- Lewis, co...

Więcej nie zdążyła powiedzieć, bo wycisnął na jej ustach pocałunek. Ogarnęło ją rozkoszne ciepło i ekscytujące mrowienie. Język Lewisa wdarł się bezlitośnie do jej ust i uniemożliwił protesty. Doznania były coraz intensywniejsze, pocałunek coraz bardziej namiętny.

Na chwilę otrzeźwiała, gdy Lewis nagle ją puścił. Zorientowała się, że zdejmuje resztę ubrania. Gra światła i cieni na jego muskularnym ciele była wspaniała. Przyglądała się zafascynowana temu widowisku i nie mogła oderwać oczu.

- Lewis - szepnęła - czy to jest naprawdę konieczne?

Jego cień pochylił się i przez chwilę przypominał kształtem sokoła. Znowu złączyli się w pocałunku.

- Tak, moja droga Caro. To jest absolutnie konieczne. - Głos Lewisa miał ochryple brzmienie. - Tymczasem powiem ci jeszcze wszystko, co powinnaś wiedzieć. Zarezerwowałem termin w kościele na sobotę rano, czyli na pojutrze. W każdym razie sprzeciwów nie przyjmuję. Na ślub mam specjalną licencję. A jeśli wciąż myślisz, że cię nie kocham...

Caroline szeroko otworzyła oczy.

- Kochasz mnie? Nie wiedziałam...

- Czy ty jesteś całkiem szalona? - Przez chwilę wydawało się, że Lewis znowu wpada w złość. - Jak bardzo oczywiste to musi być?

Caroline nie odpowiedziała, bo pocałował ją znowu. Czowała pod palcami jego ciepłe ciało, bardzo intrygujące, miała bowiem wrażenie, że jest zarazem twarde i miękkie. Pogłaskała go po torsie i usłyszała westchnienie. Lewis ułożył się obok niej na pryczy.

- Myślałam, że ożeniłeś się ze swoją łajbą - powiedziała w końcu i spojrzała w jego niebieskie oczy, do których miała teraz tak blisko. - O ile pamiętam, była dzielna i gotowa na każde ryzyko, byle tylko wyjść zwycięsko z próby.

- Taka była. I dlatego przysiągłem, że się nie ożenię, póki nie znajdę kobiety, która jej dorówna.

Levis zsunął z Caroline okrywający ją płaszcz i dotknął koronek koszuli. Wstrzymała oddech, a on zręcznie zaczął rozwiązywać tasiemki.

- Protestuję, Lewis. Robiłeś to wcześniej.

Roześmiał się.

- Co? Czyżbyś uważała mnie za hulakę? Zasadnicza panna Whiston nigdy nie zawrze rozejmu z hulakami.

Pochylił się nad jej piersią i Caroline wydała cichy okrzyk, a zaraz potem podsunęła do pieszczot drugą. Ogarniały ją zupełnie nowe doznania, gwałtowne i obeszładniające.

- Surowa panna Whiston - głos Lewisa był bardzo schrypnięty, a jego dłonie poznawały jej nagie ciało - nigdy nie pozwoliłaby sobie na takie niestosowne zachowanie. - Zsunął jej koszulę. - Bez wątplenia byłaby przerażona samą myślą o takim niewłaściwym zachowaniu. -

Okrył pocałunkami jej szyję, a gdy dotarł aż do piersi, Caroline mogła już myśleć tylko o pragnieniu, które się w niej obudziło.

- Czy wiesz, jak bardzo czekałem na to, aż odnajdę moją uroczą Caro? - spytał cicho. - Wiedziałem, że ona po prostu się ukryła, ale skoro nareszcie jest, to nigdy więcej nie pozwolę jej odejść.

- Lewis - Caroline nie bardzo mogła się skupić, ale miała jeszcze ważną sprawę do załatwienia - czy powiedziałam ci już, że cię kocham?

Zobaczyła w jego oczach błysk triumfu.

- Kochana Caro.

Objęła go z całej siły. Przyjemnie było dotykać jego pleców i przyciągać go do siebie. Gdy znowu splekli się w pocałunku, zdawało jej się, że pragnienie za chwilę ją spali.

- Lewis, proszę.

- Och, panno Whiston. - Niby spoglądał na nią kąpiąco, ale w jego spojrzeniu tlił się żar. - Przyjemności nie należy zanadto przyśpieszać.

- Później - szepnęła Caroline, prężąc nagie ciało. - Później możesz się nie śpieszyć.

Usłyszała jeszcze jego śmiech i była to ostatnia świadoma myśl, zanim porwał ją wir doznań. Nie myślała już o konwenansach ani o stosownym zachowaniu. Surowa panna Whiston bezpowrotnie odeszła w zapomnienie.

W chacie było zimno, więc Caroline wtuliła się mocniej w ciepłe, męskie ciało. Lewis poruszył się nieznacznie i przygarnął ją do siebie, tak że policzkiem dotknęła wgłębienia przy jego obojczyku.

- Lewis, mówisz, że pojutrze mamy się pobrać?
- Jutro. Już minęła północ - odparł sennie.
- Ale jeszcze nie przyjąłem twoich oświadczeń. - Rysowała mu palcami jakiś wzorek na torsie. Gdy pochyliła się nad jego twarzą, zobaczyła uśmiechnięte usta.
- No, nie. Czy to znaczy, że ich nie przyjmiesz, tylko uciekniesz?
- Mogłabym...
- A ja sprowadziłbym cię z powrotem i powiedział każdemu, kto ośmieliłby się mieć coś przeciwko temu, że chciałaś ukraść rodzinne srebra.

Wargi Caroline znalazły się tuż nad jego ustami.

- A są jakieś srebra? - spytała szeptem.
 - Uhm. - Lewis z wysiłkiem się poruszył. - Na pewno znalazłbym coś, czym mógłbym poprzeć takie oskarżenie.
- Leniwie wyciągnął rękę i ułożył Caroline obok siebie. Potem przesunął palcem po wewnętrznej stronie ramienia, i przy okazji musnął pierś. Caroline zadrżała.

- Czy sądzisz, że będzie ci ze mną dobrze w małżeństwie, Caro?
- Znośnie. - Westchnęła, bo dłoń Lewisa zabłądziła na jej brzuch. - Naturalnie będziesz musiał zachowywać się rozsądnie.
- Nie mam zamiaru, zapewniam cię. Czy to jest roz-

sądne? - Delikatnie pocałował ją w kącik ust. - A to? -
Równie delikatnie pogłaskał ją po piersi.

- Lewis?

- Tak, Caro? - Nie przerwał czułych pieszczot.

- To nie jest stosowne tak szybko robić drugi raz to,
co zrobiłeś przedtem.

Lewis pochylił się nad nią.

- Dokładnie pamiętam, że sama tego chciałaś. Powie-
działaś, że ma być wolniej.

Caroline uznała, że nie ma sensu wysilać umysłu. Zre-
szta nie było to potrzebne. A gdy Lewis zaczął znów ją
całować, tym razem zupełnie bez pośpiechu, zdążyła po-
myśleć jeszcze, że może już nigdy nie będzie musiała być
surowa i zasadnicza.

- Caroline, moja dzielna i piękna - szepnął Lewis po-
między pocałunkami. - Moja nieustraszona Caro, wymar-
zona towarzyszko. Zdaje mi się, że w końcu trafiła kosa
na kamień.